

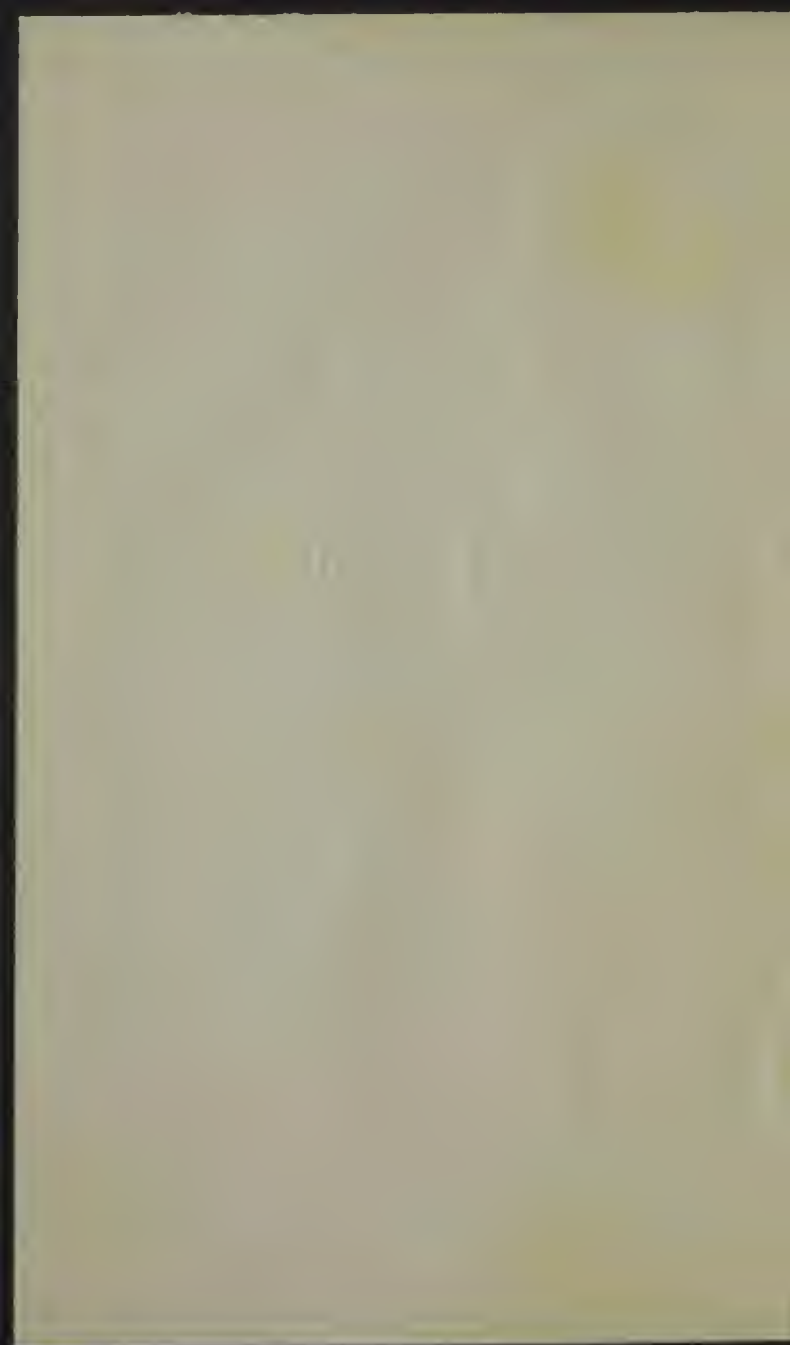
5/15

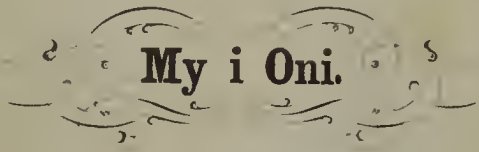
1890

My i Oni.

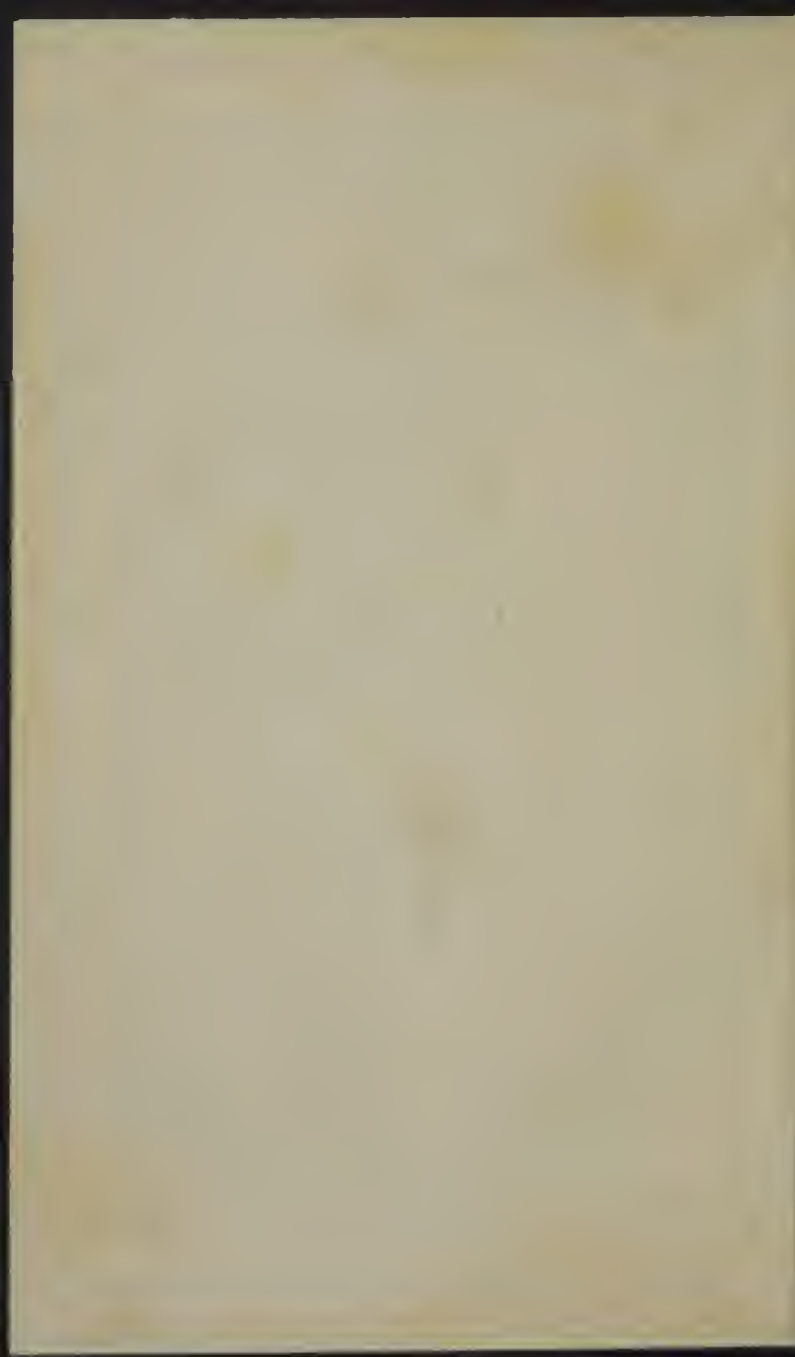


1



A decorative flourish consisting of two symmetrical, swirling lines that frame the text "My i Oni." from above and below.

My i Oni.



My i Oni.

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY

namalowany z natury

przez

B. Bolesławitę.

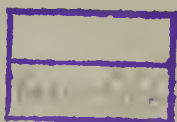
All is true



POZNAŃ.

W KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUCAN-SKIEGO

1865.



Poznań, rycinami M. Zoerna.

Było to — niedalój, niedawniej jak w tych krwawych chwilach, których rany jeszcze niezgojone boją, wśród zamętu, który poprzedził wybuch Styczniowy 1863. Na jednej z ulic Warszawy (straszno jest nawet w powieści wymienić ulicę, aby komisya śledcza wszystkich jój mieszkańców nie pociągnęła do protokołu i nie wysłała na Sybir hurtem nie znalazłszy winnego) spotkało się dwóch ludzi.

Jeden z nich był osiwały, słusznego wzrostu, bladój twarzy, mężczyzna lat pięćdziesięciu kilku; drugi młody, ale jak nasza niemal wszystka młodzież dzisiejszego pokolenia, zwiędły zawczasu, z twarzą okwitłą, zmęczony... W oczach jego płonęła reszta ognia, który nie dogorzał w piersi... Z czoła tego nie patrzyły sny młodzieńcze, z ust nie uśmiechały się nadzieje, na sfałdowanej marszczkami czaszce, z której zawczasu włosy wypadły, ucisk

napisał zemstę, despotyzm wyrzył wyrok śmierci. Było tam bohaterstwo, ale niespokojne, namiętne, dopraszające się oręża, walki i zgonu; czuć mogłeś zbliżając się do tego człowieka że wiało odeń chłodem konania i gorączką męczeństwa buchało.

Spotkali się, młody przyskoczył i pochwycił dłoń starszego szybko, namiętnie.

— Kość rzucona! rzekł — robimy powstanie...

Wy? robicie powstanie? spytał uśmiechając się starszy.

— Co znaczy to wy? odparł gwałtownie odskakując młody człowiek.

— To wy, wiele a bardzo wiele znaczy w istocie, mówił spokojnie pierwszy, to wy znaczy moją w was niewiarę, znaczy podziw nad zuchwałością, nad lekkomyślnością, nad gorączką waszą... to wy, wypowiada że czynicie to, co wasze i nasze siły przechodzi!

— Sceptyki, uśmiechał się młody — zobaczysz...

— Zobaczę, rzekł drugi, zobaczę heroizmy daremne i upadek straszliwy.

Zaczęli iść i powoli zbliżyli się do alei... W alejach szron okrywał brylantami drzewa, a słońce otrząsając je przeglądało się w tych klejnotach mających żyć tylko chwilę.

— Mów pan, ciekawym słuchać, odezwał się po chwili błady chłopak.

— Powiem ci myśl moją, ale przeleci mimo twych uszów i serca, bo męczarnie zagłuszyły w was poczucie prawdy, jesteście szaleni boleścią. Tak, mój drogi, powiedziałem *wy* z podziwieniem, bo kraj, bo wy młode latorośle nie jesteście zdolni do tego, na co się porywacie. Uderzcie się w piersi, uderzmy wszyscy, popatrzmy na społeczność naszą okiem chłodnym, bezstronnym, nie Polaka co kocha aż do zaślepienia wszystko swoje, ale człowieka, który ma sądzić wedle sumienia i rozsądku. Płomienia dosyć w was, ale tylko płomienia... rzucicie nań garść słomy, buchnie ogień wielki i spłonie. Niestety, Niestety! posypmy głowy popiołem, rozedrzyjmy szaty — Polska niema kim, przez kogo zrobić i prowadzić wojny o niepodległość. Nie karabinów nam braknie, ani tych co by je chwycili, mogą się oni znaleźć, znajdą się tacy co z dobrą poginą wiarą, ale kto będzie prowadził? kto pokieruje? gdzie dłonie? gdzie głowy? gdzie wodzowie?

— Za pozwoleniem! przerwał drugi — gdzieżeś widział, aby wybuch podobny znalazł gotowych ludzi, wypadki ich wyrabiają... Występują bohate-

rowie z łona ludu, męczennicy od warsztatów, wódcowie od młotów i siekier...

— Bywa to, mówił stary wzdychając — cud i u nas się trafić może, ale chyba cud, po ludzku sądząc, wy, co się rzucicie do téj roboty, nie jesteście materiałem do niéj sposobnym...

— O! cierpieć potrafimy!

— Ale nie działać! Złamał was żelazny despotyzm i truczna jego powolnie w żyły wasze wsączona... Patrzę ja okiem ojca na młode pokolenia i płaczę. Jest gorączka, niema hartu, jest płochosć i zarozumiałość olbrzymia, są talenta, ale w piełuchach, bo ich wychowanie nie rozwinęło, bo je zadusiła ciemnota... Wszyscyśmy jak owe rośliny co rosły w piwnicy, puściliśmy łodygi, ale pożółkłe i bezsilne... niemi pniemy się do okienka więziennego, ale gdy dojdziemy do słońca powędniemy...

— Tyś niewiara chodząca! tyś aparat ostudzający, rzekł młody człowiek — człowiek się psuje słuchając ciebie, trzeba uszy zatykać. —

— Z wielkiego narodu, ciągnął dalej jakby go nie słyszał starszy, pozostały ruiny wielkie. Chcąc się wybić do niepodległości, trzeba było albo zdziżyć jak Grecy, albo się zahartować jak Szwajcarowie nioństwem, pracą, nanką. U nas ani jednego

ni drngiego nie znajdziesz, jesteřmy wycywilizowani do erdredonn, zepsuci zbytciem, rozmiękli rozpustą wszelaką — jesteřmy pół-oskrobani, niedouczeni, samouki... a gorączkę bierzemy za energią —

— To są występkę przeciw narodowi co pan mówisz! każde jego słowo zasługuje na wyrok śmierci... rzekł młody gwałtownie.

— Wydajcie ten wyrok i zabijcie sobie nienzytecznego starego gadułę, odpowiedział chłodno stary, życia nie pożałuję... ale strach śmierci ust mi nie zamknie i przekonań nie zmieni. Tak, mój drogi, nie dorośliřmy do tego aby powstać: szlachty za mało, siedzi na pół w gnoju folwarcznym, pół w salonach zagranicznych, średnia klasa ma chętkę, nie ma woli, młodzież ma wolę, a nie ma rozsądku, ma zapał, a nie ma dořwiadczenia... Tylko wielki naród może się wybić na niepodległość, jednolity, zmeźniały... my się nie łudźmy, nie jesteřmy nim, — niestety. Być nim możemy, ale pracować nad sobą byřmy powinni.

Patrzę rok, dodał, na to co się u nas dzieje, i codzień mocniej się przekonywam, że to będzie ogień słomiany, jest trochę łuczywa, jest kupa mierzwy — drzewa niema! drzewa niema!

— Panie, wybuchnął młody, strzeż się pan! strzeż pan się! milcz... nie mów tego...

— Mój kochany, rzekł odsłaniając piersi stary, jeżeli ci się podoba uderzyć — oto masz serce, bije ono powoli, tu... znajdziesz je łatwo, ja się śmierci nie boję, ani od was, ani od bagnetu moskiewskiego... Włosy mi posiwiały w kopalniach Nerczyńskich, nogi mi osłabły od kajdan niewoli, w przyszłość nie wierzę — zabijcie — proszę!

Młody chłopak spojrział nań, drgnął i łza zakręciła mu się pod powieką. —

— Z życia, mówił powoli pierwszy, spiłem słodczyne wiosenne, zjadłem jesieni pioluny, skwary lata przepaliły mi szpik, przewrzała nim krew w żyłach... nie mam co robić z niedogryzkiem żywota... weźcie je sobie... Ale to nic nie pomoże. Nie powiem wam z pochlebcami, jakich nie brak rewolucjonistom zarówno i królom — Bohaterowie jesteście! — jesteście garstką dzieci upojonych, z zawiązanymi oczyma...

— Słuchaj pan, zawołał drąc na sobie odzież blady chłopiec — więc nic nie począć? więc siedzieć z założonymi rękami, gdy nieprzyjaciółka, gnębi, upadła, więc klamać mu pokorę, więc całować bizun kozacki?!

— Widzicie moi drodzy, odpowiedział zwolna pierwszy, gdybyście potrafili to zrobić co mówicie, uwierzyłbym w istocie że możecie wyjść na wielkich ludzi... Myślicie że nękanie a cierpliwy nie hartuje się ucząc cierpieć, że spodłony a milczący nie jest tym Sparcytą, któremu skradziony lis piersi wyżarł, a nie jęknął z bólu, że pokorny a nieugiętej duszy człowiek nie nie zuaczy, że ten co by pocałował biznu kozaka nie byłby w stanie potem złamać tego bizuna?

— O! stare i głupie wallenrodyzmy wasze! krzyknął młody.

— Nie! nie, nie! ja was wallenrodyzmu uczyć, ani doń zachęcać nie będę; wallenrodyzm kłamstwem jest, a fałsz nie dobrego nie zrodzi. Wy chcecie iść i bić się, ja mówię wam: idźcie i mężnie cierpcie za prawdę. Co wy robicie? kłamięcie, spiskujecie, kryjecie się, a żaden z was nie ma mężstwa, gdy go spytają, powiedzieć że jest Polakiem... Gdy na turturach wszyscy jako jeden zeznawać będą prawdę, naówczas Polska się odrodzi.

— Utopje... Towianizmy.

— Tak! tak! myśmy starzy głupcy, wyście młodzi władzcy przeszłości! tak! więc milczę...

I zamilkł stary i szedł ze spuszczoną głową

długo... A młodego gryzło milczenie i począł go wyzywać znowu.

Mówcie, rzekł, już spiłem gorycz z kielicha, nie zleknę się go dokończyć...

— Mylisz się Władziu kochany, rzekł pierwszy, z goryczy ja ci dałem najśłodsza, piołun, ocet i żółć zostały w naczyniu, we mnie, — tychby ani usta, ani serce two nie zniesło... Niestety! niestety! ucisk nas złamał i skarlił... nie było nas komu prowadzić, szliśmy na oślep i rozpierzchliśmy się... Dziś miłość ojczyzny jedyne hasło ostatnie co jednoczy, spędzi nas do... jednej wspólnej mogiły. Umrzeć potrafimy, ale życia odzyskać — nie!

— Jeżeli tak jest źle, ozwał się w końcu Władysław — stary proroku wynijdź, stań na górze i pokaż nam ziemię obiecaną...

— Tak! Polskę! odparł Jeremi — ale Polska jest ziemią obiecaną tym, co na nią zasłużą... wy coście uczynili dla niej? czyście przeszli cierpliwie pustynię i morze? czyście wypłakali łzy, czyście wyłamali dłonie, czyście zakuli piersi w pancerze a głowy w helmy? Nie, z pieluch wynieśliście miłość wysaną z piersi matek, miłość niewieścią, która się gorącą czuje... a pracować nie umie!

Do książek, do trudu, do nauki, do życia w siermiędze i o rażowym chlebie *mości panowie*... a nie do téj roboty...

Władzio zapłonał i zadrzał znowu.

— Nielitościwy jesteś, rzekł, Jeremiaszu stary.

— A wy chcecie litościwych i pobłażających? litością i cacaniem waszych słabostek nie zrobi się nic, oślepniecie gorzej.

— Czegoż od nas chcecie? czego? spytał młody...

— Do ołtarza ofiary trzeba iść ludziom czystym, świętym, obleczoneym w szaty białe, obmytym, wykąpanym w wodzie życiodawczej... do ofiar-nictwa za ojczyznę potrzeba kapłanów, wyście co najwięcej, chłopcy do trybularzy...

— Stary jesteś i zgniły, człowiecze, krzyknął Władysław, patrzysz na świat oczyma zaropiałemi, sercem zastygłym, piersią wydychaną... zdaje ci się żeś sam jeden wielki...

— Mylisz się, rzekł spokojnie Jeremi, jam najmniejszy... i dla tego, że się czuję karłem. nie rwę się do pracy olbrzymiej...

— Myślicie że nas to ostudzi? mówił porywczo Władysław, o! bynajmniej...

— O tém wiedziałem z góry! ruszając ramionami szepnął Jeremi.

— Dla czegoż mówicie mi kazanie?

Boście je słyszeć chcieli... rzekł spokojnie stary...

W téj chwili żółtemi, czerwonymi, niebieskimi otoczony kozakami, ukazał się w alei powóz wielkiego księcia, przechodzący skryli się za drzewo, aby się uwolnić od ukłonu. Staremu uśmiech igrał po ustach...

— Czego się śmiejecie, spytał Władzio, z wielkiego księcia? czy...

— Z wielkiego głupstwa naszego, rzekł Jeremi. najlepsze narzędzie do podźwignienia się odrzuciliśmy z heroiczną zarozumiałością... nie zrozumieliśmy tego, że ten człowieczek przepalony ambicją, marzył już o koronie, że gdybyśmy raz mu umieli pomagać, on by nas był wyzwolił. .

Władysław splunął.

— O! o! Znowu Wallenrody!

— I tego było nie trzeba... dość było trochę cierpliwości, trochę krwi zimnej... byłby powoli zaczął z nami spiskować, straciliśmy doskonałego sprzymierzeńca.

W synu Mikołaja...

— To było rękojmią że możeby dokazał swego...

— I chcieliście żeby naród się spodlił?

— Nie, żeby tylko czekał i umiał rachować...

— Marzenie...

— Lepiej to było niż marzenie, ale już się ono rozwiało... Zresztą pozwólcie mi na moje hipotezy, ja wam waszych nie bronię. Dowodów bym dostarczyć mógł że moje przypuszczenia są wierzej niż prawdopodobne... Ale co po czasie wznawiać stare dzieje. Co się stało nie odstanie...

— Widzicie stary, widzicie, jakeście sami z sobą w niezgodzie, mówicie mi idźcie prawdą, wyznawajcie prawdę i... chcielibyście żebyśmy głaskali przybysza, milczeli, aby go sobie pozyskać...

Idźcie prawdą! powtarzam, rzekł Jeremi — ale pokazałem wam i drugą drogę którą mogliście iść, albo raczej na której możecie stać i czekać cierpliwie... obie mogły doprowadzić do celu. o tej którą idziecie. wątpię.

— Lelewel powiedział podobno, przerwał Władysław, że ludzie po latach czterdziestu na nic się nie zdali do takiej jak nasza roboty, do niej potrzeba wiary i sił młodzieńczych, pogardy niebezpieczeństwa... myślny wedle słów poety „rozzumi szalem”; wy..

Jeremi się rozśmiał.

— Szał jest doskonały do roboty trwającej dwa-

dzieścia cztery godziny, ale gdzie się na dłuższą zabiera, nie po tém... zobaczycie... Wierzę w najlepsze chęci wasze, w najpocziwsze serca, w złote ofiary pragnienie i do ofiar gotowość, ale to wszystko pochłonie zadanie daleko większe nad wasze siły. Pojmuję ja rewolucyą, a raczej przypuszczam powstanie narodu całego, ale na to potrzeba ażeby naród był *cały*, a myśmy jeszcze embryonem narodu na gruzowisku starém... Może na chwilę zapal zlepi te różnorodne pierwiastki nieszczerą i niechętną jednością, ale najmnijesze niepowodzenie znowu je rozbije. Wy pocziwcy bez głów jesteście garścią, szlachta dobrze życzy, nie wiele rozumie, ale jest oględniejszą od was, pociągniecie jój część, nie pójdą z wami wszyscy i powiedzą wam że w sobie obowiązani są przechować tradycyą narodu... Średnia klasa da się ująć wielką nadzieją odegrania roli politycznej której dotąd nie miała, ludu z małemi wyjątkami nie pociągniecie.

Lud mieć będziemy! zawołał Władysław.

— Nie, rzekł stanowczo stary, nie, lud nie ma jeszcze za co się bić, za nędzę swoją, za upadek wiekowy, za zapomnienie, nie może i nie będzie... Wy chcecie Polski, on chce chleba, kąta i człowieczeństwa... wprzężony w pług razem z wołem.

z wołem pozostanie na zagonie patrząc po ludzku na krwawy bój, może ze łzami, ale bez zapалу... Nie dorósł jeszcze do walki.

— Rozgrzeje się i zolbrzymieje...

— Nie, odparł stanowczo Jeremi, nie czyni się w godzinę co wieki rosnać było powinno... Zaczni jesteście moi kochani młodzieńcy, ale raczej uczyć się historii niżeli ją robić byliście powinni. Kłamiacie sami przed sobą tak w was wre krew. Ktoż wie, Bóg może jedno pokolenie wasze wychowane przez Muchanowa przeznaczył na heroiczną śmierć, bo do życia było niezdadne.

— Gorzkie słowa... szepnął Władysław niecierpliwie się.

— Gorzka zawsze prawda jak piolun, mówił Jeremi, ale pioluny są lekarstwem... O Boże nasz, dodał... jakże boleśnie i gorzko patrzeć na was wyznaczonych na zagładę... bez korzyści może... choć nie bez wielkości... tyle rodzin osieroconych, tyle mogił... a po za niemi jeszcze cięższa niewola!!

Odwrócił się stary, ujął chłopca za głowę i pocałował go w czoło.

— Na polskiej płoncie wszczepili Moskale, rzekł, rewolucyjną latorośl swoją... Moskalami jesteście

nie wiedząc o tém. Nie Kościuszko i Pułaski, nie Małachowscy i Rejtanowie, ale Pestele i Bakuniny przez was czynią i mówią. Ucisk wywołuje w was oburzenie, a tchórzliwe wychowanie rodzi ślepotę... Ale Bóg wie co czyni... to co żyć nie mogło bez szkody narodu, umrze ze sławą dla niego, z żalem jego.

Węc jesteście na ogień wyznaczeni? spytał drugi.

— Tak mój drogi, uderzcie się w piersi, co wy umiecie, do czegoście zdolni?

— Umrzeć potrafimy!

— I to téż wam los wyznaczył! Umrzecie więcj niż za Polskę, umrzecie za nieprzyjaciół, za Moskali, śmierć wasza ich czegoś nauczy, nas nie. Wychowawcy ich szkół, ich idei, ich rewolucji, poświęćcie się aby oni skorzystali ze śmierci waszej, Zasiejecie ziarno na ich roli... Napróżno wam to mówię, próżnoby odwrócić pragnął nieuchronne... musicie poginać... A szczęśliwi jeszcze ci którym będzie dano umrzeć, nie zwałać się i wysączyć do kropli ducha, by *suchą* potem i smutną nie chodzić po świecie łupiną...

Patrzając w przyszłość krwią mi oczy zachodzą... nikt nie odgadnie dróg Bożych... Któż wie na co

się to przyda? uczynicie szaleństwo... a Bóg je obróci na jakąś korzyść dla świata... Są fatalizmy! Ma człowiek wolę i rozum, ale jest coś silniejszego nad nie... prawo żywota i dziejów. Wedle tego prawa stanie się co się stać powinno, wyniknie z faktu to co natura jego ma w sobie... Dzieci żałoby, *potomkowie* ucisku i grzechów... wyznaczeni na zgon, błogosławię was i przebaczam wam... nie mogło być inaczej... Z przeszłości zostały imiona. w teraźniejszości panuje siła nowa... pójdziecie za starą chorągwią ale na posługi nowej idei... Bóg reszty dokona...

Władysław odszedł po cichu zadumany, zmęczony, ale nie przekonany. Jeremi smął się dalej alejami ze łzą w oku. poważna twarz jego nie odżyła po téj rosie, która najstarsze oblicze nmie oblewać rumieńcem, blady był i wydawał się martwym. Zdawało się, że łza pociekła z innego źródła, nie ztąd. zkad płynął pokój na wyjaśnioną twarz jego.

Był zaledwie o kilkadziesiąt kroków od Władysława, gdy postrzegł naprzeciw siebie idącego mężczyznę średnich lat w mundurze wojskowym, który już zdala mu się przyjaźnie nśmiechał i rękę wyciągnął. Rodowity Moskal, ale po europejsku wychowany, generał Żywcow znał się z Jeremim, lubił go i widać było że rad go spotkał. Zatrzymał się chwytając go i zawołał po francuzku:

— Niezmiernie rad, bardzom szczęśliwy... pra-

gnałem widzieć pana. Zmiluj się, mów mi, wytłumacz! co się to dzieje!

— Jak to? cóż się dzieje? spytał Jeremi.

— No! nie udawajcie ze mną. Szpiegiem nie jestem, życzę Polsce i Polakom dobrze... ale co wy robicie? dokąd to idzie! Chcecie rewolucyi! chcecie waszój zguby...

— To się nazywa od razu wejść *in medias res*, rzekł uśmiechając się stary — no! dobrze... mówmy o tém.

— Mówmy, zawołał jeneral — zginiecie...

— Nie, jenerale, przecierpim, skapiemy się we krwi, wyjdziemy z kąpieli młodszy i silniejszy. Co się tyczy rowolucyi mylicie się, nie my ją robimy, nie my ję chcemy, robicie ją wy, zmuszacie nas do niej.

— My! mówmy serio! zawołał Żywców.

— Zupełnie serio... rzekł Jeremi. Kto wychowywał tę młodzież? wasi nauczyciele, szkoły wasze i wasza niewola... Trzydzieści lat pracujecie na zaszczepienie w nas zasad rewolucyjnych... nożem zaropiałym od jadu wyrzynając rany, w które go wlewacie sami... Zapomnieliście żeśmy byli narodem wielkim i mamy po przeszłości spuściznę, nie szczędziliście naszej miłości własnej, upokorzeń, ucisku... zepsuliście dzieci nasze i zasiałszy ziarno,

skarżycie się że wschodzi?... Mówicie na nas żeśmy niepoprawni, my wam toż samo powiedzieć możemy.

— Więc cóż z wami było robić, żebyście się dzieli spokojnie? spytał Żywców.

— O! na to było wiele potrzeba! smutno odparł Jeremi, nie potraficie tego póki się waszych wyobrażeń nie pozbędziecie. Czujecie w sobie siłę a nie wiecie jak ją obrócić, umiecie tylko cisnąć i cisnąć. Ciśnienie wywołuje w nas oddziaływanie.

— Ależ przecież rozpoczęły się reformy!

Jeremi się uśmiechnął.

— To co wam zdaje się ogromném ustępstwem, dla nas jest zaledwie częścią tego, co nam należy... Zabraliście nam majątki, a dajecie z łaski małą pensyjkę na życie, tak samo ze swobodami, wzięliście wszystkie, zwracacie pozornie odrobinę. Ale dając i to boicie się żebyśmy nie mieli zaadto. Fatalizm historyczny stworzył to położenie dziwne, niemożliwe, męczeńskie dla nas, ale pewnie płodne dla świata, a szczególnie dla Rosyi. Osobliwsza rzecz, że my w upadku, w poniżeniu, przy widoczném nadgnięciu charakteru narodowego jeszcze wyżsi jesteśmy nad was. Gardzicie nami, znęcaacie się, a w duszy czujecie żeśmy spadkobiercy bogatszej niż wasza matki przeszłości. Was wycho-

wali Iwanowie Groźni, Piotry i Mikołaje, nas Batorowie, Sobiescy, Mieczysławcy, Bolesławy i Kazimierze... myśmy żyli z Europą i światem, gdy was w żelaznej kolebce kołysał jeszcze despotyzm wykarmiając na posłusznych żołnierzach. Wyście żołnierskie dzieci, my potomkowie rycerzy...

A wiecie, dodał, jaka jest różnica żołnierza od rycerza? żołnierz słucha wodza, rycerz natchnienia, ten walczy o zdobycie kawałka ziemi dla ambitnego samoluba, ów o ideę i przekonanie. — Cała przeszłość wasza moskiewska w tém, że podbijacie ziemie dla niewoli, myśmy je umieli tracić dla swobody...

Zamilkł, chmurą powlokło się czoło generała.

— Wiecie. rzekł, że niebezpiecznie jest dziś mówić rzeczy podobne. Dziękuję wam za prawdę, lub za to co za prawdę macie, wypowiedzenie jej jest dowodem szacunku, umiem go cenić... jednakże radziłbym wam nie roznosić głośno tych teorii. oneby was mogły zawieść do Wiatki lub Kostromy.

— Widzisz zacny generale. odparł uśmiechając się Jeremi — naczem zawsze wasza *ultima ratio*... nie chcecie rozprawiać i przekonywać się, wolicie zawiązać usta i zdusić to czego nie umiecie obalić rozmowami... Odzywa się w was zawsze żoł-

nierz... przemawia przez was despotyzm --- czujecie słabość waszą...

Słuchaj, rzekł generał — być to może, ale przyszłość nasza! powoli Iwany, Piotry i Mikołaje wyrobią w nas to, czego wy nie nauczyliście się wojując z Batoryn, z Sobieskim i z całym waszych królów szeregiem. Gdy zaświta dla nas jutrzienka swobody, my ją potrafimy szanować: dla was zawsze jęj będzie mało... żołnierze będziemy karni, rycerze wyjdziecie na Don Kwichotów... bić się będziecie z wiatrakami, byle się bić...

— Macie nieco słuszości i tę wam przyznaję, odparł Jeremi, wyglądamy na Don Kwichotów, ale pozwólcie sobie powiedzieć, że rycerza z Manszy nie rozumiecie wcale. Powieść tę, arcydzieło to czyta ludzkość lat trzysta i nie pojęła, że Saavedra wyraził w tym typie człowieka, może naród, wyższy poczuciem ideału nad świat, który go otacza. Kawaler z Manszy jest śmieszny dla oberżystów i parobków, ale wielki dla ludzi serca... On chce dobra gdy drudzy chcą tylko chleba...

Wolę być Don Kwichotem niż Sanszo Pansą lub parobkiem.

— Nigdy się nie zrozumiemy, przerwał niecierpliwie generał.

— Zdaje się, kończył Jeremi idąc z nim powoli ku miastu, musimy się zjeść, bo się nie potrafimy zrosnąć ani rozdzielić... Chciecie z nas zrobić Moskali, my czujemy żeśmy byli czemś więcej niż bojarowie Groźnego, my z was pragniemy zrobić ludzi, a wy lubujecie się w szaraku niewolników.

Twarz Żywcową pokraśniała.

— Dostyc tego, rzekł, zwróćmy się do przedmiot... idzie więc do rewolucyi...

— Być może, wiecie, odpowiedział Jeremi, że ja rewolucyi jak chorób nie cierpię, ale są słabości nieuchronne... tę wy nam wszczepiliście.

— Przepraszam, byliście zawsze garścią burzliwych wichrzycieli...

— A tak łatwo było z nas zrobić falangę spokojnych pracowników postępu!! ale na to potrzeba było czegoś więcej niż siły, potrzeba było rozumu i szczerości... dobrej woli i wiary...

— Możnaż wam było wierzyć?

— Poruszacie kwestye ogromne... wiara się nie narzuca ale się zdobywa i musi być wzajemną. Kłamaliście nam, kłamaliśmy też nawzajem, szczepiliście fałsz, zeszło łgarstwo... obiecywaliście zostawić nam wszystko, a odbieraliście powoli niemal

do ostatka i siłę i godność... Upokorzyć i zgnieść chcieliście nie przejednać.

— Wyście nas do tego zmuszali...

— Fatalizmy! fatalizmy! westchnął Jeremi... napróżno byśmy teraz obżałowywali przeszłość niepowrotną... Chcieliście zgnieść i gniotąc wyrobiliście w nas potężnego ducha, nie skarżcież się nań, to dzieło wasze... Umieście wyfrymarzyć, zagarnąć, nie potrafiliście rządzić, wielkość wasza terytoryalna zaślepiła was... wyobraziliście sobie, że wasze 40 milionów poddanych silniejsze są niż dwakroć sto tysięcy ludzi!

— Ale te miliony was zgniotą...

— Zgniota... zgniota... rzekł Jeremi, a stanie się to czego nie spodziewacie, że ze zgniecionych stu wyrośnie żywych tysiąc, że z Moskali porobią się Polacy, że w szeregach buntowników walczyć będą wasi żołnierze, że ostatecznie nie Moskwa da Polsce niewolę, ale Polska Moskwie swobodę...

Zamilkli.

— Radziłbym wam, pod te ciężkie czasy, odezwał się po chwili generał, nie tak obszernie o tém rozprawiać... Szczerze mi was żal. nie rozumiem was i — posadzą w cytadeli...

— Mówiliście mi już o tém, spodziewam się

niechybnie pojechać z miéj do Wiatki lub Kostromy, to rzecz nieunikniona... tam gdybym nawet milczał, a kamieniami na mnie rzucano, moja twarz będzie powoli nawracać... moje łzy będą rodzić ludzi...

— Jabym was rad ochronił, rzekł generał, wiem, że czynnie przeciwko nam nie wystąpicie, boście do czynu już nie zdatni, ale w tym zamęcie oskarży was lada kto, i pojedziecie w Sybir.

— Jest to, wierzcie mi, co mi się najszcześniejszego przytrafić może, odparł Jeremi, nie rad bym patrzeć na to co się dziać będzie, na nic się tu nie przydam, a tam...

Generał zadumał się.

— Przyprowadzicie do tego rząd, rzekł, że na was naród cały podszczuje i wypuści, a gdy się w nim namiętności rozigrają, biada wam!

— Tak, ale i biada wam! powtórzę, zawołał Jeremi, dla nas i dla sprawy ogólnej ludzkiej nieszczęśliwszego nad to stać się nie może... Będziecie musieli odwołać się do opinii, do siły, którą przez wieki usiłowaliście zniszczyć, stworzycie siłę niebezpieczną dla nas, ale stokroć szkodliwszą wam samym. Z razu spuszczone z obroży, rzuci się ona na Polskę, ale jéj na łańcuch nie weźmiecie tak

łatwo... Znać tę balladę Göthego, Uczeń czarno-księżnika? to może być historia wasza... Uczeń znał zaklęcie, którem można było zmusić miotłę do noszenia wody, ale nie pamiętał słowa, co mogło powstrzymać... woda zalała mieszkanie... Dziwnemi drogami idzie konieczność do celu opatrnościowego... Rok 1814 obudził w Niemczech pragnienie i poczucie swobody, rok 1863 może też samo zrobić dla was... My zginiemy, ale idea wykwitnie zwycięsko...

— A moglibyście żyć! podchwycił Rossyanin. dla czegoż ginąć dobrowolnie?

— Dla idei! narody ani dobrowolnie biorą posłannictwa, ani je same zrzucić mogą z siebie, choćby im one ciążyły. Spełniają je często mimo woli i mimo wiedzy do zgonu i po zgonie, jak kwiat, którego woń i własności przechowują się w nim, choć dłoń człowieka zerwie z łodygi i rzuci na rozdroża. — Za sto lat wy inaczej sądzić nas będziecie, i postawicie sami pomniki tym, których umęczycie dziś zajadle... Bóg wielki, ludzkość nieśmiertelna, a idec dziećmi są bożemi!! Wam tylko młodym zdawać się może, iż z nimi walczyć potraficie! Nie postrzegacie, że to co się wam zdaje walką i zagładą. jest inną formą pracy z nami

wspólniej. Cesarz Mikołaj był tak dobrze robotnikiem na polu swobody ogólnej, jak w innym rodzaju Garibaldi. . jego ucisk był takim narzędziem do postępu, jak gdzieindziej szerokie, otwarte jej pola. Mikołajowskięj arbitralności winna Polska, że żyje i nie śpi, a może gwałtowności waszëj zawdzięczać odrodzenie moralne, okupione strumieniami krwi. Znaczenie ludzi i faktów nigdy z bliska się nie da oznaczyć, trzeba trochę perspektywy, aby je objąć całe... To co na pierwszy rzut oka wydaje się chropawe i niemile, zdala błyszczy światłami uroczemi.

— Bałamucicie, rzekł jenerał.

— Być może, odparł Jeremi, za to pojedę do Kostromy lub Wiatki, ale podróż moja ani wygnanie tysięcy nie zmieni na włos jeden tego, co z prawa zasadniczego dorobić ma się ludzkość przez waszą i naszą... głupotę...

— Co za szczęście, że nie mamy rozumu! uśmiechnął się Żywcow, mogłyby się przezeń zachwiać losy świata...

— Dobry żart, ale nie prawda, dorzucił stary, gdybyście wy i my mieli rozum, stałoby się tylko że zamiast broczyć we krwi poszlibyśmy lepszym gościńcem a zawsze jednak do tego samego celu...

Przeznaczenie może się odwlec i utrudnić, zmienić się nie może.

— To coś już zakrawa na turecki fatalizm uśmiechając się rzekł Żywców...

— Nie, ale na niezmiennność praw pewnych, do której rozum ostatecznie przyjść musi, choćby ją sobie nazwał jakimkolwiek imieniem... Świat nie może stać bez prawa twardego i nieporuszonego, widzimy prawa te w świecie materyalnym niezachwiane od lat tysięcy. tak samo w moralnych sferach istnieją one i rządzą. Wyłamywać się z nich jest śmieszością, w tym młynie co padnie pod kamień nie wstrzyma obrotu a zmełtem zostanie.

— *Gare à Vous!* śmiejąc się rzekł Żywców.

— Strzeżcie się, bo i wy nie jesteście wyjątkiem... mówił dalej stary. Ten młyn i waszą potęgę zetrzeć może, jeżeli się opierać będziecie koniecznościom czasu, epoki i przeznaczeniu ludzkości.

— Za dalekośmy zaszli, rzekł generał — radbym zniżyć na ten padół płaczu i bliżej nas tyżące sprawy... A więc robicie rewolucyą?

— My? nie, ale wy sami popychacie do niej... stanie się po waszej woli i przyjdą wielkie klęski dla nas, wielkie a bolesne dla was tryumfy, ciescie się, zwyciężycie niezawodnie! Ale co za tą

chmurą stoi w wyrokach Opatrzności... Bóg jeden wie...

— I my, dodał żywo Rosyjanin, jeżeli się porwiecie zgnieciem was, wytępiam, zniszczymy — Polska zginie!

— Polska nie zginie, odparł Jeremi, Polaków dużo... ale nie Polska. Polska idea może tylko wówczas zlać się i zniknąć w ogólnej sprawie świata, gdy zwycięży, dopóki walczy nie może być zwyciężoną.

— Dla czego?

— Bo jest wyższą nad tę ideę, której wy uczyniliście się obrońcami, wy prowadzicie z sobą przeszłość, my przyszłość... a w imieniu przeszłości nikt nigdy na ziemi trwale nie zwyciężył... Marzeniem jest powrót do tego co skonało.

— Mówicie przeciwko sobie... przerwał jenerał. my to jesteśmy przedstawicielami nowego świata, wy chcecie szlacheckiego feudalizmu, poddaństwa, powrotu do republiki magnackiej i szlacheckiej. My...

Stary począł się śmiać mocno.

— Jedną potwarz więcej, rzekł, już nie boli, tak u was piszą i mówią, ci co chcą nas zjeść w imię ciemności. Stara Polska tak jest niemo-

zliwą jak stara Moskwa wasza.. Szlachta nasza zrobiła ofiary wielkie i choćby z bólem uczyni jeszcze olbrzymie... Nie chce ona swobody dla siebie ale dla wszystkich... Na nieszczęście wyście nie dorośli do zrozumienia nas, a my... do obrachowania sił własnych... Aspiracye nasze są czyste... porywy wielkie... ale tchu na wykonanie olbrzymiego dzieła zabraknie... Dajmy sobie pokój jenerale... widzicie że się zrozumieć nie potrafimy, ja w was widzę ludzi, którzy służą despotyzmowi przebranemu w demokratyczną siernięgę chwilowo, wy w nas zawsze zakutą tylko szlachtę chcącą odzyskać przywileje i różgę na wieśniaka... Dodajcie do tego starą bajkę o Francuzach jedzących żaby, o Anglikach sprzedających żony na postronku za dwa szylingi... pójdzie to wszystko do pary...

I zaczął się śmiać stary Jeremi, ale łzy miał w oczach wilgotnych... a Moskał się głętkoko zamyslił.

— Niedobrańszėj pary nad Rosyą i Polskę nie było pod słońcem, odezwał się Jeremi, nie znałem między najzacniejszych ani jednego Rosyanina coby był w stanie ocenić Polskę i Polaków, może też ni jednego Polaka coby Moskala zrozumiał. Jenerale! macie w sobie wiele dobrego, wszystko złe

w was pochodzi z despotyzmu. Każda z wad waszych jest jego dziecięciem, noszą one na sobie piętna pochodzenia... i długo, długo będziecie się musieli z nich leczyć... Oczy wasze już w mgłach i ciemnocie odgadują jutrzeńkę, czujecie że światło wznijdzie, ale ono was razi i zatulacie od niego źrenice wasze, boście do nocy przywykli, a noc i sen trwały długo...

Któż wie, w widokach Opatrzności może jest zużytkowanie naszych błędów w sposób którego się nie spodziewamy ani my ani wy... nic nie przechodzi darmo... nawet pył co leci drogą jest czynnikiem koniecznym dla dziejów świata... może oczy zasypać w chwili gdy niepotrzebny widok miał je uderzyć.

— A więc... a więc, dokończył Rossyanin, rewolucya nieunikniona, rozlew krwi i my... my znowu zmuszeni będziemy wystąpić jako barbarzyńcy przed światem.

— Niech to was nie obchodzi, odparł Jeremi powoli, świat w téj chwili wszystko wam przebaczy byle siedział spokojnie u warsztatu i za biurkiem bankierskiem. Policzy krew przelaną na procenta od swych kapitałów... a gdy zwyciężycie pożyczycie wam pieniędzy na nowe dla nas kajdany.

Świat nie jest czém był... Trzeba mu nowego me-
syasza coby go odrodził, wielkich nieszczęść coby
nim wstrząsły... Nie okrzyczy was opinia ale lau-
rami opasze... Byle cicho! byle nie spadły pa-
piery, byle handel szedł...

Uśmiechnął się boleśnie, ścisnęli sobie ręce
i rozstali jak dwaj ludzie co się zrozumieć nie mo-
gąc, czują wzajemny szacunek ale zarazem i li-
tość. — Moskał rzekł w duchu — Marzyciel stary! —
Polak szepnął — Pocziwy stupajko! Jeden od dru-
giego nie nauczyli się nic.

Z tysiąca scen na pozór niepowiązanych z sobą składa się ten wielki dramat, ta tragedia Polski, której piąty akt... sterczy szeregiem szubienic i płynie rzeką krwi, jakich nie znały dzieje nowszych czasów. Jesteśmy zmuszeni zapomniawszy o warunkach sztuki, wiązać mozolnie tę budowę trupa, jak braciszkanie Kapucyni, co z kostek umarłych utworzyli strasznie ozdobną kaplicę ową podziemną przy swoim kościele w Rzymie.

Jenerał, któregośmy słyszeli przed chwilą rozmawiającego ze starym Jeremim, przeszedł powoli aleje, bez eskorty, pieszo udał się środkiem miasta i zamyślony przybył na zamek, gdy już było około południa. Szedł wprawdzie na radę, ale się razem wybrał na przechadzkę, i rozrachował tak aby nazbyt wcześniej nie przybyć. Kilka powozów stało przed zamkiem, a w obszernej sali jednego z dygnitarzy gromadziła się kupka ludzi, którzy o losie

części kraju wyrokować mieli. — Od ich doniesień do północnej stolicy zależało wszystko. —

Żywców ukazał się gdy wszyscy już prawie zgromadzeni czekali na niego rozprawiając między sobą. Trzech generałów, jeden wygolony mężczyzna we fraku cywilnym z miną niezmiernie układną, jeden adjutant człowiek wielkiego wpływu, stali i siedzieli dokoła krągłego stołu.

Twarze tych osób napiętnowane były typem, który wyrobiła niewola moskiewska. Uczyniono to postrzeżenie za panowania króla Bomby w Neapolu, że typ urzędniczy neapolitański niesłychanie był podobny do moskiewskiego. Despotyzm działa w duchu, przezeń oddziaływa na ciało i wytwarza w istocie wizerunki właściwe sobie... Wśród największego zbiegowiska kosmopolitycznego, poznasz zwłaszcza biurokratę i stupajkę Rossyanina od razu... Arystokratyczne fizioognomie całego świata są do siebie podobne, bo próżniactwo spadkowe wydelikatnia i urabia na zgrabne lalki Moskala pana, na którym kajdany tak bardzo nigdy nie ciążyą, bo należy (jak Murawiew nie wieszany ale wieszający) do tych co w nie okuwają, ale ich nie noszą. Moskala pana poznać trudniej, jest on choć z pozoru więcej człowiekiem, ale urzędnika i żołnierza

rozpoznać łatwo po zgniecionej w nich godności ludzkiej a wyrobionej chytrłości lisiiej. Despota z niższemi, jest płazem w obec władzy... Nieustanna walka z sobą aby człowieczeństwo swe i jego uczucia zwyciężyć, nadaje mu coś dziwnie zmieszanego z nicości i błota... Jesteśmy surowi, powiecie — tak, bo się w tych istotach, nawet najstraszliwszemi okropnościami ich roli nie obudziło nigdy uczucie ludzkie...

I tu na twarzach zebranych gości czytać było można piętna kilkowiekowych kajdan. Choć byli w kółku własnemi, choć byli prawie sobie równymi, i tu jeszcze nie zapomnieli roli dworaków, bo jedni mieli gdzieś więcej wpływu w górze, drudzy mniej, potrzebowali się nawzajem, niedowierzali zresztą jedni drugim, zazdrościli sobie, pod poufałością powierzchowną kryła się chytrłość niewolników. Dostyc jest w głównych rysach oznaczyć działające tu osoby.

Żywców nad innych więcej wyglądał na człowieka, było Moskal ale najlepszego gatunku, przypsuty obyczajowo, rozwiązły, ale łagodny i uczuciowy. Nie miał wiele charakteru, bo despotyzm go nikomu mieć nie dozwala, ale dużo serca, które się w nim zachowało cudem.

Obok niego stał gospodarz, mężczyzna łąsawy, twarzy nieokreślenie pospolitéj, na nią nic wyczytać, nic nie było można odgadnąć; życie tam pracowało na to, aby przed światem zakryć co się działo w duszy. Był to generał, ale z tego gatunku pospolitego, który się określić nie daje. — Nazwiemy go po imieniu Iwan Iwanowicz... Nie należy jednak sądzić, by pospolite nazwanie kryło zwyczajnego człowieka. W Moskwie najzuakomitsi ludzie pracują na to, aby się w nich nikt niebezpiecznego talentu nie domyślił. Nicóż kryje często drogą minę złota. Jak dawniej Żydzi kryli się ze skarbami, tu często niewolnicy z talentem ukrywać się muszą; zgnieciono by ich, gdyby głową wyszli po za urzędową miarę dozwoloną.

Drugi generał był mały, kaszlący Niemiec hrabia... człowiek zżyty, zużyty, blady, ruchawy, ale w pretensjach. Miał wzorem Adlerberga poczernione włosy i faworyty, i strój bardzo staranny. Uchodził za wielkiego polityka, głowę potężną... żałował że mu się nie dostało służyć w dyplomacyi, czytywał coś czasem drzémiąc i pełno miał oklepanek na usługi w rozmowie, któremi głębokimi się dla płytkich przedstawiał. Rozum jego jak włosy był też farbowany i zapożyczony...

Trzeci generał nareście barczysty, ogromny, typu w rodzaju Mikołajowski, z wielką twarzą, z szerokimi ramionami, miał tylko do siebie że ze wszystkiego się śmiał i na każdą rzecz powtarzał — głupstwo! Do rady był dobry dla tego, że skutek jój wynosił i roznosił nie nadwężając go, bo nie był w stanie nic dodać swojego.

Adjutant pochodził z arystokratycznego rodu... rysy jego były piękne choć przywiedle zawczasie, wiele dumy w nich, a dla równych odstręczająca grzeczność wyrachowana niedająca się zbyt zbliżyć nikomu. Wejrzawszy nań, czułeś że się liczył do siniej krwi...

Ostatnim a najciekawszym może, był urzędnik cywilny, twarz bez jednego włoska, bez wyrazu, blada, trupia, ale pofałdowana ogromnie, pokrajana jak zbyt wyciągana i wychodzona rękawiczka. Klimat petersburski popsuł mu wątrobę, był żółty. W oczach połyskiwał ogień i bystrość, które gdzieindziej zmiotło z oblicza nawyknięcie do fałszu i chytrości. Syn popa, dziecię własnych zabiegów... Artemjew sięgał po wielkie stanowisko... na dwie pracując strony. Nienawidził arystokracji, której nie mógł darować, że choć ojca jego całowała czasem w ręce, przyjmowała go wszakże w przedpo-

koju... Demokrata a raczėj demagog w duszy, krył swe przekonania gdy było potrzeba, gdy było można objawił się z niemi... a dążył do władzy przez zręczne usługi, to do wywrotu, w którym jednak czynnego udziału mieć nie chciał póki by nie zwyciężył. Życzył on rewolucyi, ale nie myślał zostać rewolucyonistą, wolał by drudzy go w tém zastąpili.

Otóż cały skład tego gronka, które przybyciem swoim zwiększył Żywców. Przystąpił on do stołu, rzucił czapkę i rękawiczki, i począł od prośby, aby dalej ciągniono rozprawy poczęte.

Hrabia, Niemiec, miał głos, i niewiele zważając na Żywcowa, począł dalej.

— To darmo, — niema co szukać nawet środków, ani sobie głowę łamać by ich zaspokoić. Polacy chcą odzyskać całą dawną swoją Polskę... a póki jej mieć nie będą, nie uspokoją się. Trzeba ich gniesć i nękać; póki cesarz Mikołaj panował a Paszkiewicz rządził, siedzieli przecież cicho.

— Jestem téż tego przekonania, dodał książę adjutant, strzelać, bić, wywozić, a zbytnio się prawami nie wiązać... *necessitas frangit legem*. I rozśmiał się z własnej cytacyi łacińskiej, którą słysząc reszta przytomnych, zdum-

miała się niezmiernie, widać było po twarzach, że jój nikt nie zrozumiał. Niemiec tylko zrobił minę taką, jakby mu nie była obcą, ale dla tego, aby za uczeńszego uchodzić.

Iwan Iwanowicz podniósł się z krzesła...

— Za pozwoleniem, rzekł, dobrze to radzić, ale bądź co bądź opinia w samąj Rosyi... w Europie...

— Plunąć na Europę, przerwał porywco barczysty...

— A co się tyczy Rosyi, dodał adjutant, ręczę że za miesiąc wyrobi się tam taka agitacya, że gdybyśmy Polskę na miazgę całą zdusili, to nam przyklasną z całego serca.

I spojrzął z ukosa na Artemjewa, który się uśmiechnął...

— Ponieważ radzimy, ozwał się siadając powoli Żywców, pozwólcie i mnie rzec słowo. Ja znam Polaków zdawna, część życia przebyłem z nimi; to naród, którego siłą i mocą nie weźmiemy, ale umieć go zażyć tylko, a złagodnieje jak baranek... Z nimi trzeba szczerze, otwarcie a dobrodusznie, pogłaskać ich tylko, trochę im zakadzić, pochlebić, grzecznością ująć... więcej się robi niż karabinami i bagnetami...

Wszyscy zakrzyknęli niezmiernie. a najgłośniej Artemjew.

— Panie jenerale, rzekł, tego sposobu próbował cesarz Alexander I., a cóż zrobił? niewdzięczników tylko. To się na nic nie zdało; — ich z góry a pletnią po łbach... ot rada! po naszymu!

— Tego sposobu próbował cesarz Mikołaj, a cóż zrobił? spytał spokojnie Żywcow.

— Ogromnie wiele, trzydzieści lat spokoju... rzekł adjutant.

— A któż z panów dowiedzie mi, że my nie pokutujemy za te lat trzydzieści pozorniej ciszy? odezwał się Żywcow.

— Nie, nie, nie, zawołał cywilny, o tém niema co i mówić, — na ich rewolucyą jeden tylko ratunek, nielitościwy karabin w rękach nielitościwego żołnierza...

— No to się okaże, że my bić umiemy, a nie umiemy rządzić... odparł Żywcow.

— Raczej to, że oni nie są ludźmi do rządzenia, i że się bić a bić potrzeba... zawołał cywilny.

Umilkli, adjutant wielkimi krokami, rozpiąwszy surdut, (co przy jenerałach było oznaką wielkiej niezależności charakteru) przechadzał się po salonie.

— Ustępstw żadnych, oto do czego nas pocziwe

tchórzostwo Gorczakowa doprowadziło, i nie w porę przybyłe rozwolnienie żołądka, dać im na włos, jutro zażądają więcej, więcej i więcej, a naostatek powiedzą nam jak Zamojski cesarzowi, — wyjdźcie sobie z Polski, to będzie spokojnie. — Nie — zdusić to pokolenie, dwa, trzy, a nowe wychować na Moskali i po wszystkiém. Dopóki ta nienawistna narodowość istnieć będzie, póty Rossya nie doczeka się pokoju.

— Wyrwałeś mi to z ust, Wasza Światłość, rzekł cywilny, mogę zaręczyć, że taka a nie inna jest opinia w całej Moskwie, dzienniki odezwą się w tym tonie; rząd gdyby nawet chciał nie będzie mógł postąpić inaczej...

Na te nieostrożne słowa odwrócił się żywo Niemiec i Iwan Iwanowicz; Artemjew postrzegł się, że ogromnego bąka ustrzelił.

— A! a! ozwał się czytelnik gorliwy junkrowskich gazet pruskich, hrabia... cóżeście to za herzyą wyrzekli? mieliżbyśmy i my i rząd pójść pod panowanie opinii i prassy? Slicznie byśmy na tém wyszli...

— Ale opinia i prassa silnie rząd podtrzymywać będą, rzekł Artemjew płacząc się.

— Dziękuję, odparł Niemiec, trzęsąc głową...

rząd bez opinii i prassy się obejdzie, ażeby sobie tworzył nową siłę, za której potem kierunek ręczyć nie może... o! o! byłoby to bardzo nieogłędnie.

Artemjew zaciął usta i począł się cofać.

— Ale któż mówi o sile... ile rząd da i uzna za potrzebne użyć nam... to jest myślę się, prasy, siły... tyle jej mieć będziemy... Już się to rozumie, że jest... że mogłoby być w tém... pewnego rodzaju niebezpieczeństwo... ale fałszywą miarą cudzych krajów nie mierzcie naszą świętą Rosyą, w Rosyi posłuszeństwo władzy jest we krwi... u nas nikt się z niego wyłamywać nie myśli.

Rozmowa zwichnięta na chwilę się wstrzymała, Żywców na nowo ją rozpoczął.

— Moje zdanie nie przeważy jak widzę, rzekł, zrobicie jak postanowi większość która nie będzie za mną, ale przekonania nie zmienię. Rossya okryje się hańbą prześladowania, obleje krwią, stanie się odrazą cywilizowanych narodów, a tym sposobem, okrucieństwami i uciskiem, nic z Polakami nie zrobi. — Dobrze to było na Czerkiesów, ale tu nie jesteśmy na Kaukazie, to nieszczęście nasze że w Wołogdzie, w Kiachcie, w Tyflisie, Orenburgu i Warszawie chcemy jednym rządzić sposobem.

To rzekłszy wstał i milczenie nastąpiło przery-

wane szeptami, Żywcow zamyślił się nie trudząc nawet dłuższém przekonywaniem współtowarzyszów, a Artemjew po chwili pożegnał się i wyszedł. Był widocznie zmięszany tém że się niepotrzebnie z myśłą swoją zdradził. Z głową spuszczoną, kwaśny poszedł do Angielskiego Hotelu, w którym stał. — Służący Moskal poznał po kapeluszu i chodzie zły humor swojego pana za który byłby odpokutował, gdyby szczęściem dla niego, ktoś oczekujący na Artemjewa w jego kwaterze, nie odwrócił tych piorunów, na których przyjęcie już się Sasza gotował.

Na progu drzwi wiodących do mieszkania, stał jegomość w wicemundurze kancelaryi jakiś wygolony do naga, mały, czarniawy, widocznie gryzi-piórek, z miną w pół lisią w pół dobroduszną. Był to dawny towarzysz szkolny Artemjewa, który talentem i bystrością doszedł do znakomitego stanowiska w oddziale trzecim, gdy Nikifor Piotrowicz ledwie bardzo podrzędne i to wyproszone zajmował miejsce.

— A! to ty! zawołał wchodząc i nie zrzucając kapelusza urzędnik... czekałem z niecierpliwością aby się z tobą zobaczyć i pogawędzić poufnie... Héj! Sasza, ruszaj na miasto popatrzeć na te ładne Polki które ci się tak podobały... a nas zostaw

samych.... Siadaj Nikiforze Piotrowiczu.. siadaj — no! jakże się masz? jak ci tu jest? mów, wszystkim ciekawy!

Nikifor rozpoczął rozmowę od westchnień.

— Cóż, nie rad jesteś? pensya dobra? miejsce spokojne!

— A! a! Alexandrze Alexandrowiczu... wolałbym w Moskwie siedzieć choć mniej płatny... to nie nasz świat!!

Artemjew rozśmiał się szyderczo i szepnął:

— Tak, ale tu wiele się da zrobić dla naszego świata!

— A no! jeszcze musimy po stu latach posiadania zdobywać znowu tę nieszczęśliwą Polskę.

— Nie rozumiesz mnie, rzekł Artemjew, Polska dla nas dziś inaczej jest ważna... Widzicie...

Tu przerwał i pomyślał, zapytując nagle:

— Nikifor Piotrowicz, czyś ty takim jakim byłeś? powiedz prawdę... Czy tak jak niegdyś nie-nawidzisz arystokracją naszą i bojarów? czy chcesz żeby święta Rosya rozkwitła młodém życiem?

— O! mój Boże, składając ręce rzekł Nikifor, a jakby to tego nie chcieć! jam syn kupca, ty jesteś synem popa... oba pamiętamy jak się bojary

z ojcami naszymi obchodzili — gdyby przyszedł dzień sprawiedliwości i — i

— Nadejdzie, ale go rozumem trzeba przyspieszyć, zawołał Artemjew, w naszych to rękach, rozumiesz! Jeżeli Polska się uspokoi. jeżeli jej dadzą czego ona chce, zbliżą się do niej, pogodzą... my na wieki przepadli. Potrzeba nie dać się im porozumieć, dowodzić że Polacy byli, są i będą buntownikami, zburzyć przeciwko nim całą Moskwę, ruszyć się na nich... Rządowi w to graj, puści nam cugle... a po tém... już ich nie pochwyci... Polskę zgniemy, ale i naszych bojarów razem... W Polsce naprzód to zrobimy z chłopami co po tém u nas zrobić będzie potrzeba — precz ze szlachtą!... Ludowi damy siłę, a tą siłą wywrócimy wszystko co nam stanie na przeszkodzie... Rozumiesz!

Nikifor tylko oglądając się głową kiwnął.

— Już tu są tacy wielcy ludzie co myślą o łągodzeniu Polaków, na to nie można pozwolić... nie dopuścim tego... tylko niepokój w Polsce może nam dać wolność... a co nam popsuje to że razem dwóch nieprzyjaciół pokonamy? Nasz interes ze wszech miar mieć, cisnąć, dusić i nie dać ładu

tu wprowadzić. Rząd w kłopotcie będąc z niemi od nas oczy odwróci, my tymczasem wychwycim mu potroszę co się tylko da porwać... a przygotujemy do oswobodzenia. Dziennikom naszym już dziś wolno więcej niż było... opinii potrzebują aby się nią przed Europą zasłonić... będziemy gardłowali za niemi... Tymczasem oka nie spuścimy z naszej sprawy. — Dosyć już téj niewoli ludu i naszej.

Artemjew mówił to gorąco, przerywanie, chodząc po pokoju z papyrosem w rękach, Nikifor słuchał go z pokorą jak przystało Radzcy dworu przy Radzcy stanu. Alexander Alexandrowicz był już bowiem zaszczycony tą rangą wysoką -- ktoby go teraz porównał do widzianego w zamku przed chwilą, ledwieby go był mógł poznać, tak był zmieniony, rozgorączkowany i ożywiony.

— Spodziewam się, żeś mnie zrozumiał, rzekł po chwili do Nikifora Piotrowicza, my się wszyscy starać powinniśmy aby jak najdłużej nie było w Polsce ładu i pokoju... Starzy głupcy jak Żywców zarazby to zagodzili! na co? na co? Wojsko sobie pohula, urzędnicy się nażyją dobrze, a póki tu hałas, my swoje robić w Moskwie będziemy. Postrzeegli się bestje gdyśmy z Milutynem w Komitecie wiejskim poczęli u siebie robotę, nie dali dokończyć,

ale teraz pora jeśli kiedy... niech się tu burzy...
niech gotuje...

Zatarł ręce...

— Polakom nie trzeba przeszkadzać, dodał owszem, owszem niech popróbują... jabym im sam dał broni, zrobić nam nic nie zrobią, ludu za sobą nie mają... a dla nas w samą porę się wybrali... Czy może być lepiej?

Zaczął się śmiać patrząc na Nikifora Piotrowicza. który był wylękły i siedział zdumiony.

Artemjew położył palec na ustach.

— Rozumie się, rzekł, to między nami, sprawa domowa... nie gadać o tém... Głupie kniazie i bojary sami nam dopomogą... nie domyślą się, a gdy się opatrzą będzie zapóźno... Nie potrzebny nam już Hercen i Ogarew... damy sobie rady sami... Nim nas wstrzymają, tak dobrze na kiel weźmiemy że uzdy już nie nałożą...

Mówił to więcj prawie do siebie niż do swego towarzysza który okazywał rzucanemi do koła wejrzzeniami wielki jakiś niepokój. — Artemjew był wesół nad wyraz.

— No! jak myślicie, spytał siadając, będzie u nich rewolucya? musi być? Gorczakow ją zrobił, a Wielopolski dokończy...

— Alexandre Alexandrowiczu, zawołał Nikifor... ja tam téj waszój głębokiój polityki nie rozumiem, ja prosty człowiek, mnie słuchać i pisać co przykażą — ale z Polską źle — o źle!

— To dla nas dobrze! słyszysz! to dla nas doskonale! niech zrobią rewolucyą, niech się ona ciągnie, niech sobie mydlą oczy pomocą Europy, zdusimy ich gdy zechcemy, a tymczasem nagotujemy się do wielkiój sprawy! I nie będzie w Rosyi tylko chłop i car... tylko car chłopski... a bojarom...

Ręką posunął po gardle i rozśmiał się.

— Szlachta nasza już przyduszona, dodał, ogłupiała... nie potrafi się oprzeć gdy zaczniemy szumieć patryotycznie na Polaków, musi nam pomagać jeszcze, nie potrzeże się nawet że o jój skórę idzie... tymczasem naostrzemy noże...

— Alexandrze Alexandrowiczu — wyście wielkim człowiekiem! krzyknął Nikifor ręce składając, ale i oni... o! oh nie głupi!

— Oni wcale nie są głupi ale pieszczone dzieci, zdaje im się, odparł Artemjew, że ich nie obalić nie potrafi, że są podporą tronu, a nie widzą że dla nich w świętój Rosyi miejsca nie ma... To niemiecki koncept ta arystokracja... na co nam te

trutnie... Car ich nie potrzebuje, oni się uśmiechają do Europy, im cywilizacya w smak, a my nowy świat zrobimy, świat ruski nasz... Zgniły Zachód wywrócim, zawojujemy narody podzięczniałe... pluję ja na ich Europę...

— Ale ty coś wzdychasz, rzekł uśmiechając się, źle tobie tu Nikifor Piotrowicz...

— Jużciż nie dobrze, szepnął Radzca dworu — człowiek się czuje wśród nieprzyjaciół, ani dnia spokojnego, ani nocy, ani ich zrozumieć czego oni chcą...

— Ale kiedy ci mówię, że nam i nie troszczyć się o to, byle mętna woda i jak najdłużej. I po to, dodał ciszej, chciałem ja wezwać ciebie do pomówienia, pamiętaj ty i ucz drugich, nie dawajcie aby się rząd z Polakami zbliżył... aby rewolucyi przeszkodzili, albo ją zbyt zawczasu stłumili, nasza rzecz aby to jak najdłużej trwało.

— Rozumiem, odparł Nikifor, rozumiem.

— Wy, po kancelaryach, możecie więcej niż się nam zdaje... nasze jenerały i bojary próżniaki, sami nic nie robią, nic nie myślą, z nimi zawsze można sobie począć jak się nam podoba... byle umieć. Sekretarz robi co chce... puścić pomiędzy swoich, aby wszelkiemi sposobami kaszę tu jak

najdłużej gotować... My wam przez dzienniki moskiewskie pomagać będziemy... W Rosji panuje car, kłaniają się wszyscy jego dworowi i panom, ale ci robią wszystko których nikt nie widzi... Oni noszą mundury i szlify a władzę my mamy... Otóż ją trzeba umocnić i powiększyć jeszcze... rozumiecie?

Nikifor tylko głową pokiwał.

— Ja będę wiedział co robić, mówił petersburski czynownik, wy mi tu pomagajcie. Jedno słowo, nie dopuścić aby się oni uspokoić i zgodzić mieli, przeciągać, nie głaskać ale drażnić ich, nie koić ale ranić, kłuć, rozjątrzać... rok, dwa, a zobaczycie jaką my siłę zdobędziemy! I głupi byli-byśmy żebyśmy ją sobie potem wyrwać dali.

Mówił z coraz większym zapalem, gdy do drzwi zapukano...

— Miałżeby Sasza tak prędko głupi powrócić? rzekł niecierpliwie, idąc otworzyć...

Ale nad spodziewanie, zamiast natrętnej twarzy służalca, ujrzał wybielony i zlekka naróżowany, wdzięczny buziaczek uśmiechniętej pani, lat trzydziestu może, niezmiernie wystrojonój i straszliwie pachnącej.

Popatrzyła na niego z progu, milcząc, i rozśmiała się głośno.

— Alexander Alexandrowicz tak to dobrze pamięta swoich starych przyjaciół? zawołała podając mu rękę... Jako nie poznajecie mnie?

— A! przebaczenie Maryo Agathonówna! to wy! wy to!

— I z niecierpliwości widzenia was, narażając się na kompromitację, sama na wieczór zaprosić przychodzę...

Mamy z sobą do pomówienia... szepnęła mu na ucho. — Mieszkam nie opodal na Krakowskiem... numer... pierwsze piętro... czekam na was wieczorem...

— Ledwie oczom moim wierzyć mogę... cóż tu robicie?

— Powiem wam... nie od dawna jestem tutaj... byłam za granicą... Pytajcie o mnie pod nazwiskiem pani de la Rue... potrzebowałam zmienić imię... rozumiecie... Czekam o ósmej...

Ceremonialnie odprowadził ją aż na wschody, szepcząc po cichu Artenjew, i powrócił nazad zadumany... trąc włosy...

— To jednak dobrze że ona tu jest, rzekł do Nikifora... nie znacie Maryi Agathonówny?

— Ja? a zkądżebym?

— Tak! prawda! kobieta wielkich zdolności! Dopóki służy piękność jeszcze, lubo znacznie postarzała i mniej już jest świeżą, potrafiła sobie zabezpieczyć kawałek chleba, łącząc dwa rzemiosła i dwa talenta... W trzecim oddziale nie mamy lepszego nad nią urzędnika...

Nikifor się zdumiał.

— Jak to? zapytał.

— A no, cóż dziwnego, kobiety są bardzo przydatne, zwłaszcza młode, ładne, dobrze wychowane i umiejące wszelką odegrywać rolę... Marya Agathonówna żyje jak w najlepszym tonie i zbiera... ręczę że zbiera... Znajdzie zawsze takiego co opędza kosztą... a pensya może się oszczędzić. — Rozumna kobieta...

— Jeżeliby co ważnego a sekretnego było do doniesienia, podszeptał, śmiało możecie przez nią przesłać do mnie... zostawię wam jój adres. Dobrze zrobili że ją tu zwabili, Polacy są czulego serca, a ona Francuzkę i przyjaciółkę ich doskonale odegra gdy zechce... potrafi wszelką rolę jaka się jój podoba, oddać doskonale... Nikt nad nich gadatliwszy, będziemy przez nią wiedzieli wszystko.

A ty, dorzucił, trzymaj język za zębami.

— O! o! przecie mnie znacie, rozśmiał się biuralista... nie umiem 'gadać gdybym chciał...

I ruszył ramionami.

Scisnęli się za ręce...

— Przed wyjazdem pomówimy jeszcze z sobą, rzekł żegnając się z nim Artemjew, jestem kontent, wszystko dobrze, postaram ci się o awans w Petersburgu, albo o gratyfikacją...



Naprawdę byśmy starali się skreślić żywot pięknej owjej pani, którą Artemjew nazywał Maryą Agathonówną, a która sama się nazwała panią de la Rue; — zbyt wiele osłon tajemniczych go pokrywało przed oczyma profanów. Pytając o nią tych co ją znali można się było wcale różnych dwóch lub trzech biografii dowiedzieć, które z sobą tak dalece się nie zgadzały, że wszystkie na kłamane wyglądały. Wedle niektórych była ona Francuzką rodowitą, dla innych Włoszką, dla wielu Rosyanką, a mała liczba domyślała się w niej Polki... lub dowodziła że matka jej pochodziła z Warszawy. Równa niepewność panowała co do jej społecznego stanowiska. Wdową, zamężną, rozwódką była czy panną, nikt dobrze nie wiedział, mówiono o jakimś mężu, którego nigdy żywe nie widziały oczy... wspomniano za to o kilku bardzo rzeczywistych kochankach i protektorach różnych

narodowości. — Jedni znali Maryą w Paryżu na dosyć dobrej stopie, drudzy w Petersburgu z salonem wcale świetnym w którym wieczorami odpoczywał jeden z ministrów, inni w Warszawie w skromnym ale smakownie urządzonym apartamencie. Marya grała prześlicznie na fortepianie, śpiewała z wielką metodą choć głosem nieco znużonym... czytała wiele francuzczyzny... miała liczne korespondencye... oddawała i odbierała tajemnicze wizyty, wyjeżdżała i wracała niespodzianie. —

Wyglądała na artystkę, — wszyscy co się do niej zbliżyć mieli, szczęście lub nieszczęście, godzili się na to, że była zachwycającą, wszakże w końcu każdy zachwycony odchodził od niej smętny, a wiele wygadywało się z tém, że Marya była po rozstaniu dla nich droższą, niż w czasie samego szafu... istotą. Jakie do tego wyrazu znaczenie przywiązywać należało, zostawujemy domyślności czytelników.

Stosunki Maryi de la Rue, na której właściwe nazwisko nie godzili się badacze, były bardzo świetne i wielce urozmaicone. Salon jój w różnych dnia godzinach otwierał się dla osób najróżniejszych przekonań i świata; bywali w nim i możni, wysocy dygnitarze, artyści, urzędnicy, a niekiedy i złota.

a raczej pozłocana młodzież, bo dziś złotój niema. Wieczorem piękna Marya była uroczą... z rana siadywała w przyćmionym salonie, a na ulicy zapuszczała twarz woalem, przez który przeglądały rysy dziwnie czystych linii, oczy czarne głęboko osadzone, nos prosty i kształtny, zbyt może różowe usta, trochę za białe oblicze i owal cudownie zakreślony. Marya mimo téj piękności chowała się z rękami niezrzucając prawie nigdy rękawiczek, nawet w czarnych i obcisłych Jouvina, ręce te jakoś wyglądały dużawe i niezbyt kształtne, a ci co je mieli szczęście oglądać jak je Bóg stworzył, nie unosili się nad niemi... przyznawali że były brzydkie, że je napiętnowała jakby ciężka praca... Równie starannie pani de la Rue chowała nóżkę, nosiła suknie długie. Małe te szczegóły dla tego spisujemy, że w życiu i one coś znaczą.

Wieczorem tego dnia, gdy Artemjew został zaproszony, wcześniej zapaliła się lampa na stoliku, a służący odebrał rozkaz nie wpuszczać nikogo z wyjątkiem pana, którego mu opisano dokładnie... Marya chodziła po salonie w długiej sukni czarnej, niekiedy machinalnie stawiała przed zwierciadłem, poprawiała włosów, ale myśl jój wyraźnie latała gdzieś daleko w światy niedoścignione żadnym do-

mysłem. Gdy Artemjew wszedł, pospieszyła go powitać, ale głosem który nie zdradzał najmniejszego uszucia.

— To ślicznie bardzo żeście wy tu, rzekł kładąc kapelusz urzędnik — mogliście się przydać w Paryżu, ale i tu nie będziecie siedzieć darmo... jest co robić... Maryo Agathonówno... no, jakże się wam zdaje? co to z tego wszystkiego będzie? Rewolucya czy tylko takie gniczenie się jak dotąd?

— O! mnie się zdaje, żywo odpowiedziała kobieta, że rewolucyi nie będzie. Z czémże by oni ją zrobili? przeciwko takim siłom potrzebaby szaleństwa... a małe jakieś wybuchy, gdyby je nawet rozpacz spowodowała, jednéj chwili stłumione zostaną...

— Co mówicie! przerwał Artemjew, to by było źle bardzo! bardzo źle! powtórzył kilka razy...

— Źle? niedowierzając uszom swoim spytała kobieta — dla czego!

Artemjew postrzegł się, po raz drugi tego dnia, że jako Moskal wcale spiskować nie umiał, a niezwyyczajność położenia czyniła go nieostrożnym i pośledliwym.

— Dla tego, rzekł poprawiając się jako mógł, że raz to gniazdo zgnieść potrzeba, że jeżeli się

ruszą. to będzie doskonały powód usprawiedliwiający stanowczą z niemi rozprawę i wyniszczenie tego nienawistnego plemienia...

Marya spojrzała nań z jakąś obawą.

— Dla tego to chciałem i potrzebowałem się z wami widzieć Maryo Agathonówno, rzekł siadając przy niej Artemjew, powinniście wiedzieć jak sobie postąpić. — Widzicie przecie iż sam rząd czyni co tylko może, aby wywołać rewolucyą, aby ją zrobić nienchronną. Potrzebną mu jest dla Europy, choć my sobie z niej wielkich rzeczy nie robimy. usprawiedliwi ona repressyą i wytępienie żywiołu, z którym w zgodzie żyć jest niepodobieństwem. Darino się łudzić... Mikołaj miał słuszość chcąc zburzyć Warszawę i przyrzekając jój nie odbudowywać, my idziemy dalej, chcemy zniszczyć Polskę na wiek wieków...

Kobieta tém stanowczém zapowiedzeniem zdumioną była i zamilkła na chwilę... spuściła oczy.

— Tak chcą w Petersburgu, dodał Alexander Alexandrowicz — niech to dla was będzie wskazówką. Rewolucyi ich, ani pomocy Europy nie obawiamy się wcale, nie tylko potrzeba aby wybuchnęła, ale należy jeszcze aby rozgorzała, rozszerzyła się, aby chwilowo dała im jakieś nadzieje, aby do niej

weszli wszyscy, co mają gorętsze serce... i poginęli. Naówczas Rosya na długo będzie mogła być spokojną.

Kobieta wzdrygnęła się nieco, była upadłą istotą, ale niewiastą i miała serce, to wypowiedzenie planu pełnego zgrozy i ohydy, poruszyło ją do głębi. Artemjew mówił co myślał, nie dopowiadał tylko tego, jaki skrywał program dla Rosyi po za tą Polski zagładą.

— Nie powinniście wcale powstrzymywać, rzekł powolnie, owszem niech się burzą, niech powstają... Widzieliście kiedy naczynie miodem i cukrem napełnione, które stawiają na muchy... idą one, włożą w nie i już się wydobyć nie mogą... otoż tak my z nimi zrobimy... Ułudzą się pomocą Europy, współczuciem rewolucjonistów całego świata i wpadną w łapkę. My mamy ten rozum, dorzucił, że gdy rząd gra rolę zachowawczą i monarchiczną, zyskując nią sobie sympatye tronów i monarchów, tymczasem dziennikarstwo i opinia będzie bić w bęben demokratyczny i pozyszcze Proudhonów, radykalistów, liberalnych... socialistów... Dla Polski zostanie współczucie bezsilne ultramontanów i tych ludzi co się uczuciem powodują, nie wiedząc dokąd i gdzie idą... Gra nasza doskonała, wygrać mu-

simy. Demokracji i liberalnym powiemy — Polska jest feudalną, garść szlachty chce w niej wiecznie w niewoli trzymać chłopą... panującym szepniemy — oni chcą zrewolucjonować świat, są w związku z europejską rewolucją!! I demagogi pomagać nam muszą do zgniecenia wroga...

Mówił, a kobieta patrzyła nań ciekawie.

— Wielki z was Machiawel, rzekła nieśmiało, — ale czy wszystko tak pójdzie jak obmyśleliście?

— Musi, rzekł Artemjew, — cesarz Napoleon, którego się próżno obawiają, książę Napoleon, który dużo gada... będą wywoływać za Polską, ruszać się niby i udawać, że dla niej coś zrobić chcą... ale cesarz dobrze wie, że w Polsce jest nieprzyjazny mu żywioł rewolucyjny... nie wzbroni nam zgnieść go... pomoże w istocie. — Nie darmo jest panującym.

— Ale mogą Polacy dać się tak wywieść w pole? spytała kobieta.

— Oni! niema najmniejszej wątpliwości, rząd z początku oczy zamknie, oni się ludzi przywykli, parlament angielski i francuska dyplomacja przyjdą nam w pomoc... Zrobi się rewolucja; co gorętszego wybijemy, resztę wygnamy w Sybir — i —

Tu przerwał; służący wszedł z herbatą.

— Maryo Agathonówno, zagrajcie co, rzekł nagle, — człek tak polityką zajęty, czuje potrzebę odświeżyć się, zapomnieć... rozmarzyć...

— Nie mam ochoty, palce mi zadrewniały, odpowiedziała powoli. — Wy jesteście mężczyzną, a cięży wam to co się dziś dzieje, cóż dopiero mnie... Nie uwierzycie jaki przestach czuję, jaki niepokój, jaką litość...

Artemjew rozśmiał się dziko.

— A mnie się zawsze zdawało, że byliście stworzeni na politycznego agenta, że was nic nie kosztowało dla wielkiego dzieła, ręce we krwi zmaczać... miałabym się omylić?

— Nadto blisko postawiliście mnie trupów i krwi, szepnęła kobieta — mdło mi się zrobiło...

— Któż tu wszystko prowadzi? zapytał po chwili Moskal — czy Zamojski? czy szlachta? czy zdrajca Wielopolski? czy jacy inni ludzie?

— Alexander Alexandrowicz, odezwała się po chwili kobieta — wy i ja nie rozumiemy co się tu dzieje i nie rychło pojmiemy... Zamojski nienawidzi rewolucyi, to człowiek legalności i prawdy... Wielopolskiego kraj nie cierpi, nicby zrobić nie mógł... nikt nie pojmie co i jak się tu dzieje...

nikt nie powie kto prowadzi... pan Bóg czy szatan, a dłoń niewidoma....

— Przecież takich spraw łada kto się nie podejmuje? spytał Rosyanin.

— Kraju nie znacie i nie rozumiecie, zawołała kobieta żywo, mierzycie go zawsze miarą cudzą. Wam się zdaje, że tu potrzeba imienia, stanowiska, urzędu, znaczenia, do prowadzenia téj sprawy, tak jak się to dzieje gdzicindziej. Tak nie jest; w Polsce kto najgoręcej i najśmieliej ujmie się za ojczyznę, ten wszystkich za sobą poprowadzi, choćby to był dziesięcioletni ulicznik w łachmanach. Bądźcie pewni, że mali ludzie są w téj robocie, ale tacy, co dla niej zginąć gotowi...

— Jesteścież pewni?

— Zupełniem pewna; wy będziecie szukać przewodzców po salonach, a kto wie czy oni nie w przedpokojach i nie po kuchniach się znajdują...

— Ale dałaby się szlachta i kraj prowadzić im?

— Kto polską wywiesi chorągiew pójdą za nim! odpowiedziała Marya. — Dla tego nie schwycicie tak łatwo dowódców... nie zrozumiecie ruchu... a stłumienie jego kosztować będzie tysiące ofiar...

— Tém lepiej, rzekł Artemjew, i potrzeba, mówię wam, potrzeba żeby się pociągnęła jak naj-

dłużej... Moglibyśmy ich zgnieść w dni kilka, ale wolemy rok, dwa, aby co tylko polskiego w Polsce jest wylapać...

Nie wypowiedział co myślał, a w duszy rzekł sobie tylko — Rosyą tymczasem zrewolucjonujemy!

Rozinowa szła tak mrywano, bez zapалу z obu stron, bo znać było, że mimo stosunku poufałego tych osób, coś je od siebie dzieliło. Marya chciała go wybadać, on usiłował jój plan swój narzucić; oboje nie zupełnie szczerze spowiadali się przed sobą. Przy herbacie mówili o Petersburgu, o Moskwie, o znajomych dawnych — ale Marya Agathonówna napróżno usiłowała coś więcej wyciągnąć z tego człowieka, który był niby otwartym i szczerym, w istocie jednak główną myśl swą ukrywał starannie przed nią. Nie śmiał się zwierzyć słabiej istocie, w której zepsucie i zaprzędanie wierzył, ale zawsze w niej obawiał się kobiety. — Z ciężkością przyszło mu wpoić jój to przekonanie, że nie należało przeszkadzać powstaniu, że potrzeba je było wywołać, rozpalić i rozszerzyć; zamilkła wreszcie i słuchała, a jemu zdało się że ją zupełnie pozyskał i zwyciężył. Po herbacie Artemjew spojrzał na zegarek i bardzo prędko się pożegnał, szepnąwszy po cichu słów kilka, w których były

może obietnice protekcyi petersburskiej. Dyplomata zabił w nim tą razą kobieciarza skłonnego do umizgów, nigdy Marya nie widziała go tak zimnym... Gdy się za nim drzwi zamknęły, ruszyła ramionami, powiodła ręką po czole i powoli jakby złamana padła na kanapę...

Nie była to trzpiotowata kobieta, jaką wydawała się z rana, widocznie niepokój jakiś zasępiał jęj czoło, coś kołatało do wyschłego serca... Spojrzała na zegarek: była jedenasta... zadzwoniła, wszedł służący, kazała mu zbierać herbatę i zawołać garderobianę, głośno zapowiadając że się natychmiast chce położyć. Jakoż przeszła zaraz do sypialnego pokoju i szybko z jakąś niecierpliwością zaczęła się rozbierać, odprawując młodszą i zalecając jęj, aby nazajutrz nie przychodziła budzić zbyt rano... Rzuciła się na łóżko, wzięła książkę, chciała czytać i cisnęła nią o podłogę... po chwili zerwała się z pościeli, posłuchiwała szelestu w sąsiednim pokoju i na nowo zaczęła się ubierać...

Otworzyła szafę, której klucz miała przy sobie, dobyła z niej ubranie męskie i z niecierpliwością wciągała je poglądając w zwierciadło. Zapomnieliśmy opisując fiziognomią Maryi, dodać, że włosy nosiła krótko ucięte; to jęj ułatwiało przeistoczenie

na przystojnego młodego chłopaka, nieco tylko zmęczonéj twarzy. — Szybko wdziała na siebie strój nowy, czarny surducik, płaszczyk ciepły, czapkę futrzaną i zapaliwszy małą latareńkę, którą z łatwością pod połą ukryć mogła, po eichu wysunęła się z mieszkania, klucz jego zabrawszy z sobą. Nikogo nie spotkała na wschodach; furtkę w bramie otworzyła ostrożnie, przymknęła ją i żywo puściła się ulicą... Przebiegła z Krakowskiego na Nowo Senatorską niezaczepiona szczęściem przez żaden z przechodzących patrolów, tu dobyła znowu klucza i wciśnęła się do niewielkiego domu, w którego oknach zupełnie już było ciemno. Znajome zapewne wchódki przeszła prędko, dostała się na trzecie piętro i tu zdyszana oparłszy się o mur, zaczęła stukać do drzwi... w sposób, po którym poznać było łatwo że na nią oczekiwano.

Po chwilce szelest się dał słyszeć za drzwiami, uchylono połowę ich i kobieta wbiegła pospiesznie...

Mieszkanie było szczupłe, niewytworne, ale nadzwyczaj miłe i wdzięczne; łatwo po niem poznalby każdy, że pan jego miał w duszy uczucie piękna i porządku. Na stoliczku małym zarzuconym papierami i książkami, paliła się lampka... przy niej stał bukiet kwiatów przywiedły, ale prześliczny...

W cieniu widać było otwarty fortepian, sofę na której leżały nuty i kilka książek, i kilka wazonów z zielonością, wśród zimy tak mile przypominającą wiosnę i ciepło.

Gospodarz mieszkania w ranném ubraniu z cygarem w ręku, był piękny, nie zbyt już młody mężczyzna twarzy poważnój, nieco łysy, ale fizjonomii pełnój znaczenia, opromienionój myślami. — Nie można się było dziwić odwiedzinom spojrzawszy nań, tak sympatyczne miał wejrzenie, tak wdzięczny uśmiech, taki wyraz siły i spokoju panował na jego obliczu.

— To ja! to ja! to zawsze i jeszcze ja! ozwała się po polsku Marya rzucając mu się na szyję, to ja natrętna, nieznośna, bezwstydną... po nocy lecę do mojego pana, aby choć go zobaczyć, choć go uścisnąć, choć być odepchniętą i połajaną...

— A! połajaną być warta jesteś, rzekł całując ją w czoło poważnie ale czule mężczyzna, ale któżby śmiał za miłość choćby trochę szaloną płacić łodowatemi przestrogami?... a ja miałabym prawo powiedzieć ci co innego nad jedno — serdeczne — Dzięki ci!

— A! tak zimne! tak zimne! zawołała kobieta i spuściła główkę na piersi i trochę zapłakała.

— Nigdy nie zwykłem grać komedyi, odparł siadając przy niej mężczyzna, słuchaj Maryo, tyś przywykła do kłamanych ludzi, pieszczot granych, rozpaczy zmyślonych, miłości szalonej na pozór, zimnej w istocie; ale wierzaj mi, więcej wierzyć potrzeba lodowatej pozornie mojej miłości, niż tamtym konwulsyom dzikim... One są fałszem, moja prawda. Cała ona w sercu, dla tego na zewnątrz się nie objawia, nie troszczy jak pokaże, jest szczerą, jest z sobą... jest też cichą i spokojną...

— I jest zimną! o! zimną! odezwała się kobieta.

— Nie, ale jest szczerą i smętną... bo nie ma jutra... bo to dla ciebie kwiatek jesienny, dla mnie promyk wieczorny, który zwiędnie i zginie... rychło... Nie trujmy sobie ostatka szczęścia zaglądając do jego wnętrzości... nie obrywajmy kwiatu z listków, nie rozkładajmy promienia na sine pręgi...

— Masz słuszość, przerwała kobieta zawieszając mu się na szyję, żyjmy bez jutra... i zapomnijmy o świecie...

— Gdyby to można! szepnął gospodarz z cicha, aleśmy my albo raczej los, złą dla nas wybrał chwilę! Stojemy nad przepaścią.

— A! a! prawda! bijąc się w czoło zawołała kobieta, cóż się tam z wami dzieje? co słyszać?

— No, nie, powinnaś to lepiej wiedzieć niżeli ja, uśmiechając się dodał mężczyzna i westchnął.

Kobieta zarumienila się i rękami zakryła twarz, a gdy właśnie schylił się by ją pocałować, odpchnęła go lekko i poskoczyła z sofy załamując ręce.

— Coś powiedział? spytała, co myślałeś mówiąc te słowa? wszakże rzekłeś niedawno, że kłamać nie umiesz? odpowiedz mi, całą choć gorzką prawdę!

— Maryo! odparł wstając powoli mężczyzna — nie skłamię nawet dla oszczędzenia ci przykrości. — Ja wiem wszystko... napróżno kryłabyś swą przeszłość przedemną... ja cię kocham i musiałem dosledzić kim byłeś i jesteś... Tak! nie zaprzeczaj mi, nie kłam i ty... wiem wszystko... wiem... i nie umiem przestać cię kochać i żalę się nad tobą i wzdrygam się, a coś mnie ciągnie ku tobie... a litość prawie zwiększyła moje przywiązanie. — Tak jest, mówił dalej — znam cię, lękam się, brzydzę i kocham... bo mi coś powiada, że w głębi tej duszy jest jeszcze kątek czysty, kiedy umiałaś kochać... poświęcić się... i płakać... Cóżeś ty winna, że zły świat przerobił cię na tę poczwarę!

Zasłaniając sobie oczy Marya padła mu do nóg i poczęła całować go, choć się chciał usunąć i próżno podnieść ją usiłował.

— O panie mój! zawołala, dzięki ci! tyś mną nie pogardził, tyś mnie zrozumiał, jam była słabą, jam była nieszczęśliwą, jam zwątpiła o ludziach i o sobie... dopiero ty odsłoniłeś mi jasność, dopiero przy twój piersi poczułam pragnienie cioty, chęć oczyszczenia się... i stania godną ciebie... Jam nie jest tą poczwarą, którą mnie sądzisz, jam już odrodzoną, lub odradzającą się istotą... wierz mi! wierz mi!

— Wierzę, rzekł powoli gospodarz — czuję to i nie potrzebuję twych zaklęć. Wstań Marvo... droższą mi jesteś pokutnicą, niż byś była aniołem; czuję i ja że podnieść się trudniej, niż nie upaść. — I... dodał — ja cię koeham... mimo wszystko co nas dzieli, jam dawno wiedział o tém i milczał, bom się spodziewał téj chwili...

— Tyś zacny! tyś czcigodny! rzekła podnosząc się powoli i tuląc głowę na jego piersi, dla tego jesteś wyrozumiałym i litościwym jak Bóg!! Wierz mi, prędzéj takie słowo pobożania nawróci, niż słowo pogardy i obelga... Podniosłeś mnie i będę godną, stanę się godną tego dobrodziejstwa... Będę ci służyć jak wierny pies... a wierz mi, małą ja jestem i nic nieznaczącą i pogardzoną istotą, ale się przydać mogę...

Gospodarz uśmiechnął się smutnie.

— Nie płacze mi za to, co zapłaty nie prosi, rzekł powolnie, uczyniłem z serca... sercem się tylko nagrodzi uczucie...

— Tak, ale całém sercem, dodała żywo kobieta, patrz, stając przed zwierciadłem i rozrzucając włosy ze skroni, ja już nie jestem tym kwiatem z którego usta rozpustników starych spiły pierwsze wiosny oddechy, znużenie, znękanie, smutek, boleść, tęsknota porysowały mi marszczki przedwczesne na twarzy, gorsze na sercu... a dotąd nie spotkałam człowieka i nie kochałam nikogo — prócz ciebie. Tyś pierwszy, ty będziesz ostatnim i jedynym. Wzgardę miałam dla ludzi, bo ci co mnie dotąd otaczali tylko jój warci byli... Czasem wśród szалу odezwało się w którym z nich nie serce, jakieś uczucie szlachetniejsze, ale na trwanie jego jak na promyk jesiennego słońca nie można było rachować! Dla żadnego z nich nie byłam kobietą, nie byłam człowiekiem... myślałam w rozpaczę że świat pusty i tych ludzi o jakich marzyłam nie ma na nim... aż spotkałam ciebie...

— Maryo, rzekł powoli gospodarz... nie wynoś biednej ruiny pod której resztką przytuliłaś się od

słoty, jest to, niestety, tylko gruzu knpa, pokryta resztką zieleni.

Potrząsała głową i uśmiechając się rzekła:

— Mnie ty jesteś droгим takim jak jesteś, nie chciałabym jedną cegielki z tego gruzu oddać za najwspanialsze nowe gmachy... Ale... dodała żywo, czas ubiega, a jam do ciebie nie dla jednego twojego pocałunku przybiegła... Słuchaj! słuchaj... ja jestem -- tyś się domyślił -- płatną niestety agentką rządową... jam badaczem i donoszczykiem... dziś mi dano nowe instrukcje... powinienś z nich skorzystać. Wiesz czego chcą w Petersburgu?

Mężczyzna z ciekawością pochylił się ku niej.

— Mów, rzekł marszcząc brwi — choć twe słowa ranią mnie jak sztylety... ależ wysłuchać ich muszę... Cóż oni powiadają, co myślą?

— Oni chcą rewolucyi i niepokoju... nie wiem czy wszyscy, ale część większa pragnie tego... to dla was może być użyteczną wskazówką...

— Na prawdę?

— Klnę ci się na miłość moją! nie posądzaj mnie! zraniłbyś okrutnie. . Znam tego który mi dał rozkazy, jest to czynny urzędnik trzeciego oddziału, ale zarazem czynny członek niewidomego,

wyrobionego duchem czasu, nieokreślonego i nieujętego stowarzyszenia rewolucjonistów... Nielatwo mnie zrozumiesz, dodała, w Rosyi od Pestela i Relejewa nie ma spisków, to prawda, lecz jak wszędzie gdzie zmiana jest koniecznością czasu, materyały do wybuchu przygotowują się i porozumiewają. tchną jedną myślą, idą do jednego celu... Pochwycić ich niepodobna, bo nie są związkowemi, ale jedna myśl ich zagrzewa... a jednym środkiem instynktowie idą do celu... wszyscy są rządu posługaczami i rząd sam ciągną w swe sieci... Dla tego może rewolucya w Rosyi gdy dojrzeje nareszcie, gdy do tych materyałów traf iskrę przyłoży, wybuchnie tak straszliwą, tak ogólną, tak wielką że przy niej niczém będzie straszliwe wspomnienie francuzkiéj. Rewolucya w Rosyi ma swych reprezentantów w ministeryum, na najwyższych państwa posadach, po wszystkich biurach, i niedołączny rząd ciągnie z sobą gorącym patryotyzmem... To stronnictwo niespojone, rozbite ale silne... pragnie u nas rewolucyi... chce powstania, bo rachuje zapewne że wśród zamętu posunie się o krok dalej i stanie silniejszym...

— Niestety! zawołał Juliusz, gdybyśmy my z tego skorzystać umieli! ale... nie mamy komu powiedzieć

nawet... ni z kim działać, wybuch jest nieuchronny, jest prawie dokonany... nikt mnie nie zrozumie... stanie się co Bóg dla Polski przeznaczył...

— Ale nie mogliżbyście powstrzymać! zawołała kobieta.

— Nie! podżega nas namiętność, okoliczności, sam rząd i sposób w jaki w ostatnich czasach obchodzono się z nami... nie mamy rozumu... jesteśmy rozjątrzeni! ślepi... Połowa kraju przynajmniej widzi doskonale następstwa i nieuchronny upadek, ale na oślep idzie, aby dowieść że gdy o kraj idzie ofiary nie poskapi. — Ja rozumiem dobrze iż nam u siebie rewolucyi robić nie było potrzeba ale za ostyglęgo i tchórza mnie ogłaszają, gdy to powiem. Nie ma sposobu...

— Coś strasznego więc gotuje się! szepnęła kobieta... czuję to po ich uśmiechu... podobnym do oblizywania się dzikiego zwierzęcia gdy świeżą pastwę poczuje...

Mężczyzna nic nie odpowiedział, ale szeptem. —

— Nie mierzmy dziejów życiem naszym i boleścią własną, rzekł — poginać nam potrzeba to poginiemy... świat przecie nie zginie i Polska nie zginie póki w jój łonie poczucie wielkich przezna-

czeń żyć będzie... Odśpiewamy wieczne odpocznienie pokoleniom dwom może... ale na mogile ochrzczemy wiek nowy...

Maryja ubierała się już do odejścia.

— Co tylko mi się pochwycić uda, przyniosę ci, rzekła... wołałabym z głodu umrzeć niż dziś gdy duszę czystsza w sobie czuję brnąć dalej w tém błocie... ale muszę opłacić grzechy przeszłości dziś ciągnąc pożytek z winy mojej...

Wytrwam więc w tém piekle... aby z niego wieść przynieść tobie... wszystko dla ciebie, wszystko dla was... a potem śmierć!! Żyłam dosyć, więcéj nie chcę...

Przez drzwi otwarte za Maryą która po szybkim uścisku zniknęła jak cień, wiał wiatr już tylko chłodny... Juliusz stał w nich i patrzył za nią pogrążony w myślach, łza zwijała mu się pod powieką nie mogąc na twarz spłynąć, za mało jej było żeby potoczyła się własnym ciężarem, za wiele by wyschła w gorących powiekach... długo tak pozostała w nabrzmiąłych oczach: a człowiek co ją nosił do siebie przyjść nie mógł... przez okno patrzył w ulicę na przesuwający się cień ukochanej postaci, do której poniżenie, upadek jej, cierpienie przywiewywało więcej pewnie niż namiętność pospolita. —

— Biedna istota! biedna istota! mówił po cichu... cóż ona winna! a było tam pewnie z czego stworzyć anioła... świat wykuł szatana... i nie potrafił dogasić tej isierki dobra którą Bóg wlał w nią przy urodzeniu...

Otoż cała nagroda jój poprawy... jedna łza pocziwa którą tu przy mnie wyleje... a potem...

Zamyślił się głęboko — potem może znowu śmiech przyjdzie szatański, rozpacz i niewiara... i śmierć... *ultima linea rerum*...

Na ziemi leżała rękawiczka, podniósł ją i schował starannie... lampa dogasała, rzucił się na sofę i w marzeniach sen skleił mu powieki.

Tymczasem Marya ukradkiem wśliznęła się do swojego domu, wcisnęła do sypialnego pokoiku, zrzuciła suknie które na klucz w szafie zamknęła, i nim padła na łóżko, zsunęła się na kolana... Poczuła potrzebę modlitwy... a modlić się zapomniała dawno... łzy tylko biegły jój po twarzy obfite, gorące, a usta poruszały się powtarzając wyrazy urywane dawno zapomnianych już modlitw... z których żadnej spamiętać nie mogła całej. Zaczynała ojciec nasz — zdrowaś — i kto się w opiekę — a myśl od tych dziecinnych pamiątek odbiegła do lat dawno minionych... i wstała drżąca, jakby obłąkana.

— Jutro, rzekła... jutro... spróbuję... cud być może... są cuda... pójdę...

Nazajutrz rano zbudziła się weselszą niż dawno bywała, ale zarazem niespokojną; służąca która

przywykła bawić ją pogadanką trzpiotowatą przy ubrauiu, zdziwiła się że jēj pani prawie nie odpowiadała i nie zachęcała wcale. a mocniej jeszcze, gdy bardzo skromnie ubrana, wyszła natychmiast z domu. Ciekawa trochę dokąd się uda, wyjrzała przez okno i pokiwała głową spostrzegłszy ją wchodzącą do kościoła XX. Karmelitow... Marya od bardzo dawna nie bywała w kościele, chodziła czasem do cerkwi, niekiedy do reformowanego kościoła dla muzyki; zapomniała o katolickim, choć ten niegdyś był jēj młodości kościołem. Nie wiedziała może jaką teraz wyznawała wiarę, szanowała wszystkie i była obojętną dla wszystkich zarówno. Trwało to dopóki uczucie nie rozbudziło się w piersi, które ją pociągnęło ku Bogu — naówczas poczuła, że nie mogła odezwać się do niego z prośbą tylko tam, gdzie niegdyś modliła się ze łzami w lepszych latach dzieciństwa... W kościele obiegły ją wspomnienia... i ukłękłszy ze strachem, ze drżeniem, utuliła twarz w dłonie, poczęła płakać gorzko... Przypomniła sobie ten sam kościół i na jego zi-mnój posadzce siebie, klęczącą w ubogiej sukience, przy matce... żywo na myśl jēj przyszła nawet barwa tēj sukienki i chusteczka stara którą osłaniała ramiona i cerowane pończoszki.. i uieco wy-

chodzone trzewiczki, które klęcząc zakrywała starannie szlafrocikiem, aby ich nie postrzeżono... Wstydziła się już naówczas pocziwego ubóstwa!! A teraz! teraz to przysła w atlasach, w axami-tach, w futerku kosztowném, ubrana tak ślicznie... nawet szczęśliwa w duszy, przecież upokorzona przed Bogiem i szczęściem niezasłużoném i dostatkiem który ją otaczał.

Popłakawszy trochę podniosła się, czuła że jój lżej było, że jakąś częśćkę maleńką ciężaru dusznego te łzy z sobą uniosły, wyszła powoli z lepszą otuchą, ale drżąca.

U wrót kościoła stara babina wyciągnęła do niej rękę. —

— Piękna pani! daj ubogiej żeby się za twe szczęście modliła... grosika kochana pani!

Marya wyjęła złotówkę i z pokorą położyła ją na ręce pomarszczonój staruszki, która zaraz poczęła żywo się modlić dziękując.

Pomału, choć widocznie z coraz większą nie-spokojnością, szła kobieta jakby przypominając sobie coś dawno zabytego, i skierowała się na to stare miasto. w którego rynku cisną się domy dawniejsze pamiętające czasy. Tutejsza ludność uboga jest jakby zrosłą z domostwy, tu żyją tradycye, tu

jeszcze obyczaj nowszy nie zmienił starego żywota... są rodziny które od kilku pokoleń nie wynosiły się z ciemnych kącików swych mieszkań, chyba w ciemniejsze jeszcze mogiły na cmentarzu...

Marya szukając jakiegś przeszłości całą nadzieję pokładała widać w tém przywiązaniu ludzi do murów, stanęła przed jedną kamienicą o dwóch oknach z frontu i patrzała długo na nią. Nad wnijsciem zalepiony farbą, którą był od wieków pokrywany, stał ledwie widoczny bocian... pamiętała go od lat dziecińczych, i te drzwi z kratką u góry, i wyżłobiony wschód kamienny u progu, i zakratowane okna dolne, i poddasze z jego trzema wystawkami i chorągiewkę na dachu z rokiem 1701... stała tu i wniść nie śmiała wewnątrz; młode dziewczę z konewką próżną ukazało się w progu. Na widok téj pięknej pani nieruchomo stojącej, zapatrzonej — zatrzymało się także z dziecinną ciekawością.

— Jak ci na imie moja dziewczeczko? spytała ją Marya głosem drżącym.

— Muie pani? Emilia...

— A mieszkacie w téj kamienicy?

— A juści, pod bocianem, proszę pani...

— Dawno?

— O! ja to od początku życia... bom się tu urodziła!

— A nie słyszeliście to kiedy o jakiéj... o jakiéj, rzekła głosem stłumionym — o Bartłomiejowej?

— A juści, proszę pani, kiedy to moja babka...

— Twoja babka? spytała żywo Marya — stara Bartłomiejowa Żywotowa?

— A juści, proszę pani, matka mojego ojca!

— Jakto... ona tu mieszkała... mieszka? żyje dotąd?...

— A żyje, proszę pani, chwalić Najwyższego, choć trochę podupadli, ale jeszcze nawet chodzą do Św. Jana codzień na mszę świętą i teraz tylko nie widać gdy powrócą. —

— A! więc jéj niema w domu? oddychając nieco wolniej spytała Marya.

— Ot idą babusia, ot idą... patrzcie, choć o kijaczkę ale rzeźwo!

Z drugiej strony rynku ukazała się w téj chwili postać przygarbiona starszki, idącej dosyć zwawo z książką pod pachą... Ubrana była ciemno, na czepek biały uarzuconą miała chustkę szeroką...

Rysy jęj twarzy pomarszczonęj, przywiędlęj, były jakby zamarle i stężale... Z oczyma wlepionemi w ziemię szła staruszka drogą znaną nie patrząc przed siebie, zamysłona, zatopiona... jakby już do świata żywych nie należała.

Marya ustąpiła się jęj z drogi z uszanowaniem, drżąc i skinąwszy na dziewczę aby nie mówiło, co Emilka doskonale zrozumiała; poczekała aż staruszka dodreptała do progu. Tu postrzegła dopiero wnuczkę podniosłszy głowę.

— A ty mała! rzekła głaszcząc ją pod brodę... co tu robisz? hę? może darmo oczy wytrzeszczasz? po coś to sama wyszła po wodę, toć to ciężar taka konew dla ciebie. mogła była Agata przynieść, a ty byś pończochę robiła...

— Ej, babusiu, toć mi się chce choć przewietrzeć! a tu woda pod bokiem, z okna widać, nie ucieknę daleko...

— Tylko mi zaraz powracaj! odezwała się stara z westchnieniem, a nie baw się, nie baw, dziecko moje... to nic potém.

Gdy Bartłomiejowa wchodziła powoli spoczywając na górę, Marya przepuściwszy ją nieco, poczęła iść za nią, krokiem jeduak mniej może pewnym

niż staruszka, która odpoczywała na zakrętach wschodów, ale dość jeszcze miała siły, by ująwszy poręcz bez kija się wdrapać na tę wyżynę. Wschody były ciemne, lecz tyle lat się je przechodziło, że omakiem przejść je już umiała.

Na trzeciem aż pięttrze otworzyła drzwi staruszka i z wolna weszła do mieszkania; Marya pozostała na wschodach, wahała się długo, serce jój biło, oparta o mur czekała sama nie wiedząc czego... Z tyłu przyspieszony chód dziewczki, powracającej z wodą może prędniej, aby ujrzeć ową piękną panią i dowiedzieć się po co to ona pytała o Bartłomiejową, dał się już słyszeć gdy Marya stała jeszcze... Emilka ją wyprzedziła nawet, obejrzała się i zdumiana postrzegła żywo idącą za sobą. — Otworzyły się drzwi i niemi, razem z dziewczyną wsunęła się czarno ubrana kobieta...

Z początku gdy Bartłomiejowa chciała widząc ją, powstać ze starego krzeselka, na którym siedziała, przybyła nie mogła nawet przemówić i wytłumaczyć po co przyszła. Staruszka wpatrywała się w nią mocno, z jakąś obawą i wzruszeniem wielkiem... milczenie długie musiało pewne potwierdzić domysły, gdyż stojącej Emilce natychmiast ka-

zala nastąpić do drugiej izby, nim Marya otworzyła usta.

Błada owa twarz zmartwiała starszki okryła się rumieńcem, potem trupią prawie boleścią i upadła na krzesło. Milczały obie; Marya powoli złożyła ręce i nic nie mówiąc jeszcze uklękła.

— Matko! zawołała — matko... odpuść mi winy moje!

Bartłomiejowa podniosła się z siedzenia, wyprężyła i mocnym zawołała głosem:

— Ja nie mam córki! ja nie mam córki!!

— Chrystus Magdalenie przebaczył...

— Chrystus był ojcem... odezwała się Bartłomiejowa, ja nie mam córki! jam ją dawno pogrzebała... I zakryła sobie oczy.

Naówczas kobieta przypełzła do niej na kolanach płacząc...

— Moja córka, wołała w gniewie coraz wzrastającym Bartłomiejowa, nie chodziła w atłasach i aksamitach, ale w zgrzebnej, pocziwój koszuli... i w starzej odzieży... pani się mylisz, szukając tu matki...

— Jeszcze raz, jeszcze raz... matko droga, przebacz, przebacz, powracam ci z żalem w sercu.

Nie odpowiedziała stara. tylko ruchem ręki jakby chciała ją odtrącić od siebie, ogarniała się od zbliżającój.

— Idźcie sobie tam, rzekła z wysiłkiem, gdzieście przepędzili kilkanaście lat życia... ja nie mam dziecka; gdy raz ostatni zamknęły się drzwi za córką moją, w sercu mojem zabiłam jój trumnę, modliłam się jak za umarłą... Idźcie ztąd, idźcie i nie kalajcie czystego domu oddechem nieczystym...

Właśnie tych słów domawiała, gdy mężczyzna słusznego wzrostu ubrany w fartuch rzemieślniczy, pokazał się w progu, uchyliwszy drzwi i obaczywszy scenę, której zrazu zrozumieć ani domyśleć się znaczenia nie mógł, stanął jak wryty.

Kobieta klęcząca posłyszała skrzyp drzwi, starszka przeczuwała syna, milczenie głębokie przerwało rozmowę; Marya wstała. Przed nią był średniego wieku z surową twarzą mężczyzna, który ciekawie ale z jakimś przyglądał się jój szyderstwem. Od stóp do głowy mierzył ją oczyma, a usta pogardliwie skrzywione zdawały się wyrażać uczucie jakiegoś wstrętu.

Starszka ozwała się do niego głosem zburzonym:

— To ty Ludwiku! a wytłumaczże tój pięknej pani, którój się zamarzyło przyznawać za córkę moją, że ja nie mam dziecka nad ciebie. —

Stolarz znowu zmierzył wzrokiem zapłonią kobietę.

— Idźcie sobie tam, zkądście przyszli, rzekł, moglibyście piękną salopę waszą powalać w tój brudnej, ubogiój izdebce... tu nie miejsce dla was... Gdzieby zaś stara ucziwa Bartłomiejowa miała być matką tak wielkiej pani jaką Jejmość udajesz... Nie urodzi sowa sokoła!

I wskazał jój drzwi marszcząc brwi znacząco... Marya podeszła ku niemu i chciała go ująć za rękę, ale rzemieślnik ją cofnął.

— Nie dotykajcie mnie, rzekł, moglibyście się powalać...

— Bracie! z cicha szepnęła Marya... nie rozjatrzać na mnie matkę, nie potępiać byś mnie powinien, ale pomódz biednej... Wszakżem przyszła prosić tylko o przebaczenie, upokorzona, nieszczęśliwa, wszak czujesz że cierpieć muszę... a kto odepełnił bolejącego, temu Bóg porachuje okrucieństwo!

— No! tak! ale porachuje on téż tój co opu-

ściła matkę i zakrwawiła jój serce i wyrzekła się gniazda swego, aby weselszém żyć życiem z obcemi. Porachuje on łyzy nasze, łyzy matki i łyzy późne dziecięcia...

— Bracie, odczuwała się raz jeszcze Marya... pamiętaj byś nie żałował okrucieństwa swojego...

Wyrzekła to łkając, a rzemieślnik widocznie się zmięszał, spojrział na starą matkę... która płakała — i zamilkli wszyscy...

W tém kobieta odsłoniła twarz i oczy zaczerwienione od łez, do progu z pokorą odchodząc.

Bóg mnie tu prowadził, odczuwała się powoli, abym zasłużoną odebrała karę... a matce i bratu dał w serce nieczułość aby oni ją domierzili na mnie. Tak! zasłużyłam na nią i przyjmuję ją... i błogosławię wam... ona może zdejmie ze mnie choć odrobinę zgryzoty na którą cierpiałam i cierpię. — Dziękujcie się wola Boża!... bądźcie zdrowi, idę z kąd przyszłam, nie ujrzycie mnie więcej. Niegodną jestem chwili przebyć pod pocziwym dachem który widział pracę waszą i łyzy wylane za dzieckiem... Niech Bóg da wam zapomnieć o nieszczęśliwój, która nigdy...

Tu płacz przerwał jój mowę, uchyliła drzwi

i powoli wysunęła się, ale w téjże chwili Bartłomiejowa porwała się z siedzenia i pobiegła za nią i w progu objęła ją rękami; zachodząc się od płaczu, a powtarzając:

— Dziecko moje! dziecko moje!

Na widok ten znikł i Ludwik, potoczyły mu się łzy z oczów, przybliżył się nieśmiało...

Mówić nie mogli. Marya osłabła i padła na stołek stojący u drzwi...

— Wody! wody! ozwała się staruszka...

Emilka musiała być pode drzwiami, bo zaledwie zawołano, wbiegła ze szklanką i kropnęła z niej na bladą twarz Maryi, która się westchnieniem ocuciła.

— Dziwne sądy Boże! ozwała się zapłakana Bartłomiejowa, przez całą mszę świętą, myślałam jeno o tém straconém dziecku... przychodziła mi na oczy całą drogę... myślałam że chyba nie żyje...

— A! rzekł Ludwik powoli, i mnieć zdawna nie inaczej się zdało tylko że chyba już jój na świecie nie ma — no, ktoby był powiedział...

I popłakiwali wszyscy. Emilka tylko niespełna rozumiejąc tę scenę, stała ze szklanką wpatrując się to w ową piękną panią, to w ojca i babkę...

Tak się skończyło szczęśliwie to spotkanie Maryi z rodziną po ośmnastu niewidzenia latach... Służąca oczekiwała na nią do późna, i szarym dopiero wieczorem ujrzała powracającą, ale że się to jój nieraz trafiało, nie zwróciła uwagi tylko na zapłakane oczy swój pani.

Tegoż wieczora jeszcze wyszła powtórnie przebrana kobieta z domu przy Krakowskiem Przedmieściu na ulicę Nowo Senatorską i zastukała do tych samych drzwi, które się jęj wczora odeniknęły. Na stoliku paliła się przyémiona lampa jak wprzódy i mężczyzna siedział u księgi z pogodną twarzą... na której rozlane było jakieś uczucie błęgiego spokoju — rzadkie w tych chwilach w których wszyscy żyli gorączką...

— Dziś czystsza przychodzę do ciebie, zawołała do niego ode drzwi, dziś wielki dzień był w życiu mojem... po latach kilkunastu znowu ujrzałam matkę, odzyskałam rodzinę... i nad tą głową niegodną spoczęło błogosławieństwo macierzyńskie... dziś po raz pierwszy od dawna jam się modliła. A wszystko to jam winna tobie Juliuszu, rzekła z zapalem... panie mój! Tyś wczoraj słowem dobrem wskrzesił serce umarłe, ono się dziś nie co-

fięło przed upokorzeniem, wytrwało ból wielki, doznało kary strasznój i doczekało pociechy...

— Jako? więc ty jesteś? spytał Juliusz... tyś jest...

— Jam Polka, odparła śniało Marya, jam córka biednej kobiety, jam dziecko tego miasta, którego długo wstydzilam się i zapierałam. Nie chcę dłużej kłaść kłamstwem ust, które ty pocałunkiem jak żarzącym oczyściłeś węglem... powiem prawdę... O! ciężką przeszłością dorobiłam się tego pozoru arystokratycznego, tej cudzoziemskiej powierzchowności... Młodość moja zbiegła tu... aż do nieszczęsnego dnia, gdy zepsuty i bez sumienia człowiek pociągnął mnie z sobą... Był to Moskal... uwiózł mnie z sobą na pół gwałtem do swjej stolicy, wychował mnie na narzędzie rozpusty... potem rzucił sprzykrzywszy... O! nie każ mi sobie mówić jakie przechodziłam koleje — na wspomnienie ich drzę cała... Wiele w tém winy mojej, ale stokroć większą winą tego co mnie nieświadomą świata, nieznającą życia, pociągnął z sobą w tę kałużę. Czystą z niej wynieść nie mogłam, pracowali nad tém aby w méj duszy nie pozostała isierka wiary w szlachetność człowieka... Każdy z nich miał łagodność baranka i słowa anielskie w po-

czątku, tygrysią nieczność i wyrazy szatana gdy się spoufalił...

Zakryła sobie oczy.

— Nie mówmy o tém, nie mówmy! zawołała, chciałabym jako Dante napić się z Lety, zapomnieć przeszłości całej, aż do wczoraj-zego wieczora... pozwól mi popłakać, łzy oczyszczają, a potem przez litość mówmy o tobie... nie o mnie.

— Mówmy o mnie, właśnie i ja pragnąłem ci coś o sobie powiedzieć, odezwał się Juliusz... coś ważnego bardzo...

— A! przejmujesz mnie strachem...

— Nie lękaj się przedwcześnie, ale przygotuj do tego na co wszystkie matki, siostry i żony gotowe być dziś powinny... Rewolucya wybuchła prawie... rozszerzy się ona za dni kilka... i ja z innymi pójdę...

— Na Boga! tyś ją hamować powinien! krzyknęła ręce łamiąc kobieta.

— Nic jój już nie wstrzyma!

— Nie widziszże jój skutków, to straszna a nadaremna ofiara tylko.

— Nic w świecie nie jest daremném, z każdego poświęcenia my lub nieprzyjaciele nasi korzystają. Nie wierzę i ja w pomyślność, w wywal-

czenie swobody. . ale rozumiem powinność. Gdzie cały idzie naród, tam wszyscy pójść powinni; na śmierć, to na śmierć ale razem...

— O Boże mój! zawołała kobieta, ty to mówisz tak zimno...

— Mylisz się Maryo, gorąco czuję i mówię, ale gdy młodsze życie i większe nadzieje ochoczo idą pod miecz katowski, starszej głowy i zwiędłego nie godzi się uchylać serca. Pójść powinienem i pójdę...

— Julku mój i panie mój! i ty... a! cóż ja pocznę... na toż mi zaświeciło szczęście, bym je postradała tak prędko.

— Maryo! szczęście potrzeba wychylać jak wino szampańskie od razu do dna, bo z niego gaz uleci... i stanie się napojem pospolitym i bez smaku... Natura szczęścia jest że krótkiém być musi... częściej nadzieją niż rzeczywistością... Nie potrzeba nigdy dopijać się do mętów...

— Ale nie, przerwała nagle kobieta, nie! nie! ty nie pójdziesz... to być nie może, ja cię nie puszcę...

— Pójdę Maryo! znasz mnie! nie mówię słowa nie obmyśliwszy go długo i głęboko, gdy je wypowiem, to je spełnię...

Spojrzała mu w oczy...

— Pójdiesz? spytała.

— Pójdę...

— Dobrze więc, ja z tobą! to także nie ulega wątpliwości, ja idę!!

— Co za myśl!

— I ja też słowa nie rzucam na próżno... zginiemy razem, albo... się razem ocalim.

Juliusz spojrzał na nią z ciekawością badacza raczej niż z namiętnością kochanka, ale w twarzy zbladłej wyczytał tylko najmocniejsze postanowienie.

— Byłabyś dla mnie nieustanną troską, rzekł, obawą nieskończoną... ja na to nie pozwolę...

— O! nie będę się pytać o pozwolenie, odparła, pójdiesz ty, pójdę i ja... to rzecz pewna; — nie mówmy o tém.

— A gdy cię błagać będę?...

— Nie, nie! nic mego postanowienia nie zmieni... dosyć! W innym razie możebym cię wysłuchała, teraz nie mogę, sama obawiam się siebie... Czuję się lepszą, czystsza... jestem szczęśliwszą, a nie wierzę sobie i sile tego uczucia... nie chcę go ani próbować, ani narażać na zmianę, któraby mnie zabiła... Wolę pójść, zginąć, a kochać ciebie!

Juliusz nic nie odpowiedział chwilę.

— Mierzysz się siłami duszy i serca, odezwał się po krótkim milczeniu, aleś ty pieszczochu nie próbowała nigdy tego życia niedostatku i niewygód jakie nas czeka. Wytrzymasz wszystko... a nie zniesiesz twardej ławy i razowego chleba... Cudnie gdzieś powiedział Jan Paweł Richter: „Życie nauczyło mnie znosić pogardę, niedostatek, upokorzenie, wszystko — prócz skrzypienia okiennicy.“ Ty tak samo znosiłabyś może... wszystko, prócz brudnej wody i suchego chleba.

Marya uśmiechnęła się.

— Mówiłam ci kto jestem... dziewczę z ulicy, córka matki ubogiej, przypomnę sobie niedostatek dziecińczych lat i odżyję nim... Życie mnie pieściło, ale te jego pieszczoty dziś budzą we mnie wstręt tylko... orzeźwię się cierpieniem wielkiem... Zobaczysz, ono mi odda młodość moją.

Na tém się skończyła rozmowa i przeszła w cichy szept, którego nikt prócz Boga podsłuchać nie mógł.

Kilka miesięcy upłynęło do tego czasu, w którym powieść nasza się poczęła; kraj cały miotał się w tym bohaterskim wysiłku, który łzami i krwią tak okrutnie przelaną miał się skończyć; wszyscy biegli dowieść téj gotowości dzieci do obrony matki, z której nie korzyści dla niej, ale czci tylko należnej sobie się spodziewali. Tak jest, nie było rachuby w poświęceniu, ale wesoła ofiara bezprzykładnie wielka, bo żadnej nie pożądata nagrody. Czas i ludzie uczynili ją jeszcze większą, odmawiając jéj nawet uznania.

Nie godzi się łudzić, uznania tego nie mieliśmy, staraliśmy się o nie, przyjaciele nasi nieliczni pracowali nad tém aby je wyrobić, Europa pozostała zinną, niecierpliwą, prawie niechętną. Wśród salonowego żywota a raczej wśród warsztatowej pracy handlarskiego świata, narobiliśmy bohaterskiego hałasu, nikt nie przeczył żeśmy mieli po sobie słu-

szałość, niestety — brakło siły, która wszystko uświęca.

Komukolwiek zdarzyło się wśród nieszczęsnych wypadków tych z potrzeby czy z biedy podróżować po Enropie, mógł się przekonać łatwo, że ogół, wielki ogół pozostał obojętnym na męczeństwo nasze. Obojętności téj bynajmniej nie rodziło współczucie dla Moskali, którzy się sympatją dla grosza tylko swojego siewicie rozsypanego cieszyć mogą, pochodziła ona z wewnętrznego usposobienia ludzi zepsutych życiem rozmiękłym, spokojnym, zdrętwiałym. W charakterze téż rewolucyi 1863 wybuchłej pod naciskiem despotyzmu, było wiele dla Europy zagadkowego. Radykalni obawiali się w niej szlacheckiego i wstecznego kierunku i nieśmiało jój przyklaskiwali. przyjaciele porządku lękali się czerwoności i socjalizmu; nikt dobrze nie rozumiał o co nam chodziło, tłumaczono nas po kosmopolitycznemu, nie chcąc pojąć po polsku. Tyrania moskiewska oburzała, ale sztylet rewolucyi, który ręce szaleńców podniosły, nie w porę bndził wstręt także, Moskwa zakrzyczała nas niesłusznie jako morderców, gdy w ogóle okrucieństwem nigdy i teraz nie odznaczyła się żadna rewolucya polska. Na wyjątkowe terroryzmu zachcianki oburzały się najgo-

rętsze serca, choć często ucisk je prawie uniewinniał...

Napisać historią téj epoki zaiste trudniej przyjdzie niż proste dzieje wybuchu 1831 roku, ze wszystkimi odcieniami przekonań jakie w jego łonie się ukazały. Tu w jednych szeregach, w jednej organizacyi stali ludzie z krzyżem na piersi, z wiarą i ze sceptycyzmem, pobożni i niedowiarkowie, rewolucyoniści i feudalni, żydzi i katolicy, prawosławni i ultramontanie, demokraci i arystokracja... Dopóki gorączka boju trwała, łączyły się wszystkie dłonie, wszystkie serca we wspólnéj miłości jednéj ojczyzny. Wyjarzmienie jéj było celem, podrzędnie zajmowało tylko kto później panować w niej będzie i na co się one urobi.

W chwili wybuchu kraj mimo przygotowań był prawie bez środków do walki, najłatwiej może jeszcze naówczas przyszłoby dostać pieniędzy, choć i tych początkowo organizacja nie miała — główną trudnością była broń... Austria i Prusy jeszcze się były nie ośmieliły do surowszego, czynnego ścigania Polaków, pierwsza szczególnieź zdawała się patrzeć okiem obojętném, prawie przychylném, na wysiłki nasze. Gdy w kraju oddziały już po lasach się zbierały, gdy pierwsze z dubeltówek strzały

padły, dopiero śmielsi ludzie polecili szukać oręża po świecie i środków przekradania go do kraju... Na granicach skupiała się czynność główna, bo tamtędy mógł życiodawczy przybyć oręż do kraju..

Juliusz który był gotowym od pierwszej chwili sięść na koń z drugimi, odebrał rozkaz jako doświadczeńszy i chłodniejszy przewodniczyć ważnemu transportowi broni, bo tego w łada ręce powierzyć nie było podobna, dla frymarków od których świętość sprawy obronić nas nie mogła. Wszędzie gdziekolwiek z tym nieszczęsnym groszem jest do czynienia, ludzi potrzeba zahartowanych do władania nim, aby się pokusie zmóźdz nie dali i oszukaństwowi nie ulegli. Mieliśmy liczne niestety przykłady, jak ostrożnie należało powierzać piekący kruszec, który rzadko na jakiej dłoni nie wypalił stygmatu sromotnego...

Oprócz rękojmi charakteru potrzeba było i talentu do potajemnej na tysiączone przeszkody wystawionej roboty, skrytej, zręcznej i zabiegliwej. Juliusz nie opowiedziawszy się Maryi nawet, znikł z Warszawy, krył on przed nią swój wyjazd jak najstaranniej, badającą zwodził umyślnie i pożegnał biletem czułym, ale nie dającym najmniejszej poszlaki, gdzie za nim tylko myślą pogonić mogła.

Marya użyła naówczas wszelkich środków jakich ją politycznego agenta rola wyuczyła, wcisnęła się w najnieдоступniejsze kryjówki i narady, śledziła, dowiadywała się, cierpliwie szła z nitką Arjady po tych labiryntach spiskowych, dopóki nie dowiedziała się tego czego chciała...

Juliusz na długi dosyć czas musiał zamieszkać w chacie leśnika na granicy galicyjskiej, ustronie to było zaledwie znane kilku osobom wtajemniczonym... Z pobliskiego miasteczka przysuwał się tu czasem wózek niepozorny niosąc nieodgadnionego gościa... niekiedy oficer austriacki z pogranicznej straży przybywał do leśnika, czasami nocą potém przesuwaly się wozy wieśniacze przez lukę niestrzeżoną na terytoryum kongresówki, a Juliusz dopilnowawszy transportu wracał na nudy w téj samotnej chacie, gdzie mu się czas wiekami długim wydawał. — Broń chwymano często po drodze gdzieś, na komorach, w skutek denuncyacyi i nieostrożności na gościńcach, dużo jój ginęło, często tygodniami przychodziło czekać, wyglądać, dowiadywać się, przynaglać, wysyłać nadaremnie. Juliusz musiał nieruchomie trwać na stanowisku... Położenie jego, nie licząc niebezpieczeństwa i przykrości ukrywania się, życia na łasce otaczających, było nieznośne... Tam

w kraju wrzał już bój, od którego tylko dalekie i niepewne dochodziły go wieści, a on w nieczynności pozorniej zmuszonym był siedzieć, cierpieć, domyślać się i szermować z marzeniami skołatanej głowy.

Gospodarstwo leśnika składało się z nielicznój bardzo rodziny, ze staruszki matki jego, z żony niemłodej także i schorzałej, dwojga wyrostków i gospodarza. Na téj pustyni zaliczyć doń należy i istoty prawie do rodziny należące bo dzielące jej samotność niemal nadzwierzęcém uczuciem, kot, pies, kilka kóz i klacz kasztanowata zwana Cyganką, równie przynajmniej z ludźmi zajmowały przybysza. Niekiedy faworyt staruszki bury mysołowca przychodził się ocierać o nogi Juliusza jeżąc grzbiet i wyprężając ogon, naówczas zazdrość chwytła za serce Lewka psa podwórzowego, przylatywał, rzucał się na kota i po krótkiej walce kładł głowę na kolanach wędrowca, kiwając ogonem. Kozy mniej przyswojone już go się nie obawiały, a Cyganka rżała doń gdy przychodził do stajni. Juliusz prawie równie sobie potrafił ludzi pozyskać; dwie niewiasty z początku koso nań patrzyły obawiając się aby Andruszka nie odpowiadał za ułatwienie przemycania broni, gdy jednak postrzegły pieniądze

suto płynące do mieszka, a wojskowych podających środki i ułatwienia do roboty, przestały się obawiać i zaczęły nadszakać Juliuszowi który obiecywał dostatek z sobą wnieść do ich chaty. Stara matka sama jegomości wodę do herbaty grzała, żona leśnika pytała go zawsze coby mu było lepiej na obiad do smaku, dzieci pokoju mu nie dawały pytaniami. Gospodarza Andruszkę rzadko widywał Juliusz inaczej jak wieczorami, musiał on obchodzić swoją część lasu, pokazywać się gdzie go ludzi widywać byli nawykli, wreszcie jeździł z pismami i ustnymi zleceniami do bliskiej miejsciny... Za to gdy noc nadeszła, a długie milczenie dzienne pożądaną czyniło rozmowę, siadali z nim w progu i gawędzili do późnej nocy. Spać było można i we dnie, rozmawiać swobodnie tylko w godzinach tych spoczynku.

Juliusz po raz pierwszy w życiu stykał się tak blisko z człowiekiem niepiśmiennym, pochodzącym z ludu, wykształconym nie z papieru ale przez doświadczenie, myślenie i trudne koleje własnych prób serca i głowy. Nie spodziewał się on tu znaleźć takiego rozsądku, rozwagi, spokoju i jasnego poglądu na świat i jego sprawy. Andruszka z natury był obdarzony umysłem dosyć bystrym, różne ży-

cia koleje dały mu poznać człowieka i stosunki towarzyskie w téj sferze przynajmniej z którą miał choć daleką styczność. Dziwić się było potrzeba surowości i rozsądkowi leśnika, który przy pełnej grzeczności dla gościa, spytany wprost o coś nigdy mu prawdy nie taił.

W pierwszych zaraz dniach po osiedleniu się w chacie, Juliusz począł z nim mówić o rewolucyi, strażnik słuchał długo w milczeniu, nie chciał nic odpowiedzieć, w ostatku odezwał się zakłopotany.

— Daj Boże szczęście tym co dobrze myślą i dobrego pragną...

— A wyż nie pragniecie Polski i swobody?...

— Cóż my, biedne ludziska... nie nauczyliśmy się ani waszój Polski kochać, ani większój swobody pragnąć... nie wiemy dobrze o co chodzi... Nas nie dotyka tak bardzo to co wam ciąży... myśmy, prawdę rzec, dosyć obojętni... Jakiemiście nas uczynili takimi macie...

Ostatnie słowa uderzyły Juliusza, były pełne gorzkiej prawdy, włościanin nie znał téj matki dla której mu walczyć kazano, a nie był pewien czy swoboda drugich nie będzie dlań cięższą niewolą...

Z dalszych rozmów przekonał się Juliusz że An-

druszką miał wstręt do najeźdźców obcych, ale prawie równy krył się pod pozorną obojętnością i przychylnością dla swoich braci i innych warstw społeczeństwa. — Wieśniak nie dowierzał im, obawiał się, był zrażony. Obcującemu z ludem nie było tajemnicą że rachować nań mogli tylko ci co go znali z papieru, książek i teorii.

Oświata wprawdzie mogła z niego uczynić najlepszych kraju obywateli, ale na nią potrzeba było czasu i pracy niemało.

Z innymi razem sądził Juliusz że lud w końcu da się urokiem krwawego dramatu pociągnąć, nie mylił się w istocie, ulegał on wrażeniu tego poświęcenia bohaterskiego, ale tylko siła i zwycięstwo mogły go do działania pobudzić, a ofiarnictwo później dopiero na umysłach miało wycisnąć to piętno, którego skutki należą do przyszłości. Z mógł wstać do nawracania ludu duchy gdy mogły darnią i ostami porosnąć. Krew przelana musi wsiąknąć w ziemię nim plon wyda...

Postawiony na straży w tém odludziu Juliusz rozmyślał wiele, były dlań dni ciężkiej tęsknoty i nieprzebyte nudów godziny... słuchał szumu lasów naówczas, razem z Lewkiem siadał na przyźbie i oba patrzali w zielone głębie czekając czy się co

na pustymym nie zjawi gościńcu. Trudno uwierzyć by w ciągłej obawie, niepewności i nieustannych ostrożnościach, które przedsiębrać było potrzeba dla siebie i powierzonych roboty, Juliusz mógł być zdolnym do jakiej pracy; mimo to wszakże dziwne jego usposobienie w niej mu szukać kazało uspokojenia, ukołysania duszy. Wziął z sobą Shakespeara i Platona, i jeżeli nie siedział nad rachunkami lub nie poił i nie bałamucił nadgranicznych strażników, zatapiał się w nieśmiertelnych wyrazach myśli ludzkiej, aby zapomnieć o tém co go otaczało i oczekiwało. To maluje człowieka z pewnych względów, miłość dla kobiety upadłej, poświęcenie dla sprawy, w której zwycięstwo słabo lub nie wierzył, gorące zajęcie robotą najmniej ponętną i odżywianie się u źródła czystego gieniuszu. Z podobnych sprzeczności ileż razy człowiek się składa!! Takim go czyni wrodzona iskierka ducha, żywot ciężki i napojenie pojęciami różnemi... Sceptyk miał jedną wiarę w wielkość poświęcenia i skuteczność ofiar dla ludzkości, choćby pozornie daremnych. Z wielu innemi wierzył mocno, że rewolucya polska nie osięgając tego celu jaki sobie zamierzała, dójdzie do innego może ważniejszego niż ten który sobie założyła. Tak starzy alchemicy

pracując nad robieniem złota, wynajdowali mimo-
woli różne kombinacye, które nauce i ludziom
posłużyć miały do dalszego pochodu...

Jednego wieczora siedział tak Juliusz przed
chatą obyczajem swoim, Lewka na straży mając
przy sobie z nastawionemi uszami, gdy w głębi
lasów szelest się jakiś dał słyszeć. Pies dużo wprzód
poczuł zbliżenie się czyjeś nim Juliusz je pochwycił.

Sterczące uszy Lewka, potem pociąganie no-
sem niespokojne, później urywane naszczekiwanie,
naostatek zerwanie się z przyżby i obranie stano-
wiska przed chatą, oznajmiły coś niezwyčajnego.
Zwykle Lewek inaczéj powrót do domu Andruszki
przeczuwał, naówczas kręcił się milczący, wesoły,
naszczekiwał ale wesoło, wybiegał aż do pierwszych
zarośli i kręcąc ogonem powracał wypowiadając
dzieciom i żonie swą radość. Wiedziano już że go-
spodarz był blisko. W razie gdy kogo wiozł z sobą
uciecha psa pomieszana bywała z trochę niepokoju.
Tą razą widocznie musiał się zbliżać ktoś obcy
całkowicie, bo pies bardzo się kręcił i groźnie od-
zywał szczekiem który na wycie zarywał. Ucho wy-
tężone Juliusza który był Shakespeara porzucił na
pierwszym akcie Cymbelliny, napróżno usiłowało
chwycić szmer jakiś w oddaleniu, najgłębsza cisza

panowała w lesie, niekiedy tylko szelest poruszonych gałęzi jakby od przebiegającego zwierza przerwał milczenie puszczy. Niepokój psa wszakże coś oznaczał, na wszelki wypadek Juliusz poszedł po rewolwer i włożył go do kieszeni, wszystkiego spodziewać się należało, ci co za pieniądze przewozili broń, również za pieniądze zdradzić mogli. Szubienica czy więzienie forteczne groziły przebrancmu agentowi do dostawy broni.

Pies wybiegł daleko drożyną wiodącą nie do miasteczka ale nad granicę polską i ujadać zaczął okrutnie, potem uciął, zaskowytał, szczeknął radośnie i pierwszy ukazał się na ścieżce... za nim szedł Andruszka, za Andruszką jakiś nieznajomy niewielkiego wzrostu mężczyzna ubrany czarno z lekką fuzyjką na plecach...

Juliusz wstał i przypatrywał się bacznie kogo mu prowadzono, gdy nagle pobladł i ręce załamał, w bladłej twarzy przybysza poznał przebraną Maryą... W głowie mu się pomieścić nie mogło jak się tu ona dostała... wstyd jakiś, gniew, wdzięczność razem ogarnęły go... myśl wręście przeleciała po głowie błyskawicą że tak samo jak ona i obcy mógł się o niego dopytać. Wszystko to trwało chwilę tylko, bo biedna kobieta już mu ręce za-

rzuciła na ramiona z płaczem i witała go nie mogąc przemówić słowa. Andruszka stał i patrzył posępny, mimo doskonałego przebrania poznał on prowadząc podróznego że był kobietą i dziwne myśli chodziły po stariej jego głowie. Zimny dość człowiek czuł się poruszony tém poświęceniem niezmierném i serce go zapytywało... co jest w téj sprawie tak potężnego aby dla niej ludzie życie, spokój, majątek, cześć swą i wszystko ważyli. Przykład mówił mu i przekonywał że w głębi leżała niepojęta dlań tajemnica... Takimi chwilami wrażenia nawracają się ludzie.

Złamana podróżą pieszą męczącą, obawą jakiejś doznała i powitaniem z Juliuszem, Marya musiała usiąść aby nie paść, serce jój biło i głowa się zawracała. On patrzył i milczał więcej zmieszany niż szczęśliwy.

Miał już ją zapytać jak się tu dostać potrafiła, gdy z za sukni dobyła zwitek papierów, — rozkazy urzędowe które niosła, te Juliuszowi wytłumaczyły wszystko. Marya przyjęła na siebie obowiązki posłańca aby się mogła o niego dowiedzieć i dostać do niego. Niosła znaczną sumę pieniędzy na którą Juliusz oczekiwał, dyspozycye, skazówki,

rozporządzenia władzy niewidzialnej, a naówczas jeszcze wszechmocnej prawie. Papiery te drżały w rękach Juliusza, ale nieprzytomny czytać ich nie mógł... podał dłoń Maryi milczący i wprowadził ją do alkierza w którym zamieszkiwał... Przed domkiem został rozłożony tom Shakespeara, Lewek łaszący się przed panem i gospodarz szepczący coś do żony po cichu...

Juliusz z uczuciem głębokiem ale z surowością zarazem przyjął Maryą, był jęj wdzięczen i niespokojny, w pierwszych wyrazach wypowiedział natychmiast naganę za porwanie się do takiego kroku nad siły niewieście.

— Przecież widzisz, odpowiedziała mu pokornie, żem się tu cało i bezpiecznie dostała... a jeśli ci będę zawadą i nie zechcesz mnie, odejdę jakem przyszła, ale mi zostanie pociecha żem ciebie widzieć mogła i dłoń twoją uścisnąć... ty nie wiesz jak gryzie i zjada tęsknota, boś jęj nie doznał... Ty zatopić się możesz w książce, odlecieć od teraźniejszości, twoja miłość dla mnie jest znizeniem się Bóstwa jak w balladzie Bóg i Bajadera... moja podźwignięciem ku światłości... dla której i ja... bajadera nieszczęsna na stos jestem gotową...

Juliusz się zamyślił... Nie mieli czasu rozmówić się dłużej, gdy gwałtowne szczekanie Lewka zaniepokoiło Juliusza, znał on wszystkie głosy wiernego stworzenia oznajmujące o niebezpieczeństwie, prawie równocześnie gospodarz wpadł zbladły do alkierza...

— Paniczu! zawołał żywo... Bóg wie co się stało, ale zdaje się że od moskiewskiej granicy dano znać naszej straży o czymś... jadą tu na rewizyą... oddział wojska i urzędnik cywilny i gromada chłopów ze wsi sąsiedniej, na Boga żywego, uciekajcie...

Marya straszliwie pobladła... mimowolnie ta wiadomość rażąca jak piorun ubodła ją w serce... równo z jej przybyciem przychodziło nieszczęście, któż wie czy ją upadłą, spodloną w przeszłości, Juliusz nie mógł posądzić o zdradę?

Straszny ten pomysł tylko mignął przed nią i był dla niej ciosem prawie śmiertelnym, posłoniła się, była omdlenia blizką. Juliusz zapomniawszy o sobie biegł ją ratować, gdy Andruszka zawołał:

— Jest kwandrans czasu najwięcej... co żywiéj, uchodźcie, uchodźcie... Znacie ścieżynkę wiodącą

do ługu za którym jest stary piec wapienny, skryjcie się tam w zaroślach, ja jak się tylko uspokoim przyjdę po was, na Boga ani chwili nie traćcie...

Juliusz pochwycił dwa rewolwery w kieszenie, papiery na piersi, zapiął suknię, porwał Maryą za rękę i począł biec ku drzwiom... Lewek ciągle zajadle naszczekiwał... po za krzakami głucho wóz słyszeć było tętnienie...

Już wychodzić mieli gdy biedna kobieta zmęczona pochodem, dobita wrażeniem, osunęła się na podłogę i zemdlała... Juliusz ledwie miał czas rzucić jej wodę na twarz, Andruszka łamał ręce na progu i powtarzał machinalnie zdrętwiały ze strachu: — Uchódźcie! uchódźcie! na Boga uchódźcie!

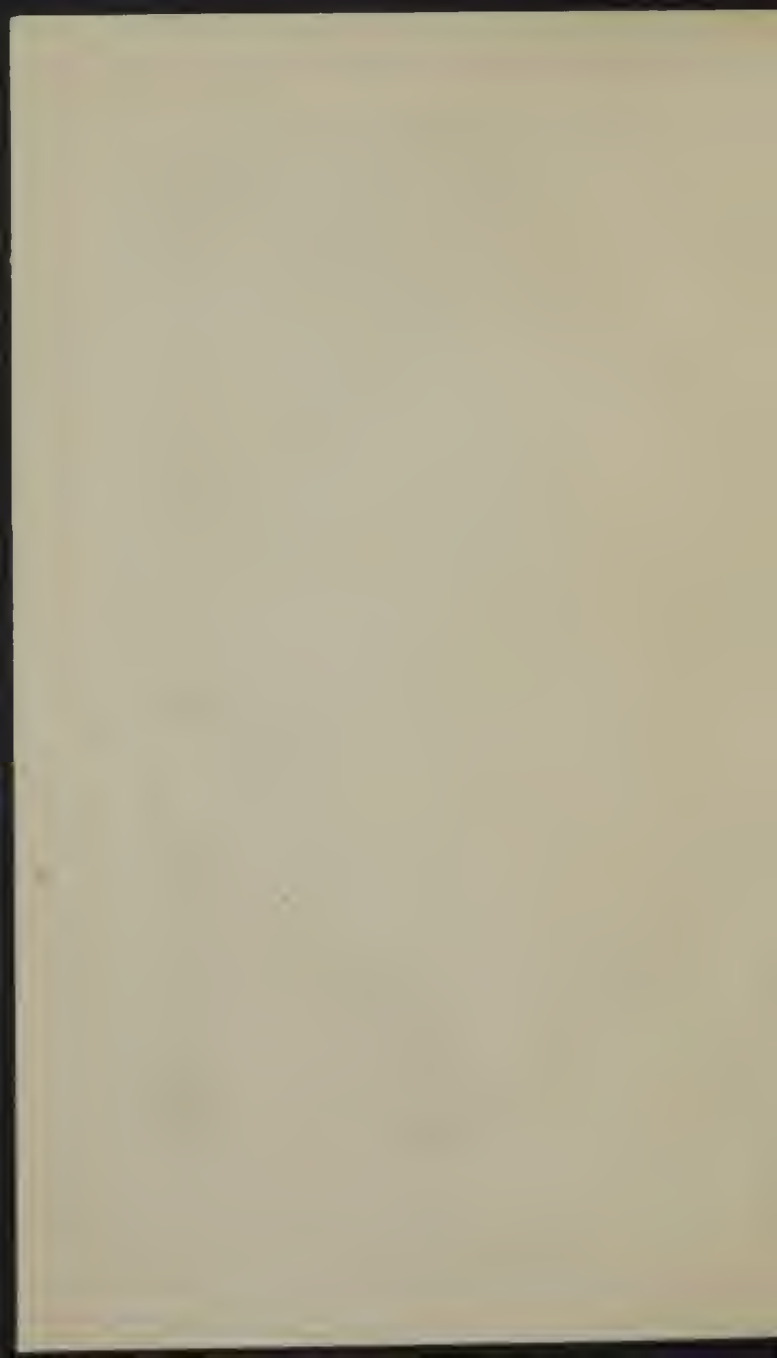
Nie było się co łudzić; Marya choć ocucona iść i uciekać nie mogła, na czołe jej bolesny złożwszy pocałunek Juliusz wahał się co miał uczynić, gdy ona go sama odepchnęła, wołając:

— Nie myśl o mnie! uciekaj! uciekaj...

Od drzwi i dziedzińca już postrzeżonym być mógł Juliusz, otwarto okno i przez nie skoczył w zarośla... Nastąpiła chwila oczekiwania straszna, długa, po niej hałas na podwórku, zmieszane głosy różne... i wrzawa. Marya nie słyszała nic, leżała

bezprzytomna i zemdląa powtórnie. — Myśl jedna dobiła ją.

— On może na chwilę przypuścić że ja go zdradziła! że byłam służką jego wrogów! o Boże mój! o mój Boże!...



Pomimo wielkiej siły charakteru, i krwi zimnej którą w nim każde nagłe niebezpieczeństwo podwajało, Juliusz uczuł się niepewnym co miał począć, gdy znalazł się w zaroślach i gęstwinie pod oknami dworku strażnika, wahał się chwilę czy uciekać dalej czy starać ukryć bodaj w gałęziach starych dębów niedaleko stojących. Nadjężdżający oddział nie mógł plądrować po lesie, bał się oddalić zostawując Maryą, nie dobrze wiedział dokąd się udać. Instynkt zachowawczy który przybywa w pomoc człowiekowi, gdy rozum w nim zamiera i staje się niedostatecznym, pchnął go głębiej w las. Przedarł się przez krzaki... nasłuchując nieco. Krótkie, urywane tylko naszczekiwanie psa, dochodziło uszów jego... tętent... potem milczenie złowrogie. — Pośród drzewy stary jakiś dół suchy, zarosły pokrzywami zdawał mu się dostatecznym ukryciem, wpadł więc i zarył się głęboko, czekając co dalej

się stanie. Był o jakie kilkaset kroków od chaty, wśród gąszczy nieprzebytych...

Krótką chwilą rozmysłu zdawała się go przekonywać że nie było potrzeby zbyt daleko uciekać... mógł wpaść na krążące strażce nie będąc świadom dobrze kierunku w jakim się miał udać. Juliusz był też po troszę fatalistą i powiedział sobie że jeśli los go zechce ocalić, potrafi tak dobrze w rowie jak gdzie indziej. Najpilniejszą sprawą było zniszczenie papierów które miał przy sobie, rozwinął więc je, rzucił okiem na przywieszone mu świeżo i ważniejsze zaczął drzeć i połykać. Resztę którą chwycił uciekając, odgrzebawszy ziemię rękami zakopał i przyrzucił garścią zgniłej słomy, aby pokryć świeżo poruszoną ziemię. Odbyszwy to przygotowanie pierwsze, uznał koniecznym samemu przejść gdzieindziej aby na wypadek odkrycia w témże miejscu nie znaleziono zagrzebanych papierów. Cisza była dokoła, wysunął się z rowu i przedierał dalej gęstwiną niedobrze wiedząc dokąd idzie. Została tylko przy nim znaczna summa pieniędzy i dwa rewolwery nabite. — Pieczętka, dokumenta i wszystko co sprawę zdradzić mogło leżało zakopane i bezpieczne... Juliusz oprzytomniał nieco spełniwszy pierwszy obowiązek, teraz szło już tylko

o własne jego bezpieczeństwo, a z życia uczynił był dawno ofiarę. Uchodząc przysłuchiwał się, ale choć mu się zdało że nie mógł być w wielkiemu oddaleniu od chaty leśnika żaden go ztamtąd głos nie dochodził. Na drzewie dzięciol tylko wystukiwał dzienną swą strawę, a górą gałęzie, poruszane wiatrem, szumiały poważnie. Ta cisza natury obojętniej dziwnie mu się wydała przy bijącym sercu jego... Lazur nieba które widać było w górze tak był czysty i jasny jak w najpogodniejsze dni życia...

Zdało mu się że bić się głębiej nie było potrzeby, wszedł się w krzaki i padł pod ich splecionymi gałęzmi, — obraz biednej Maryi stał mu przed oczyma, serce biło ku niej — ale ten tak gwałtowny napad właśnie gdy ona odkryła go, mimowolnie obudził w nim podejrzenie które odepchnął od siebie.

Niestety! zła myśl powraca gdy dobra ucieka... wpiła się ona w pierś znękaną z siłą nadzwyczajną, Juliusz doznał kary za ukochanie istoty odrzuconej, jej przeszłość ciążyła nad nią i nad nim. Napróżno starał się wyrozumować że ona żadnego udziału w tej przygodzie mieć nie mogła — podejrzenie wracało odepchnięte za każdą razą przynosząc z sobą nowe na poparcie domysły i oznaki.

W tém niewysłowioném cierpieniu nadszedł powoli wieczór, zmierzchało a Juliusz nie słysząc pogoni, widząc się bezpiecznym, wyrachowawszy że z chaty strażnika ci co go szukali odjechać już musieli, postanowił podpełznąć ku niej, aby o tém co się stało dowiedzieć.

Z największą ostrożnością, odchylając gałęzie począł wracać ku domostwu, ale niełatwo mu było do niego znaleźć drogę, choć zdawało się być bardzo blisko. W chwili gdy się już spodziewał dostać do ogródka, znalazł się w gęstwinie leśnej i spostrzegł dopiero że się zupełnie obłąkał. Zwrócił się więc na nowo poszukując własnych śladów, przypominając którędy szedł wprzód, ale mrok wieczorny, zwiększony cieniem lasu, zasłaniającemi niebo drzewami, coraz bardziej zalegał zarośla, w których o krok rozpoznać się nie było podobna. Upadał w doły, i tłukł się o kłody których nie mógł już dostrzedz. -- Trzeba więc było spuścić się na los i instynktem iść na oślep w jedną stronę, potem w drugą, podsłuchując czy głos Lewka lub skrzyp studni i cicha rozmowa nie wskaże mu chaty leśniczego. — W zupełnej w końcu znalazł się nieświadomości miejsca w którym się znajdował. Lękał się odezwać, aby nie zwabić pogranicznej straży

lub jakiego ruchomego patrolu celników, krążących nad kordonem.

W téj niepewności rzucając się po lesie i nie wiedząc co począć, jak radzić, przez splecione gałęzie zarośli dostrzegł naostatek światelko... ucieszył się, była to gwiazda wybawcza! sądził że błyskało ze znajomego mu okienka strażnika. Śmielój teraz posunął się ku niemu wprost i po niedługiej chwili znalazł się w istocie blisko znajomej chaty. — Nie śmiał jednak zbliżyć się i wejść obawiając się czy żołnierze w niej nie nocowali... Podkradając się cicho aby nie zrobić szelestu sobą, przysunął się do ściany od tyłu, i zajrzał w okienko... ale cofnął natychmiast... Izby pełne były żołnierstwa, o kilka kroków od niego, w podwórku taborem leżeli wieśniacy spędzeni także na obławę tę nieszczęśliwą. — Nie było więc środka innego, musiał sam, nocą, jak najdaléj uciekać. Już naszczekiwanie Lewka, który się zbudził dosłyszawszy szelest gałęzi w pobliżu, zaczynało zwracać uwagę żołnierzy; Juliusz miał zaledwie czas odskoczyć w bok i mniej więcej obmyśliwszy kierunek, posunął się w głąb puszczy...

Wiedział on o niezbyt oddalonej drugiej straży, której nadleśny był mu znajomy, tamtędy zwykle

przechodziły transporta, nieraz bywał tam pieszo, zdało mu się że i nocą szczęśliwa gwiazda go zaprowadzi. Obmyślił sobie zanocować tam a przysłać do Andruszki później po trochę odzieży i schowane jeszcze w chacie papiery, które, jak się spodziewał, nie zostały pewnie odkryte.

Pochód ten wśród coraz głębszej ciemności okazał się daleko trudniejszym niżeli sądził zrazu, niepodobna prawie było iść stale w jednym kierunku, las przerzynały bagienka, kłody, nieprzebyte gąszcze które musiał omijać, a obszedłszy je zbaczał z drogi i tracił o niej pamięć, tak że w końcu sam nie wiedział już jak szedł i dokąd.

Po długim i nużącym pochodzie, niespodziewanie zaczęły się przed nim przerzedzać drzewa i szersza jakaś ukazała droga. Juliusz wszakże rozpoznać jej nie mógł, ani sobie przypomnieć. Właśnie na nią wchodził gdy nagle dał mu się słyszeć okrzyk moskiewskiego żołnierza, a prawie razem błysnął wystrzał... Biedny zbłąkany uczuł się jakby silnie uderzonym w prawe ramie — kula mu je zgruchotała.

Nie wydając krzyku przypadł na ziemię, sądząc że go ciemność osłoni i że czołgając się po-

woli zapelźnie w głąb lasu, ale w tejże chwili poczuł silną rękę która go chwyciła za gardło.

Lewą sięgnął po rewolwer i miał jeszcze siłę wystrzelić. Napastnik go puścił, ale natychmiast przypadł drugi i porwał go za nogi, ci-nąc do ziemi i bijąc... Dwóch jeszcze nasiałdo mu zaraz na kark, .a że prawą rękę miał zgruchotaną strzałem, poddał się nie mogąc bronić więcej i został na łasce strażników granicznych...

Radość ze schwywania go była ogromna, nanie-cili zaraz ognia i spostrzegłszy surdutowego jego-mości w miejscu kontrabandyisty którego się ująć spodziewali, poczęli go chciwie odzierać. — Nie ma nic okrutniejszego nad taką dzicz, gdy się czuje zwycięzką — pastwi się ona wówczas z zajądlnością zwierzęcą gdy jój żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Juliusz zrazu czuł jak go zwlekano z odzie-ży, tarzano po ziemi i bito, potem omdlał z wielkiego bólu, i z krwią upływającą stracił zupełnie przytomność. Zdawało mu się że umiera — nie-stety! osłabł tylko i wkrótce miał się ocucić.

Gdy oczy otworzył i oprzytomniał znowu znalazł się w budynku jakimś, otoczony zgają żołądactwa, związany grubemi postronkami, Żydek cyrulik z pobliskiego miasteczka opatrywał mu ranę

z niezgrabnością zarozumiałego nieuka. Czyniono to z rozkazu pana naczelnika wojennego, nie żeby go miał los nieszczęśliwego obchodzić i litość obudzać, lecz że twarz jeńca i ilość pieniędzy znaleziona przy nim (uszły one bacznosci pierwszych łupieżców którzy tylko portmonetkę zabrali) — kazały się domyślać jakiegoś ważnego politycznego w nim człowieka. Leczone go więc aby dłużej męczyć, a nadewszystko żeby się od niego coś dowiedzieć. Rząd moskiewski przez czas bardzo długi nie mógł trafić na żaden ślad organizacyi, łapano z początku tych co umieli milczeć lub nie nad ogólniki wygadać nie mogli; starano się więc wszelkimi sposobami o dostanie języka. Juliusz naturalnie przeznaczonym został do Warszawy gdzie główny zasiadał trybunał, i dla tego chciano zatamować upływ krwi i zabezpieczyć się że w drodze im nie zemrze. Nie było to poszanowanie boleści ludzkiej i człowieka, ale prosta, chłodna rachuba.

Rana zresztą była w istocie niebezpieczną, gdyż kość została zgruchotaną, cyrulik nawet nie wiedział co z nią począć, ale odgadł że odjęcie ręki było koniecznem, a na tę operacyą ważyć się nie śmiał. Powołano wojskowego lekarza. który od

pierwszego wejrzenia wyrok ten potwierdził. Był to Moskal, człowiek już niemłody, zahartowany praktyką szpitalną i doświadczeniami *in anima vili*, nie cierpiący przytém Polaków, bo doktorowie polscy więcej od niego umieli; obszedł się więc z jeńcem do niezręczności mimowolnej łącząc grubiaństwo umyślne, jak był zwykł z żołnierzami... nie szanując ani nieszczęścia ani cierpienia, naigrawawając się z obojga. Dla niego Polak był mniej niż człowiekiem... Juliusz poczuł się tém mniejzłym im okrutniejszym był oprawca, skupił w sobie całą siłę ducha aby nawet nie jęknąć, co gorzej jeszcze rozwściekiło doktora Sawirowa.

Nie szczędził środków aby wywołać skargę i prośbę o litość, któraby mu dozwoliła odpowiedzieć szyderstwem, ale napróżno. Juliusz do końca zagryzał usta i zamknawszy oczy, zdawał się skamieniałym, trupia tylko bladość pokryła twarz... Zmęczył się nareszcie kat i powierzwszy obandażowanie cyrulikom, sam powrócił zamyślony do pana naczelnika wojennego.

— No? a cóż? spytał pułkownik, oporządziłście go?

— Biała rączka Polaczka leży na stole... rzekł potrząsając głową Sawirow, ale mylicie się sądząc

że z tego więźnia co dobędziecie! Darmo go posyłać do Warszawy i badać, to jucha twarda! Próbowałem ja go, ale ani jęknął... o! zacięty! Jeszcze mi się nie trafiła amputacya, żeby ją kto tak zniósł. Musi to być któryś ważniejszy buntownik... da się ściąć czy powiesić, a nie piśnie słowa, za to wam rękę...

Pułkownik się uśmiechnął, miał w téj mierze doświadczenie.

— Stefanie Prokopowiczu, odpowiedział, krótki ból, półgodzinny, każdy mężny człowiek przetrwa, ale powolną a długą męczarnią! Jesteście doktorem a ludzi nie znacie i Polaka nie znacie! Polak da sobie ściąć głowę, ale nie zniesie czasem głodu, chłodu i trudu więzienia. Oni tam już w Warszawie wiedzą jak sobie radzić z nimi. Byleby dojechał.

— O! dojedzie, za to rękę! rzekł Sawirow.

— No — to niech sobie rusza... można go zaraz wyprawić?

— Wszystko jedno, umrzeć nie umrze, a że się gorączka powiększy i pocierpi gorzej, cóż wy go żałować będziecie?

Pułkownik ruszył ramionami z uśmiechem, doktor także, nie potrzebowali mówić wiele.

— Mniej jednym z nich... dodał lekarz, to i lżej matuszce Rosyi. — Naprawić my ich nie naprawimy, a pozbyć się potrzeba... jak zdechnie to zdechnie!!

Nie ci tylko dwaj wielcy politycy tak rozumowali, Rosya przez usta Katkowa ogłasza to jako swoją teorią, od której odstąpić nie myśli — wytepić jej potrzeba, bo za słabą jest żeby nawrócić, za dziką żeby pochłonać; zabić więc tylko może i zabija.

Nazajutrz wsadzono Juliusza z ręką odciętą i gorączką okrutną w powóz zabrany u jednego z obywateli tytułem rekwizycyi (który sobie potem oficerzyna przywłaszczył) i pocztą powieziono go do Warszawy.

Ale choroba wzniosła się tak silnie w ciągu pierwszej doby, że bezprzytomnego i znękanego z obawy śmierci wstrzymano w pierwszym miasteczku po drodze. Naczelnik wojenny, w którym się odezwało jakieś ludzkie uczucie i przebiło przez mundur, kazał więźnia pod strażą umieścić w lazarecie wojskowym. Użyto wszelkich możliwych środków dla wstrzymania gorączki i usunięcia niebezpieczeństwa, ale potrzeba na to było kilku tygodni, by w dalszą drogę mógł się udać. Z Warszawy dopomiano się o niego pilnie, zniknięcie bowiem

dawało się domyślać jego współudziału, a każdy nieco znaczniejszy człowiek, zdawał się naówczas władzom jednym z najważniejszych członków rządu narodowego. Nie tyle szło o powieszenie, bo było kogo wieszać, jak o wyciągnięcie z niego jakichkolwiek zeznań. — Wysłano więc Juliusza do cyta-
deli, ale i tu nie można inaczej było jak w lazarecie go umieścić. Mimo potęgi moralnej i niezłomnego charakteru Juliusz był po przecierpianych próbach ledwie pół żywą istotą domagającą się tylko śmierci i końca... Od ujęcia nie otwierał ust prawie, postanowiwszy milczeniem zbywać wszystkie pytania, nie myśląc nawet się bronić. — Łajania, groźby, obelgi nic na nim nie wymogły, kamieniał tylko od nich; rannego i zboląłego bić się nie ośmielono, nie przez litość, ale obawiając się by nie umarł, a do grobu z sobą nie poniósł tajemnic...

Dotąd sądził Juliusz, że nawet imienia jego nie wiedziano; ale w skutek wiadomości osiągniętych z Austrii, od władz pogranicznych, i poczynionych denuncyacji w Warszawie, przekonał się wkrótce iż nazwisko jego było im znane, przeszłość nie obca. Mało go to obeszło, spodziewał się zawsze iż stan rany się pogorszy i sprowadzi śmierć, kilka razy w nocy odrywał bandażę, lecz pilnie czuwano nad

nim, zdrowie najniepojętszym sposobem wracało, wy-
czerpnięte życia zasoby odradzały się dziwnie.

Po przyjeździe do sił, gdy go postawiono przed
komisją śledczą, kalekę bez ręki, między zasiada-
jącymi w niej postrzegł dawnego niegdyś niby przy-
jaciela, towarzysza szkolnego, o którego wysokiem
powołaniu nowém wcale nie wiedział. Wejrzenie
jego padło na bladą twarz odrzutka, który oczy
osłonięte okularami skrył w papierach... Nie wie-
dział sam czy się z tego miał cieszyć czy obawiać.

Trudno było udawać niemego, na pierwsze więc
pytania odpowiedział Juliusz, że nie wiedział za
co go straż nadgraniczna pochwyciła, że jechał do
krewnych w Galicyi z pasportem, że się nocą obłą-
kał, a nie czując się wcale winnym w niczém, tłū-
maczyć się nie widzi powodu.

Na to po chwilce poszukiwania w papierach.
odparł zimno jeden z członków komisji odczyta-
niem obszernego raportu, który życie, prace, myśli
i wszelkie czynności obwinionego w kraju i za gra-
nicą opisywał bardzo szczegółowo. Było w tém
wiele prawdy, ale nieznajomość osób i stosunków
domięszała drugie tyle fałszu, tak że akt ten dzi-
wnie się bardzo wydawał, z jednej strony odkry-
wając takie rzeczy, o których mało kto mógł wie-

dzieć, z drugiej narzucając wnioski i domysły całkowicie mylne.

Daje się to do dziś dnia widzieć we wszystkich dziennikarstwie rządowego i śledztw wnioskach, opartych na źle zrozumianych wiadomościach, w których prawda podchwycona najdziwniej jest użyta i powykrećcana, przez kraju niewiadomość.

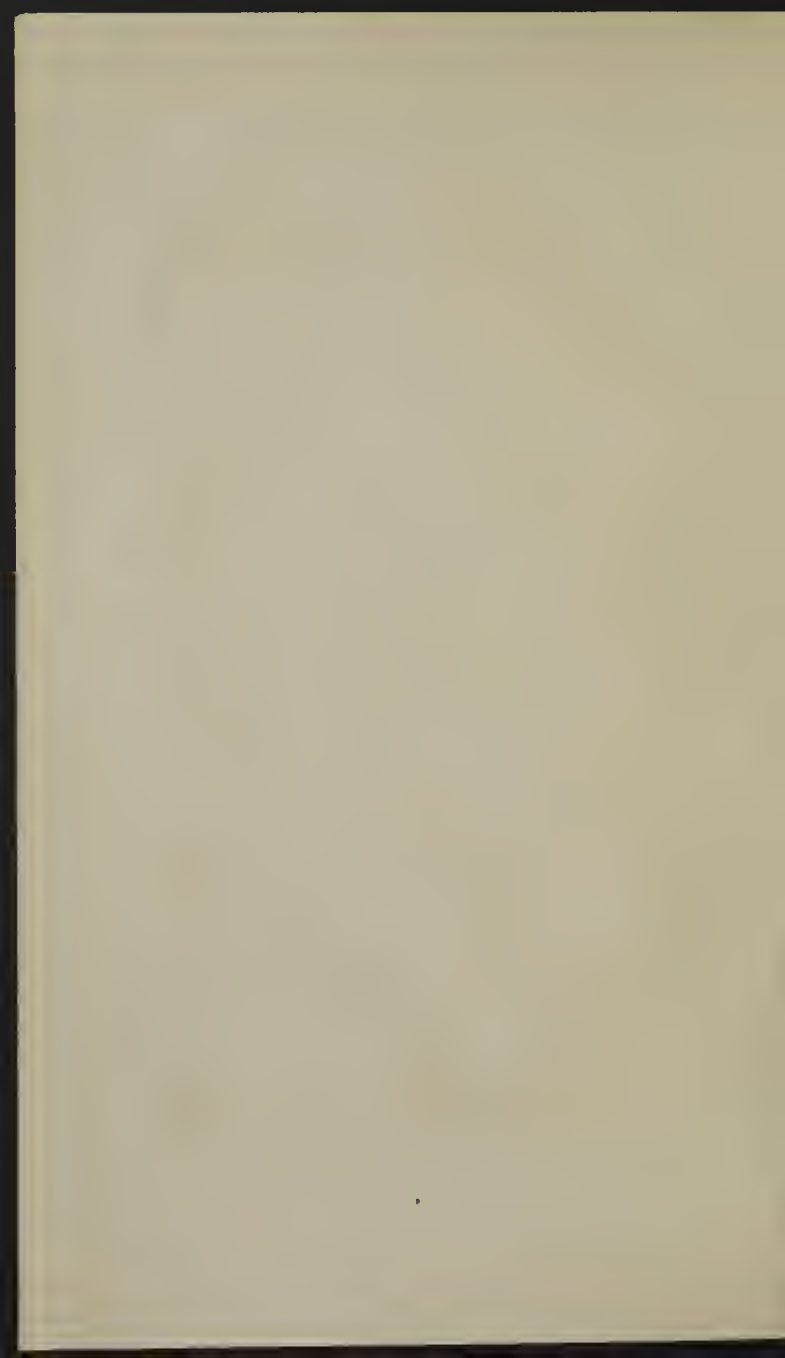
Odczytywanie tego ważnego dokumentu trwało dosyć długo; zrodził on najboleśniejże w nim uczucie, nowy domysł że został zdradzonym przez tę, którą ukochał. Odepchnął go wprawdzie z oburzeniem, ale mu się naciskało to przypuszczenie gwałtownie... Zdawało mu się że nikt oprócz niej tak nie mógł znać wszelkich życia jego przygód i tajemnic... czuł w tém jęj rękę...

— To być nie może! mówił w duszy, a serce rozkrwawione odpowiedziało: Wszystko być może na tym świecie, a najprędzej to złe, którego się człowiek najmniej spodziewa... Dotknięty, złamany tém przypuszczeniem, nie myśląc się ani bronić, ani przeczyć, Juliusz odpowiedział tylko:

— Ponieważ panowie jesteście tak dobrze uwiadomieni o wszystkim co się mnie tyczy, nie sędzę abym był obowiązany w czemkolwiek ich jeszcze objaśniać. — Proszę mnie sędzić.

Zręczni inkwizytorowie starali się swoim zwyczajem napróżno przedstawić winowajcy, iż skrucą mógłby swój los polepszyć i karę złagodzić; więzień zamilkł, spuścił głowę na piersi i zbywał ich tylko niezbędnemi półsłowami.

Dano mu jeszcze czas jakiś do namysłu i odprowadzono do więzienia.



Zołnierze i urzędnicy którzy na dworek lesniczego w skutek jakieś denuncyacji napadli, znaleźli Maryą zemdlającą, strój męzki był powodem że ją natychmiast aresztowano, ale gdy odzyskała zmysły i okazała jak najlegalniejszy pasport i listy polecające do władz, które miała przy sobie, mimo podejrzeń jakie bytność jej w tém miejscu obudzała, musiano ją wypuścić niezwłocznie. Zeznania ludzi miejscowych dowiodły dostatecznie, iż tylko co tam przybyła, ona sama tłumaczyła się że zbłąkała się w podróży. Napróżno poszukiwano głównego winowajcy — znikł bez śladu... Dopiero w parę dni rozeszła się wieść o ujęciu na granicy i postrzeleniu przez strażników jakiegoś nieznajomego mężczyzny, w którym się Andruszka swojego zbiega domyślił.

Zaledwie uwolniona Marya w rozpaczę puściła się w pogoń za Juliuszem, ale mimo zręczności

i natarczywości w poszukiwaniu, nigdzie nań trafić, potem dostąpić doń i widzieć się z nim nie mogła. Winna tylko była umiejętności języka rosyjskiego i płci swój że ją jeszcze nie uwieziono. W ślady Juliusza przybyła na granicę po jego schwytaniu. w miasteczku gdzie chorował widzieć się jój nie dopuszczono z nim, a gdy raz został zamknięty w cytadeli, stało się zupełnem niepodobieństwem dobić do niego. Dawne stosunki Maryi ułatwiały jój wiele, przecież nie mogła wszystkiego poświęcić od razu, rachując na to że stanowisku swemu może być winną później jego ocalenie. Wiedziała już że Juliusz postradał rękę, że mocno był chorym, ale miała przecucie że on nie umrze, dopóki ona czynem przed nim usprawiedliwić się, dowieść mu poświęcenia nie potrafi. Marya знаła doskonale Petersburg i Moskali, ale w innych całkiem czasach, gdy liberalizm był w modzie, gdy z nimi prawie wszystko co kto chciał pieniędzmi i kobiecym uśmiechem mógł zrobić. Nie zdawała sobie sprawy z wielkiej zmiany jaka zaszła w ciągu kilku tych miesięcy w rządzie, w opinii i porządku spraw politycznych. Może dla tego śmielszą była i spokojniejszą.

Powróciwszy do Warszawy tak, że na siebie nie ściągnęła podejrzeń o *współczucie* dla sprawy

polskiej, biedna kobieta pasować się musiała z sobą nim odzyskała dość siły do dalszej, ciężkiej pracy. Trzeba było, musiała powrócić do obrzydłych dawnych stosunków, do kajdan plugawej niewoli, aby kosztem poniżenia własnego ulżyć losu Juliuszowi, trzeba się było uśmiechać z rozdartém sercem i wdzięczyc do katów.

Był to niestety, teraz jedyny sposób ratowania nieszczęśliwego. Na bladą i wynędzniałą twarz jęj wystąpił kupny rumieniec, bo potrzebowała być piękną — piękność była narzędziem jęj nieszczęśliwego rzemiosła. Otworzyła znowu drzwi mnogim dawnym swym wielbicielom stołecznym, przybyszom znudzonym Warszawą, dla których piękne lice znane z Petersburga, było wielce pożądaném, a poufała rozmowa z piękną kobietą, którą poczytywano za gorliwą Moskiewkę — nader miłą.

Aby się dowiedzieć czegoś i coś przedsięwziąć, nie godziło się zdradzić niczém swojego wewnętrznego bólu. Marya uśmiechała się, potakiwała, przeklinała nawet Polaków i Polskę...

Ale jakże zmienionymi znalazła tych ludzi, których przed niedawnymi jeszcze czasy знаła jako bezduszne, zastygłe stworzenia!! Jedno słowo czy nieopatrznie czy podobno rozmyślnie z góry rzu-

cone nanieciło ten pożar patryotyczny który cudownie płonął w Moskalach, uradowanych że ich osądzono godnymi mieć jakąś własną myśl i uczucie, że oni wchodzili w rachubę i ich opinie coś narazie ważyły. Z baranków stali się krwiożercami... W początkach jeszcze rewolucyi panowała jakaś niepewność w sposobach zapatrywania się na nią, teraz z jednomyślnością niewolniczą wszyscy oświadczały się z mocnym postanowieniem zjedzenia Polski i Polaków do ostatniego. — Wzdychając wymawiali się z tego ludożerczego apetytu koniecznością polityczną, pochlebiało im to widocznie że choć w ten sposób zębami do polityki wmięszać się mogli. Prąd tego co nazwano opinią, nie dopuszczał teraz ani się odezwać w obronie Polski. Tacy ludzie jak Żywcow i jemu podobni zmuszeni byli milczeć; o środkach łagodniejszych nie było ani mowy; wieszanie witano z uśmiechem, mordy jako sprawiedliwości wymiary, palenie jako dobry środek przeobrażenia, a łupież doradzaną przez konsula pr... jako nieoceniony sposób zgniecenia samowoli. Pierwsze wystąpienie Murawiewa wywołało szaloną apoteozę człowieka któremu mało wprzód kto rękę chciał podać.

Z trwogą tym objawom niedojrzałości narodu

który dał się poprowadzić gdzie chciano, przypatrząc się Marya, nie wiedziała co począć — gdy jednego wieczora cała we łzach siedząc w kątku samotnego pokoju, ujrzała przed sobą wspomnianego Żywcową.

Żywcow dobrze dawno znanym jój był z Petersburga, miała go za miłego staruszka, nie należał on do natrętnych wielbicieli Maryi Agathonówny, ale był słabym na wdzięki niewieście, lubił patrzeć w czarne jój oczy, słuchać dźwięcznego jój głosu, marzyć pod siwym włosem o rozwianych młodych nadziejach.

W domu miał Żywcow zaciąg ale swarliwą żonę, którą kochał choć mu chwili spokoju nie dawała, wyrывał się więc czasami wieczorem na miasto, aby nieco wolniej odetchnąć.

Nienatrętny i nienamiętny podobał się Maryi z tego że był dla niej z pewną grzecznością i przyzwoitszym od innych a mniej poufałym w obejściu. Widziała w jego siwych zbladłych oczach, otoczonych brwiami nawisłymi i nabrzniętymi powieki, jakby ojcowskie politowanie nad sobą.

Nikt w tej chwili miłszym dla niej nie mógł być gościem nad niego, pochwyciła podaną sobie

dłoń z uczuciem i zahamowany płacz serdeczny, który ludzie śmiechem nazywają, wybuchnął z jej piersi mimowoli. Żywcow zadrzał posłyszawszy ten jęk dziki i poruszony spytał żywo.

— Co wam jest, Maryo Agathonówno? czego wy płaczecie? macie jakie zmartwienie? mówcie! na Boga!

— O! dajcie mi się wprzód wypłakać jenerale, odpowiedziała, może mi to ulgę sprawi, cierpię straszliwie.

— Ale cóż was dotknęło? co się wam stało?

— Dziś — nic, jam dawno, dawno już bardzo nieszczęśliwą...

— Oh! to już zgadnę! Kochacie pewnie jakiegoś młodzika, a ten wam figle płata...

— A! nie! nie! Źle sądzicie o mnie, choć macie do tego prawo... Kocham, prawda, ale inaczej niż wy myślicie, kocham nieszczęśliwego człowieka i ratować go nie mogę.

— Słuchajże no Maryo Agathonówno, rzekł Żywcow, wy przedemną możecie wszystko powiedzieć — lżej wam z tém będzie, ja -- wiecie przecież że nie jestem zły tak bardzo, a za stary abym się tak wściekał jak drudzy... jeśli potrafię...

Marya zakrywszy twarz rękami płakała.

— Boję się, rzekła po chwili — znałam wielu dobrych ludzi, dzisiaj tak się oni pozmieniali.

— No! ale ja nie, ja — nie, Maryo Agathonówno, w moim wieku człowiek już do tego nie skłonny. Mówcie, ja już odgadłem że kochacie Polaka.

— A! zgadliście jenerale!

— Więc się i tego domyślę z waszych łzów że pewnie siedzi uwięziony — dodał Żywcow.

Marya zamilkła i westchnęła boleśnie.

— No! wysilcie się na jedno jeszcze słowo, złapany z bronią w ręku czy z papierami w kieszeni?

— Jenerale, ja ci wszystko powiem, ale daj mi zebrać siły, błagam cię, błagam, ulituj się, ratuj jego i mnie nieszczęśliwą... Jeśli on zginie ja umrę...

— Słuchajże, zawołał Żywcow gorąco, jeśli to człowiek nie bardzo głośny a wina nie zbyt widoczna, to choćby w istocie wielką była, można sobie coś tuszyć — inaczej i sam car go nie potrafi ulaskawić...

Ha! tak! dodał po chwili ... zebrało się Rosyi na opinią publiczną może po raz pierwszy w tym

wieku, a na nieszczęście objawiła się ona po naszymu... dziką i krwiożerczą. Świat i tak miał nas za niedźwiedzi, cóż dopiero teraz? Nie ma dziś najpopularniejszego człowieka, co by się wbrew oszalałym powiedzieć odważył: Idzicie sromotną drogą na wstyd i pohańbienie narodu! Myślicie, mówił gorąco, że tak jak ja nie czuje wyrządzonej sobie krzywdy wielka część zdrowa Rosyan? ale ulegamy demagogicznemu szałowi kilku waryatów, którzy radzi są z tego że kamionującą tłuszczy przewodniczą! — Katkow i jego pomocnicy wyglądają na przewodzców ulicznej burdy, pysznych z tego że za sobą głupi tłum prowadzą.

Cóż na to poradzić? Cesarz, ministrowie, ludzie uczciwi i poważni zżymają ramionami, a nie mogą nic, bo się boją. — A kto ich zresztą wiel może...

Tu jenerał zaciął usta i spuścił głowę.

— Zdaje mi się jenerale że trochę przesadzasz, rzekła Marya, ten szal podobno zrobiono umyślnie, jest to narzędzie przeciw Europie i Polsce... mogą je skruszyć gdy zechcą... Dziś książę Gorczakow odpowiada jak papież: *Non possumus*, nie możemy, boim się opinii...

Otóż mylisz się dziecko moje, rzekł jenerał, stworzyć taką gorączkę u nas bardzo łatwo, ale ją zwyciężyć będzie trudno, zostawi ona ślady po sobie. Jak wszelka choroba — taki szal dziki rodzi się z jednego atomu trucizny, nie każdemu dano znaleźć tę inną pruszynekę lekarstwa co uleczyć może. Najpocziwsi dziś kryć się muszą ze szlachetniejszym uczuciem...

Tryumf nasz, mówił Żywcow po chwili, westchnąwszy głęboko, bardzo jest smutny, otrzymujemy go zaparciem się tego, co stanowi prawdziwą wielkość narodów. Ani polityka Rosyi, ani jej przyszłość nie wymagały od nas, byśmy stanęli przeciwko zasadom moralności, przeciwko cywilizacyi, chlubiąc się okrucieństwem i dziczyną... Ale cicho! cicho, mógłby mnie kto podsłuchać, a naówczas stary Żywcow poszedłby jako winien zdrady państwa, jako przyjaciel Polaków... paść sobole... lub na Kaukazie polować na tygrysy...

E! Maryo Agathonówna, mów mi lepiej o sobie...

— Zgadłeś już wszystko com ci mówić miała, szepnęła mu Marya, możesz go ratować... jest kaleką... stracił rękę...

— Ale ma jeszcze głowę! szepnął stary. ma

nsta, któremi na nas narzekać może. — Gdzież on teraz jest?

— W cytadeli. —

— Czy sądzony już, czy nie?

— Pomimo największych starań nic się dowiedzieć nie mogłam nad to, że nie należy do... jak oni nazywają... pierwszej kategorii... do najciężej obwiniionych... ale pomimo to życiu nawet zagraża niebezpieczeństwo... bo potrzebują... przykładów! O! ratuj go! ratuj go, panie mój!

To mówiąc uklękła przed nim składając ręce.

— Kochasz go bardzo! smutnie jakoś z uśmiechem bolesnym rzekł starzec — biedna! aleć tobie podobnych płacze dziś wiele za narzeczonymi swemi, a ileż matek za dziećmi, ile siostr za braćmi, ile sierót za ojcami! Nie mówmy o tém! Ja kocham gorąco Rosyą, ja pragnę szczęścia jój i wielkości, ale nie chciałbym aby ona je budowała na łzach i krwi, na krzywdzie ludzkiej i zaprzeczaniu praw człowieka! Lękam się nie o Polskę ale o Rosyą, bo nikt bezkarnie nie dopuszcza się takich gwałtów na ziemi — jest sprawiedliwość Boża... Cóż nam z tego, że państwo urośnie o kilka prowincyi, gdy je okupiemy wiekuiłą hańbą. której historia

z czoła naszego nigdy a nigdy nie zetrze... Biada nam, o biada nam!

I starzec z głową zwisłą chodził po pokoju osmutniały...

— Postaram się, rzekł nakoniec, dowiedzieć o twoim *nieszczęśliwym*. Tak dawniej, z chlubą dla Rosyi, każdego winowajcę lud nazywał. Nikt go tego nie uczył — serce mówiło w nim, dziś doktrynery włożyli mu w usta przekleństwo i naigranie, biada im! bo kto naród uczy przeklinać, ten sam jest przeklęty!

Ale ja bredzę, dodał przychodząc do siebie stary, daj mi imie jego i nazwisko... zostaw to staraniu troskliwemu mojemu, choć za skutek jego ręczyć nie mogę, ale powiem ci zaraz poufnie. że daleko łatwiej przyjdzie ulżyć jego losowi w Petersburgu niż tutaj. — Myśmy tu wszyscy katami, tam trochę jeszcze ludźmi nam być wolno. — Któż wie? gdy go wywiozą, to przez swoje znajomości i stósunki łatwo dla niego potrafisz wyrobić zmianę kary...

— O! ocal mu tylko życie! zawołała Marya błagając...

— Powtarzam ci, jeżeli imie niegłośne, jeżeli

człowiek niezbyt znany, a przygoda jego nie nadto rozbębniiona, jeśli trafem dzienniki zagraniczne nie tknęły tego nazwiska, zdaje mi się, że udać się inoże; w przeciwnym razie, im opinja europejska goręcej ujmie się za nim, tém pewniejszym szubienicy... Myśmy w wojnie z uczuciem sprawiedliwości całego świata, nie dla tego, że słusność czujemy po sobie, ale że chcemy pokazać, iż dość jesteśmy silni aby się z nią urągać! Niestety! o siłę tu chodzi nie o sprawiedliwość! tylko o siłę...

Jenerał głowę zatopił w dłoniach i usiadł zamysłony.

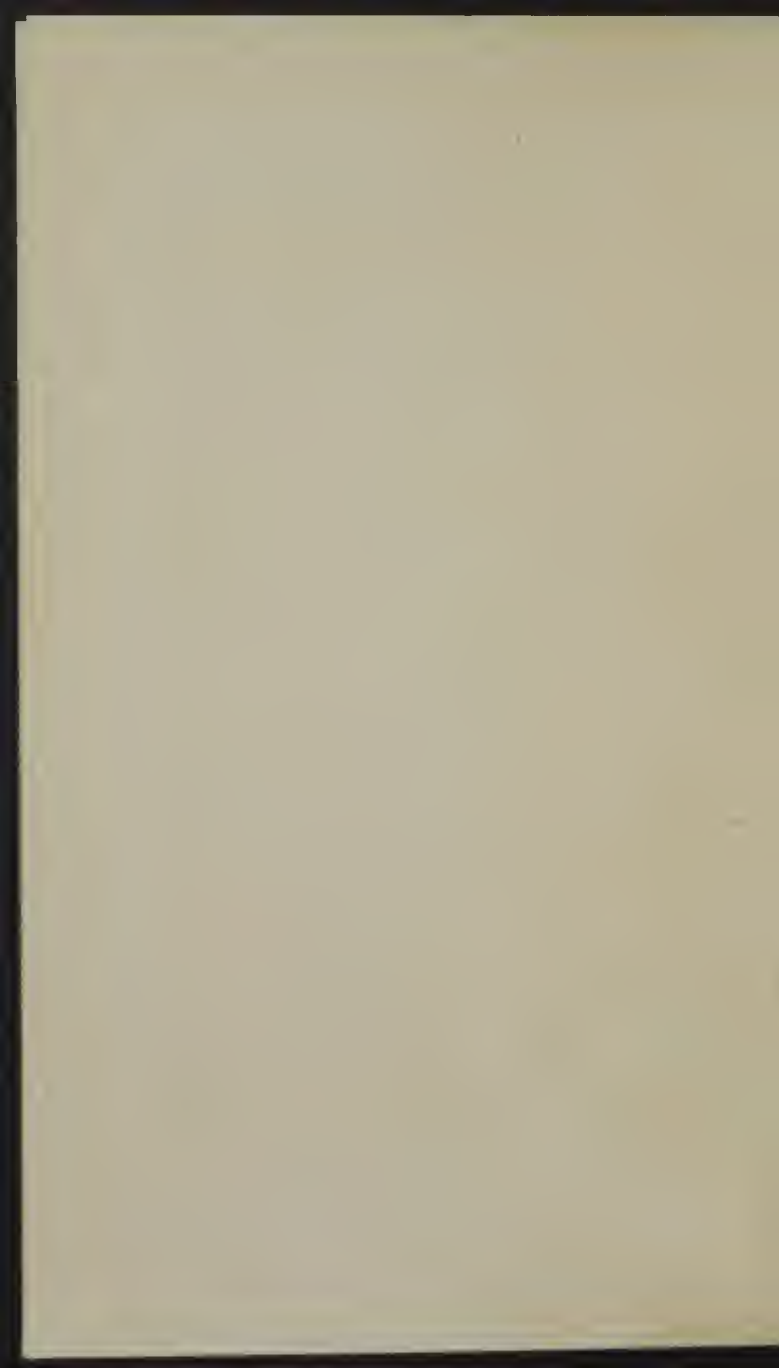
— Zrobię co zechcesz, rzekł, tylko mi zaśpiewaj co z lepszych czasów, co ruskiego, naszego, rzewnego a tęsknego, nie dzisiejszego, bo to wszystko krwią oblane... jaką piosnkę z tych lat, gdyśmy marzyli jeszcze o swobodzie! dopóki wielkość monarchii nie upoiła nas i nie uczyniła ilotów... pośmiewisko wieków!

Starą jaką piosenkę, Maryo Agathonównu...

Marya z niechęcią siadła do fortepianu, lekko uderzyła w klawisze i cicho popłynęła piosenka... melancholiczna, prawdziwie ruska, z téj epoki w której niewola bezsilne ale niewinne łzy wyciskała...

Staremu téż błysnęły one na powiekach... i zapłakali oboje.

W tém pod oknami rozległ się rozgłośny śpiew pijanych oficerów... dziki i rozpustny... Żywcow porwał za czapkę i wyszedł.



Znany nam z pierwszych epizodów tego opowiadania stary Jeremi, siedział spokojnie nad książką w swoim mieszkaniu na Nowym Świecie, gdy zapukano do drzwi i w téjże chwili wsunął się Władysław, z którym nie widzieli się od owego spotkania w alejach.

Stary położył książkę i przywitał go łagodnym uśmiechem.

• — Gdzieżeście to bywali? zawołał biorąc go za rękę, sądziłem że się już gniewacie na mnie, tak dawno nie zeszliśmy się z sobą?

— Nie byłem w Warszawie, odpowiedział siadając Władysław — naturalnie wyznając te zasady jakie znacie, bom się wam z nich spowiadał, musiałem wejść do roboty z drugimi, nie mogłem zostać bezczynnym. Byłem w boju... jeździłem za sprawami kraju...

I powracacie. spodziewam się, z dobremi wieściami? zapytał stary spokojnie.

— Nie będę przed wami kłamał, odparł młody człowiek, powstanie się szerzy. kraj się niby rusza, ale w ogóle widzi każdy i czuje że źle jest.

— Wiedziałem dawno że dobrze być nie może, rzekł stary — rozpoczęliście walkę nie będąc do niej gotowi. poszła jedna klasa a nie naród cały... bo cały naród nie stanął na wysokości tego boju o śmierć lub życie. Szlachta zgrzybiała, lud nie dojrzał, macie to co jest w środku a tego mało.* — Uwielbiam garść wybrańców, ale cóż ta zdoła uczynić? chyba umrzeć.

— Niestety! możecie mieli szłusznosc, westchnął Władysław, nie rewolucyi nam było potrzeba ale narodowego powstania potężnego, a tego podobno mieć nie będziemy, mimo największych starań. — Lud poczciwy jest ale zimny, szlachta zacna jest ale po większej części rozpieszczona... w środku została garść ludzi gorących, Niestety — ani umysłem ani sercem nie równych... olbrzymy i pigmeje...

Jeremi pokiwał głową.

— Tak, rzekł. to co poszło heroicznie na męczeństwo i to co życia nie ceniło, bo niewiele też

ono było warte. — Czemużecie mnie nie słuchali, dodał, nie broni ale cnoty nam było potrzeba wiele a wiele, więcej niż jęj mają nieprzyjaciele nasi... I nie należało używać do walki świętej tych środków jakich oni używają do świętokradzkiej, ale wielkich a prostych i czystych... Nie spiskować nam należało ale głośno prawdę wyznawać... Ale to... wy powiecie, stare i oklepane rzeczy.

— Nadludzkimi wysiłkami dźwigamy się, szepnął smutnie Władysław, ale rozpacz ogarnie serca tych co jeszcze są żywi, już dziś widać że rozpadniemy się w ruinę straszną. Straciliśmy co było kwiatu, co było świętości, wyboru... to co przez ten przetak śnierci nie przeleciało jeszcze, coraz mniej warte, z każdym dniem większy brak ludzi.

— To wszystko dawało się przewidzieć...

— No — ale bądź co bądź, rzekł Władysław, potrzeba dotrwać do ostatka — cofać się dziś i niepodobna i niegodziwa. Przychodzę do was w imieniu kraju wezwać do poświęcenia i pracy.

Jeremi zdziwiony poruszył się żywo.

— Mnie? zapytał, mnie? człowieka bez wiary? mnie com na innęj wcale drodze chciał szukać zbawienia ojczyzny, mnie któregoście ogłosili za nieprzyjaciela kraju?

Tak, was, zawołał Władysław — ratujcie kraj! wpływ wasz może być zbawiennym, szanujemy twój charakter — brak nam charakterów z głowami, porywa się mnóstwo niedoświadczonych do steru... czyżbyście gdy łodzią miota burza, widzem zimnym pozostać nieli?

— Zdaje mi się że śnię tak dziwne mi prawicie rzeczy, zawołał stary, ależ ja wedle was jestem jawnym reakcyonistą? wy wierzycie w rewolucyą, gdy ja wierzę tylko w moralną poprawę narodu i wyzwolenie jego przez cnotę? Jakże chcecie bym przyłożył rękę do pracy przeciwko przekonaniom?

— Dla ojczyzny więc, nie chcecie poświęcić przekonañ waszych? zapytał Władysław.

Jeremi się uśmiechnął.

— To są rzeczy których się nawet ojczyźnie nie poświęca — dodał. Chcecie od gruszy aby rodziła jabłka? Nie, dodał, nie ma dziś jeszcze dla mnie miejsca przy warsztacie. Poświęca się życie, ale nie idzie przeciw głosowi sumienia. Odesłałbym was wszystkich nie jak Moskale, na Sybir, w kopalnie, ale do szkoły, lub w podróż około świata... Nie do Woroneża, Wiatki i Tobolska, ale do uniwersytetów w Paryżu i Belgii. To pewna że rewolucyi robić bym wam nie dał. — Uczy-

niliście nią jak największą łaskę Moskwie, zżyma się ona, ale dla niej nie być pożądaną nie mogło, odarła nas, rozpędziła, i u siebie zapobiegła rewolucyi na długo, choć może... przysposobiła ją straszniejszą... Rząd cieszy się, bo nie widzi daleko, tymczasem zyskał tryumf i godzinę... Na naszych karkach gra w maryasza teraz stary moskiewski caryzm z młodą Moskwą socyalną i demokratyczną, udającą patryotkę, odkryła ona panfila i da niechybnie dublę...

Głupiśmy byli naszym kosztem i krwią płacąc za ich stawkę, ale się stało. — Moja rada gasić co rychlój ogień w domu, a gdy u nich rozgoreje... czekać i skorzystać.

— Ale honor narodu! przerwał Władysław — musimy się trzymać.

— Rosya wszakże woli zwycięstwo nad honor który postradała w oczach Europy... ale to inna sprawa, istotny honor nie zależy na tém żeby się bić bez nadziei wybicia, honor nie jest nawet we zwycięstwie... źle rozumiemy honor narodu... Gdybyśmy więcej machiawelować umieli lub więcej po Chrystusowemu iść, byłoby lepiej, my chcielibyśmy pogodzić Machiawela z Chrystusem, a to niepodobna... Ale to próżne gadanie, rzekł Jeremi, zna-

cie mój sposób myślenia, nie zmieniłem go bo nie mogę inną krwi nalać w moje żyły, ani innego mózgu nałożyć pod czaszkę... jestem i muszę sobą pozostać... Nie zdam się wam do niczego.

Władysław zamilkł pochmurny.

— Europa, rozpoczął po chwili nieśmiało.

— Cicho! cicho z Europą, odparł Jeremi żywo, o jej podłości później się dopiero dowiecie, gdy wygnańcami nie znajdziecie nigdzie przytułku, zgłodnieli chleba, wycieńczeni pracy, prześladowani opieki, gdy zwyciężonych krzykacze będą odpychać ze wstrętem i wzgardą; gdy obrońców wolności ścigać będą szyderstwami a chlubną nędzę wyśmiewać.

Nie te to czasy gdy wśród oklasków Europy Byron szedł walczyć za Grecją... Nie! nie! handel! finanse i giełdy które nam panują z łaski grosza nie z łaski Boga, — zmieniły przekonania... Potrzeba spokoju bo papiery spadną i handel się wstrzyma, a choćby pokój otrzymać razem z policzkiem... o! to nie!... Powie wam Europa żeście głupi, oplwa mogiły naszych męczenników, odwróci się tyłem rachując o ile zyska na kursach banknotów, gdy nas diabli wezmą... oto masz co myśli Europa...

Podniósł oczy w niebo i dodał ze łzami prawie:

— Garsć naszych rozproszonych żebraków będzie powietrza i wody a narody jej odmówią... Będzie-
my Hiobem ludów, Łazarzem uczty bogacza... od-
wrócą się od nas przyjaciele i rodzina.

— Na Boga! nie wróćcie tak straszliwie, ozwał się Władysław, miałaby ludzkość upaść tak nisko...

— Nisko! nisko! niżej jeszcze... powiedzieć to można, przerwał stary — można się czego lepszego spodziewać po społeczności przegniłej rozpustą, nie mającej w nic wiary, spekulującej choćby na truciznie w Chinach, sprzątającej tysiące aby jednej ambicyi zrobić miejsce, oplakującej niedostatek bawełny i handlu więcej niż stratę prawdy i dróg światłości? Cóż to jest dzisiejszy świat i społeczność? zgnilizna... nawóz pod zasiew przyszłości... Potrzebaby nowego Chrystusa, nowych Apostołów i nowej Golgoty i Krzyża i rzeki krwi na obmycie nas z tego błota! Jesteścież wy lepsi od innych? Nie wierzycież w te same siły, nie idziecie temi samemi drogami? nie zapieracież się w czynie tych samych prawd? żyjecież surowiej? czyściejszeż są szaty wasze od ich sukien zbryzganych w kałużę?

Świat dojdzie zapewne do ostateczności, do za-

parcia się wszystkiego co święte, a potem... wierzę iż się odrodzi, choć nie wiem jakimi drogami. — Bóg jest wielki!

— Znaliście Juliusza? przerwał nagle zniecierpliwiony Władysław powstając.

— Bardzo dobrze, i wysoko szacowałem tego człowieka, za spokój jaki w tej duszy czystej i pocziwój panował.

— A wiecież jego historią nową? bo to co mówicie historia starożytna...

— Nic nie wiem.

— Juliusz podzielał prawie wasze przekonania, pomimo to poszedł przecież z nami, poświęcił się i oddał cały... niestety! los chciał aby się tam wmięszała i zgubiła go — kobieta.

— Nie kobieta ale grzech, rzekł poważnie Jeremi.

— No! to słabość, poprawił się Władysław. —

— Słabość w mężczyźnie jest często grzechem...

— Zakochał się w istocie niegodnej siebie, dodał Władysław, mam wielkie podejrzenie, że do rozwinięcia tego uczucia przyczyniła się wielce liłość nad upadłą. — Chciał ją podźwignąć, podo-
bało mu się odrodzenie w rodzaju V. Hugo! Owa

kochanka była po prostu moskiewskim szpiegiem, który go wydał w ręce nieprzyjaciół!

Stracił uciekając ranny rękę prawą, został ujęty, siedzi w cytadeli i życiem zapewne okupi swe poświęcenie i pocziwe, pełne ufności serce.

— Smutna historia, odparł Jeremi, ale cóż ona dowodzi?

— Że Juliusz poświęcił przekonanie.

— I popełnił dwie słabości, a druga gorsza jest jeszcze od pierwszej.

Pojmuję, choć stary, namiętność dla kobiety, ale nie rozumiem czynu bez silnej wiary w cel jego i potrzebę. Zdaje mi się, że postępowanie Juliusza źle sobie tłumaczycie, nie poświęcił on przekonania, ale nie wierząc w powodzenie, szedł zapewne i wierzył, że ofiara jego i krew będzie dobrem nasieniem... Żal mi go — ale jesteścież pewni, że go zdradziła kobieta? mogłoby serce jego tak dalece się obłąkać i przywiązać do istoty tak nikczemnej, tak nisko upadłej?

— Niestety! jesteśmy pewni, wszystko się składa na potwierdzenie domysłów, zawołał Władysław. — Znacie może, że krwiożerczym nie byłem i nie jestem, ale Juliusz był dla nas drogin klejnotem,

zdrada nie może pozostać niepomszczoną. Trybunał rewolucyjny osądzi ją, wyda wyrok śmierci i musi być zamordowaną.

Jeremi wzdrygnął się i pochwycił go za rękę.

— Na Boga! zawołał — mielibyście i wy skalać się krwią... kobiety!

— Wyrok będzie wydany — potrzeba przykładu...

— Na nic się nie zdały te przykłady... to wszystko okropne! oswajacie się z krwią i śmiercią... nie podniesiecie tém narodu, zniżycie go...

Macież jakie dowody na tę kobietę?

— Najsilniejsze przekonanie moralne.

— Na Boga! na Boga! wykrzyknął Jeremi, powtarzacie słowa, a co gorzej, czyny Moskali. Co to jest przekonanie moralne! Niech oni sądzą bez dowodów, potępiają bez sądu i wieszają bez zgryzoty — my zemstę zostawmy Bogu. To postępowanie zmienić potrzeba...

— Tak, rzekł Władysław, przystaję na to... ale co jedno zmienić je może, to zdanie takiego jak wy, powszechnie szanowanego człowieka. Wejdźcie do rady, do rządu... do pracy z nami... poprowadźcie nas tą drogą...

Jeremi zamilkł na chwilę, uderzony siłą tego rozumowania.

— Mylisz się, odparł po namyśle. — Jesteśmy na dwóch sobie przeciwnych krańcach, z amalgamów partyi i systemów nigdy nie powstanie nic zdrowego i jednolitego. Marzy, kto sądzi, że klejąc dwa pierwiastki różne, siłę z nich podwojoną otrzyma, one się równoważyć i unieważniać muszą. Rezultatem takich koalicji politycznych musi być zawsze zero... nie! idźmy każdy swoją drogą...

Co się tyczy tego wypadku, dodał, spodziewam się, że nie potępicie kobiety nie wysłuchawszy jęj, nie dodawszy obrońcy, nie zbadawszy całej sprawy. Nie zmazujcie się krwią — przeleje się jęj i tak aż nadto. Terroryzm despotyzmu i terroryzm rewolucyi, równie są okrutne i równie bezowocowe. Można niemi na chwilę powstrzymać od czynu, ale nigdy nic się nie stworzy. Wszelaki przymus wywołuje w duszach ludzkich opór i wstręt przeciwko sobie. Jest to broń przez rewolucyą pożyczona, od samowolności słaba, nędzna i brudna.

Na tém przerwaną została rozmowa, wszedł ktoś obcy, a Władysław milcząc pożegnał gospodarza. —

— Więc odmawiacie? zapytał cicho na wyjściu.

— Stanowczo i nieodwołalnie, rzekł Jeremi, stary, do niczego nie jestem zdolny, twardy jak wszystko co wiek skamienia, nie dałbym się wam uciosać... dajcie mi pokój!!

Noc była późna, gdy do drzwi domu, w którym mieszkała Marya, zastukano, wszedł niepozorny człowiek, w grubój odzieży z laską w ręku i domagał się, aby go wpuszczono do pani. Służąca wahała się, ale słysząc głos mężki w przedpokoju, wyszła Marya i poznała brata...

Pochwyciła go pod rękę i pociągnęła za sobą do salonu.

— Pójdziesz zemną, rzekł do niój zimno, odzież się natychmiast.

— Dokąd, do matki?

— Nie pytaj mnie dokąd, odparł chmurno brat, musisz iść...

— Ale po cóż? dziwnie czując się przelekką spytała kobieta.

Rzemieślnik zamilkł, brwi mu się ściągały.

— No! chodźmy, rzekł, przecież ja idę z tobą.

Stała Marya niepewna czas jakiś, lecz myśl na-

gle przychodząca do głowy, wlała w nią postanowienie gwałtowne.

— Nie pytam więc, rzekła, dobrze, idziemy...

Rzemieślnik obejrzał się bacznie po salonie.

— Siadaj, odezwała się, ubieram się natychmiast.

— Postoję — dziko jakoś rzekł brat cofając się ku drzwiom z widocznym wstrętem, spiesz bo pilno...

Słowa te wymówione prawie groźnie znowu ją dreszczem przejęły, zawahała się, ale wróciło mężstwo, pochwyciła leżący na krześle kapelusz, narzuciła burnus i pobiegła, mówiąc gorączkowo:

— Jestem gotowa.

Milcząco odwrócił się do drzwi brat i począł schodzić, Marya szła za nim, minawszy bramę, ujął ją pod rękę...

— Potrzeba wziąć dorózkę, rzekł głosem drżącym.

— To daleko? spytała kobieta.

Brat zamilkł. — Zawiążę ci oczy, odpowiedział. Marya coraz mocniej drżała.

— Ale czegoż chcecie odemnie? Prowadzicież mnie na śmierć?

— Ty! brat! nie, nie! to być nie może, zawołała, jestem ci posłuszną.

— Siadaj! odpowiedział rzemieślnik głosem gburowatym, w którym się przebijało wzruszenie, — jedźmy...

Nie posłyszała Marya co powiedział woźnicy, ale doróžkarz ruszył spieszenie małemi uliczkami, a z szyi odjęta chustka czarna posłużyła mężczyźnie do zawiązania jój oczów. Biło jój gwałtownie serce, ale milczała nie pytając już o nic; zdawało jój się, że w ciężkim oddechu brata czuć było niezwykajne poruszenie; nie śmiała go badać, znając nadto by się przekonać spodziewała. Doróžka krążyła dosyć długo, aż nareszcie zatrzymała się, brat wyskoczył pierwszy, podał jój rękę, wprowadził na wschody, i tu dopiero oczy rozwiązał. Znajdowali się w sieni wspaniałego domu, oświeconej jasno ale pustej i po kamiennych wschodach przysłanych dywanami weszli na pierwsze piętro. Ten zbytek zdziwił Maryą... Spodziewała się po tajemniczym obejściu brata jakiegoś miejsca skrytego... lochu lub kryjówki, gdy drzwi się otwarły i znalazła się sama jedna w bardzo poważnie i smakownie urządzonym salonie... Jedna lampa, paląca się w kątku na marmurowej kolumnie, oświecała ciemno-

zielone sprzęty pokryte axamitem, dwa duże stoły zarzucone książkami i wspaniałe wielkie na ścianach obrazy. Dwoje wielkich drzwi przemkniętych i przysłonionych ciężkimi kobiercowymi portierami, ukazywały się w prawo i lewo. Piękny fortepian otwarty stał przy ścianie... Posadzka cała okryta była dywanem wzorzystym. Marya obejrzała się zdumiona do koła i czując drżące pod sobą nogi, rzuciła się na fotel blisko stojący, głowa jej opadła na dłonie, przestрах coraz bardziej ogarniał, najdziksze myśli płątały się po głowie. W tém chwilowém ale głębokiém zadumanu nierychło usłyszawszy szelest, podniosła oczy i znalazła się w gronie kilku stojących mężczyzn, którzy w milczeniu z ciekawością zdawali się jej przyglądać. Z lekkim mimowolnym wykrzykiem chciała wstać, gdy starszy z nich skinieniem prosił ją, aby na miejscu została i zabrał krzesło bliżej stojące dla siebie. Głębokie milczenie panowało w salonie, zdawało się, że nikt go przerywać nie śmiał.

W tém wszystkiém było coś tak dla niej niepojętego, że w końcu duma kobiety przemogła obawę i oglądając się w koło, rzekła śmiało.

— Może mi téż kto z panów zechce wytłumaczyć, po co tak niezwykłym sposobem zo-

stałam wezwaną... i co to wszystko ma oznaczać?

— W istocie sposób postępowania jest niezwykły, ale i wypadki, które go spowodowały, zwykłe nie są, rzekł siedzący przy niej mężczyzna — głosem dosyć surowym. Pani jesteś obwinioną i widzisz przed sobą sędziów.

— Ja? oskarżoną? o co? zapytała rumieniąc się Marya.

— Pozwól pani, bym dla oszczędzenia jój i nam przykrości, pominął okoliczności dawniejsze, które wszelkie i najmniej nawet usprawiedliwione zarzuty poniekąd prawdopodobnemi czynią. Życie przeszłe pani jest nam doskonale znane...

Błysnęło światło przed jój oczyma nagle, ale rozpacz dodała siły.

— Życie moje przeszłe należy tylko do Boga i do mnie, zawołała, on i ja sądzić je mamy prawo; ludziom nie godzi się wnioskować z przeszłości, bo któż w całym życiu był jednym tylko człowiekiem? — Jakież są przeciwko mnie zarzuty?

— Juliusz był pani poufale znanym...

— Mówmy otwarcie, przerwała, Juliusz był moim kochankiem, jest dla mnie wszystkiem na

świecie... miałyby kto czoło i odwagę pomyśleć, przypuścić.

— Oskarżono panią, żeś go wydała i zdradziła!

Kobieta krzyknęła zakrywając sobie oczy, ale natychmiast porwała się z wściekłością.

— Panowie, rzekła, aby takie obwinienie uczynić, trzeba być zepsutym jak szatan... Tak! przeszłość moja czarna, plamami od stóp do głów jestem okrytą, ale serce moje kochało raz w życiu i obmyło się we łzach pokuty! Ktokolwiek jesteście zlitujcie się, nie dodawajcie mi boleści, nie zabijajcie taką okrutną potwarzą! Weźcie mi życie, zaraz, oddam je chętnie, ale nie targajcie się na jedyną jasną chwilę mojej doli. — Słyszycie głos, tak mówić nie potrafi kto kłamię... widziacie łzy... Na Chrystusa tego, którego krzyża nie jestem godną dotknąć, przysięgam wam, jestem niewinna! Ja go kocham, ja życie dam dla jego ocalenia, a byli ludzie co posądzić mogli! O! to najcięższa kara za przeszłość.

I łzy zatamowały jej mowę.

— Przecież, odezwał się po chwili bliżej siedzący, wszystkie pozory są przeciwko wam... sami to widzieć musicie...

— A! i rozpaczam... przerwała Marya. ale się

nie zniżę do tłumaczenia, bo chcę umrzeć, powtarzam wam tylko raz jeszcze, na Chrystusa wam przysięgam... dam za niego życie... kocham go... staram się ocalić... a ludzie śmiał...

I znowu płakać zaczęła, wszyscy milczeli...

— Wiecież o tém, że on sam... on nawet... posądza was, szepnął mężczyzna drugi.

Marya krzyknęła straszliwie i nagle jakby na pół przeciął się głos w jęj piersi, porwała się obłąkana.

— Jeżeli tak... wieǳcie mnie na stracenie! nie mam już po co żyć — a! Boże, on mnie nie kochał — on mnie nie kochał!

I te tylko wyrazy powtarzała na pół nieprzytomna. — Sęǳiowie patrzali po sobie, głuche milczenie panowało w salonie, gdy powolnie wsunął się ktoś do sali, szepnął coś na ucho starszemu, pokazał papier i wyszedł.

— Dziwny traf, odezwał się poważnie, powoli sąsiad Maryi, uspokój się pani, oto mam w ręku dowód, żeś pani niegodnie, niesłusznie posąǳoną została... Przebacz... w takich czasach... w tych niebezpieczeństwach... przy takim braku ludzi.

Marya podniosła głowę obojętna i skinęła ręką.

— A! co to dla mnie znaczy! rzekła, on! on

mnie posądzil! to ból większy nad wszelkie bóle, to nad katusze katusza... reszta...

Nie skończyła, płaczem wielkim zachodząc się nieustannie.

Wyjawszy siedzącego przy niej mężczyznę, powysuwali się wszyscy, on jeden pozostał starając się ją uspokoić i otrzeźwić.

— Wróć pani do domu, rzekł powoli, nie wspominaj o tém co zaszło, przebaczone... a myśl o nim tylko... Uwolń go jeśli potrafisz...

Marya spojrzała mu w oczy, i on miał łzami nabrzmiałe powieki...

— Na cóż mi to mówicie, rzekła głosem osłabionym, pomszczę się na nim, poświęcając dla niego... przekonam go, że nie pokochał niewdzięcznej... a! i ty panie kochałeś go zapewne, znałeś jako ja, mogłaś w tak pięknej duszy urodzić się myśl tak czarna? myśl zdrady... nie! o! nie!

— Któż wie? odparł zmięszany nieznajomy, to może być posądzenie daremne... domysł niezręczny...

Marya wstała, gospodarz otworzył jej drzwi salonu, za którymi przytulony do ściany brat na nią oczekiwał. Ujrzawszy ją wychodzącą, pospiesznie

zbliżył się, podał jęj rękę i w swojej namulanęj dłoni uściskał delikatne jęj palce...

— Bóg ci zapłaci, rzekł, aleś mi dobrego napędziła strachu... Już wiem, że to wszystko było głupstwo... bodaj ich...

— Milcz, milcz, przerwała siostra... zapomnijmy... nie mówmy! niech im Bóg przebaczy!... Jam zawsze winna... bo nie każdego posądzić się odważą... a na mnie, dodała ciszej, jak na śmieci-sko wszystko cisnąć wolno.....

— Przeszłość więc jest niezmazaną plamą, zawołała padając na kanapę, powróciwszy do donu i rozstawszy się z bratem, którego uścisk dodał jęj trochę siły — odkupienie niemożliwe! rany się goją, ale blizny zostają na wieki... i nikt, nikt nie wierzy w poprawę! a pokuta ściga nas do końca życia... O Boże mój, chodzić więc potrzeba w sukni oplwanęj przez wszystkie dni i godziny aż do śmierci... Jak krew na dłoniach Lady Makbeth, plama odnawia się wiecznie... mnie nikt nie wierzy, nawet on! on!

I porwała się z siedzenia na tył odrzucając włosy.

— Nie! nie dam się złamać, zawołała, zmuszę

ich by zmienili przekonanie o mnie... i jego i świat cały!

Przyszło jój naprzód na myśl zrzucić te ła-
chmany błyszczące, przywdziać odzież skromną
a ubogą, wrócić do pracy ciężkiej, do nędzy do-
browolnej, a rozdać co miała biednym... i poświę-
cić się całej na usługi kraju; ale przypomniała so-
bie Juliusza, którego powinna była ocalić i wzdry-
gnąwszy się uczuła, że dla niego musiała pozostać
przy dawnych pozorach dostatku, przy stósunkach
dawnych, z nie swoim już światem, którym się
brzydziła. Mogła z nich i tę korzyść wyciągnąć,
że wiele wiadomości ważnych obijało się o jój uszy,
bo Moskale mając ją za swoją, wcale się nie wy-
strzegali. — Ale zdało się jój teraz ohydne to
rzemiosło zdrady, nawet dla dobrej sprawy podej-
mować, chciała oddychać prawdą samą i odepchnąć
fałsz na wieki.

Nazajutrz przyszedł stary Żywcow z pochmur-
nym czołem.

— No, byłemże w cytadeli, rzekł wzdychając,
dla miłości twojej, ale nie bardzo dobre wieści
przynoszę. — Twój ulubiony, którego mają za ja-
kąś ważną figurę, może być wprawdzie ocalony

i życie wyniesie, ale na długo ześlą go do ciężkich robót.

— A! i to jeszcze szczęście! mój dobroczyńco, pewnyż ty tego jesteś?

— Zdaje mi się, będę pilnował, przyrzeczono mi uroczyście. Jeśli więcej chcesz uczynić dla niego, jedź do Petersburga, pochódź tam... popracuj cicho. — Któż wie? może ci się uda! Widzę uśmiech na twoich ustach... dawno byłaś w stolicy?

O! w połowie roku przeszłego.

— No, to go nie poznasz; zostawiłaś go miastem europejskiem, znajdziesz azyatycką stolicą...

— Ale ludzie w nim — ci sami?

— Zmienili się nastrajając do ducha, który na nich powiał — zobaczysz. Ostatni to twój ratunek, jedź, nie ma innego dla ciebie, a spiesz bo każda godzina droga, roznamiętnienie rośnie, wkrótce w imię uczuć litości i miłosierdzia odezwać się nie będzie godziło.

Marya i na to uśmiechnęła się niedowierzająco, знаła ona swój Petersburg takim, jakim on był w godzinach powszedniego życia, nie przypuszczała, aby w nim tak nagle zająć miała metamorfoza.

— Juliusz, mówił generał, przeznaczony do robót, pójdzie w kajdanach, polecę oficerom konwo-

jującym pod pozorem kalectwa, aby się z nim obchodzono łagodnie. — Wszędzie indziej wina niedowiedziona i kalectwo zyskałyby mn litość, u nas... my się chlubimy teraz, że nie znamy co litość! — Mój Boże, mój Boże, dodał smutnie Żywcow, co oni chcą zrobić z Rosyi, duch Iwana Groźnego wstąpił we wnuki — nie maszże na to środka?

— Uspokójcie się jenerale, odparła Marya, to nie potrwa, nie widzicież, iż to wszystko wyrobione jest sztucznie, aby nie dać urosnąć współczynnin dla Polski, które się już rodziło i oburzeniu przeciw rządowi. Rząd omylił się może, wystawił to uczucie jako tarczę, a po za nią kto wie co się przygotowuje i zbierze... Polaków zgnieść mogą, lecz i Rosya nie wyjdzie bez szwanku... Coś tam się knuje po cichu.

Żywcow pobladł.

— Trafiłaś w to czegom powiedzieć nie śmiał, a co mi cisnęło serce... Rosya szczepi u siebie rewolucyą! U nas jeśli ona wybuchnie straszniejszą będzie niż na całym świecie... potrzeba nam było jój uniknąć, ona pochłonie całe pokolenia...

Starzec przerwał nagle.

— Stanie się co Bóg przeznaczył! odpowiedziała

głośno Marya, a w duchu dodała: Polska będzie pomszczoną!

Nastąpiła chwila milczenia. Jenerał chodził po salonie, Marya siadła przypadkiem przy fortepianie.

— Maryo Agathonówno, choć ci łzy z oczów płyną... odezwał się Żywcow, zaśpiewaj raz jeszcze staremu. Kto wie czy ja już kiedy miły twój głos usłyszę... zaśpiewaj mi ruską piosenkę, z tych czasów gdyśmy jeszcze ludźmi byli, gdy i w naszej piersi biło serce.

Staremu łza zakręciła się w oku.

— Straszno to być biczem bożym — dodał ciszéj, lecz gdy prawica Wszechmocnego ujmie naród aby nim siekła grzeszny świat, musi się on krwią obluźgać...

Krzyczeli na Mikołaja... ten miał choć żołnierskie serce, dziś my chlubim się że nie mamy żadnego i szczepimy nieładność w Europie.

Mruczał tak stary, a Marya po chwili cichym, tęsknym głosem zanuciła mu piosnkę Lermontowa:

Gór wierzchy usypiają na gasnącém niebie,

Milczą rosą wieczorną oblane doliny —

Tuman pyłu na drodze wiatr konając grzebie,

Liście drzew nie szeleszczą, zdrzemnęły krzewiny...

— Czekaj! chwila spoczynku przyjdzie i dla ciebie!

Przekład tych kilku wierszy słabe daje wyobrażenie o ślicznej piosence poety, pełnej tęsknicy, pełnej harmonii. Dawniej powtarzały ją wszystkie usta, dziś w Moskwie śmieją się z Puszkina i Lermontowa, są to za nadto europejscy poeci na te czasy — jedynym poetą epoki znakomity p. Katkow, jedyną zwrótką dzisiejszą piosenka Czingiskauowska:

— W pień... ogniem i mieczem!

Śpiewka powtórzyła się parę razy, Żywcow wstał, westchnął i podając rękę Maryi z której oczów łzy płynęły, szepnął przy pożegnaniu:

— Czekaj! chwila spoczynku przyjdzie i dla ciebie.

Zbijacém od niepokoju sercem Marya przebywała drogę do stolicy, wśród której już dziwne nastęrczały się jēj widoki: spotykała co chwila więźniów skutych, gnanych pieszo i więźniów w wagonach... popalone sioła, rozwścieklonych i pijanych wieśniaków, szalejących urzędników, tłumy bez imienia jak ptastwo żarłoczne spieszące do Polski na żerowisko. Ziemia ta dana im była w nagrodę wierności na łup przez cara. Widziała żołnierzy urągających się oficerom, którzy ramionami zżymając milczeli, słowem wszystkie oznaki tego stanu rewolucyjnego do którego ucieka się rząd słaby, gdy z klasą oświecańszą przejednać się nie może, i zaufać jēj nie śmie. Te siły zwierzęce wywołane ze dna społeczeństwa grały szalonym chórem zniszczenia. Biada narodowi który takich środków w obrobie swój używać musi, cóż lepiej słabość jego wydać może?

Uderzały Maryą te fizyognomie niewidziane dotąd o słonecznym blasku, dobyte jakby różyczką czarodziejską z pod ziemi, wygolone dla przymienia się rządowi, blade, pokrzywione, wynędzniałe od życia w urzędowych papierach, a uśmiechające się nadzieją bezkarnéj grabieży. — Moskwa wezwała te w mrokach siedzące dzieci swoje na posługę sprawie ojczyzny, lecieli zwabieni podwójnemi pensjami i zapewnieniem że prawo żadne nie istniało w Eldorado do którego spieszyli, nawet zwodniczy zwód zakonów. — Wielu tych panów jechało o jednym samowarku i jednym płaszczku, mając powracać z nabitym trzosem i w niedźwiedni, na łono matki Rosyi, spełniwszy swe posłannictwo zniszczenia. — Marya przywykła do dawnego tonu cywilizowanych Moskali, czasem ugrzecznionych aż do zbytku, miała tu już próbkę zmiany jakiej uległy obyczaje pod naciskiem narzuconej z góry opinii. — Wszyscy niemal stawili się groźnie, dziko, bohatercko, z niejakiém przechwalaniem rubasznością półbarbarzyńską, i z odgrózkami na zgniłą cywilizacyą Europy! — Mnogie kielichy wódki po staoyach zwiększały jeszcze okrutne owe męztwo nowych cywilizatorów, cytujących całe peryody Katkowa, między dwoma czkawkami...

Po drodze kilka razy spotkała jeńców polskich, na których patrzeć jak na dzikiego zwierza lud się zbiegał z okrzykami, przekleństwami, rzucaniem kamieniami, plwaniem i urągowskim. Postacie tych nowych męczenników były smutne ale godności pełne — czuli oni że szli na Golgotę, że im pod ciężarem tego krzyża upadać nie było wolno. Surowe ich i chłodne twarze obudzały tém większą wściekłość w Moskalach, oni pragnęli w nich dojrzeć znękanie, spodlenie, upadek, a męztwo milczące urągało się ich katowstwu. Starsi wygnańcy co nie wiedzieli czy kiedy jeszcze ojczyznę zobaczą byli smutni, młodzież wesoła nawet i butna chwilami, ale jedni i drudzy w kajdanach wyglądali na zwycięzców, gdy tryumfatorowie do pijanych katów byli podobni.

W dziejach świata od czasów prześladowania chrześcian w pierwszych wiekach, nie ma takiego jak ten obrazu.

Dwakroć sto tysięcy ludzi, kwiat narodu wyrwany z téj ziemi która była jego dziedzictwem, starcy, kapłani, dzieci, kobiety, wszystko to pędzone, gnane, sieczone, jęczące po lazaretach, dane na ręce dziczy pijanej, bezdusznój i podżeganój do okrucieństwa, a karanój za najmniejszą oznakę współ-

czucia. W XIX. wieku wyuzdane chłopstwo kupione obietnicami podziału cudzej własności pastwiące się nad kościołami, cmentarzami z których wywlekało trupy, kościołami z których wyrzucało świętości; szubienice stojące na wsze strony, mogiły świeże co krok, a po nad tém dyplomacya najśliczniejszą francuzczyzną dowodząca moralności, potrzeby, konieczność i użycia tych *radykałnych* środków!

Z plamy tej nigdy nie obmyje się rząd rosyjski, napróżno płatne dziennikarstwo bluzgać będzie przeciwko rewolucyjnej Polsce, któż ją rewolucyjną uczynił? któż większym jest rewolucyonistą czy nieszczęśliwi przyprowadzeni do rozpacz, czy rząd co potrzebował takich środków użyć aby się ostać i zwyciężyć!

Uwierżaj za lat sto że żałobę z narodu milionów zdarto siłą, że nie poszanowano nawet świętego uczucia co w nią oblokło??

Na wszystkich twarzach widziała Marya jakby powkładane maski, pocziwsi milcząc potakiwać musieli tłumowi, szatani cieszyli się, głupota szalała... posepnie na tę stypę kannibalów spoglądali ludzie sumienni. Ten tryumf niepocziwych puszczonych jak brytany z obroży, miał w sobie coś przerażającego... Po stacyach i pocztach czytano na głos

patryotyczne diatryby dzienników, głupi rozpalali się niemi do ostateczności. Nie w jedném miejscu Marya zetknęła się z ciekawą czeredą wieśniaków którym pisarz wiejski czytał artykuły „Moskiewskich Wiadomości“, drżała widząc skutki tych podżegań na ludzie... którym imie Polaka ohydzić chciano. Nazajutrz po tém gdy nadeszły partye więźniów, kobiety oblewały je pomyjami, zamykano drzwi aby chleba dostać nie mogli. Serce się ścisnęło patrząc na skutki téj agitacyi. Nigdy Polska nie miała tego charakteru, chwilami i przypadkowo buchnęła przeciwko najeźdźnikom, ale się rychło upamiętała, oddzielając Moskali zawsze od rządu moskiewskiego, nie mszcząc się na nich za winy garści obłąkanéj.

Niekiedy w oczach starszych ludzi dostrzegła iskierkę litości lub oburzenia, ale jeśli się z nią kto wydał, spuszczał zaraz źrenice zawstydzony lekając się aby nie wyszpiewowano w nim miękkiego serca.

Tak dojechała w boleściach i trwodze do stolicy... i stawiając pierwszy krok w dworcu kolei, zetknęła się dziwnym trafem z Artemjewem, który jój z razu nie poznał, zawahał się, ale wpatrzywszy się w nią powitał z żywą radością. — Czatował on

na kolei na kogoś innego z przyjaciół, ale tamten nie przybył, a stara znajoma wielce mu była miłą.

— Marya Agathonówna! kogoż ja widzę! ciebie! w stolicy Piotrowej! o cudo! To dla mnie szczęście...

Alexander Alexandrowicz miał twarz rozpromienioną, był szczęśliwy, zwycięzki, jaśniejący, prawie piękny, gdyby zwiędłe oblicze podobnego służalca chytrego, żywiącego się kłamstwem jak krucy ścierwem, kiedykolwiek w blask chwilowej urody przyodziać się mogło...

Marya nie bardzo była rada temu spotkaniu, ale Artemjew nie chciał jęj odstąpić i zarzucał pytaniami.

— Jedziecie z Warszawy! powiecie mi co sły chać w Warszawie! a no! dobrze! paradnie idzie wszystko, nieprawdaż... Rewolucya! rewolucya! pocziwe ludziska posłuchali nas jakby myśl naszą odgadli... teraz jeszcze komedya zgra Europa... a my...

Tu przerwał ukąsiwszy się za język.

— Przyznam się, dodał żywo, przyszedłem tu trochę w nadziei spotkania się z pocziwym Niki forem, który miał przybyć z papierami, a razem... razem trochę z projektem podpomoczenia pocziwym

ludziom do godnego przyjęcia bandy więźniów polskich, których transport nam na dziś oznajmiono. Uczyniły się na ich grzbietach manifestacyi politycznych!! już to idzie! To swoją drogą, a ja też i nienawidzę Polaków, którzy grają cynicznie rolę męczenników, ale poczuja co moskiewska waży pletnia! Zaśpiewają z innego tonu. Ja tu już nastroiłem na dziś moich, którzy ich przyjmą jak warcia. Hura! mężnym ruskim żołdatom — a napluć na tych złoczyńców... Widzicie to powoli uprawia i uczy samoistności lud, jak się wypraktykuje i poczuje swoją siłę...

Artemjew śmiał się z miną pajaca, który do brego spletał figla, Marya wzdrygnęła się, powtarzał z cicha.

— Lud się uczy na Polakach!

— Alexandre Alexandrowiczu, szepnęła Marya, mówicie do kobiety, jam do tego nie przywykła, przykrość mi robicie.

— A jam do tego przywykłam, myślicie? zapytał Artemjew, ale potrzeba się podnieść do wysokości politycznych potrzeb narodu... Dajemy mu lekcye! Musimy drażnić i utrzymywać nienawiść, w tém nasza siła, im dłużej potrwa rewolucya, tém my się z niej więcej nauczymy... skorzystamy kiedyś,

jak? no! to czas pokaże... ale wy tego nie zrozumiecie... i możecie się zląknąć, uciekajcież póki czas jeszcze, bo tu się dopiero orgia rozpocznie gdy ich z wagonów wysadzać będą... Hura! dla naszych. świst i śmiech z nich!

Marya wymknęła się coperędzej nie będąc ciekawą sceny, których się już dosyć napatrzyła po drodze... twarz jój paliła, serce biło zgrozą; Artemjew pozostał rozstawując kupkami swych ludzi i wydając po cichu rozkazy. Tłum podpiły z dziekiemi twarzami, stał jakby oczekując na hasło.

Siadała już do powozu, gdy okrzyk dziki obił się o jój uszy i rozległ szeroko... smutnie zadźwięczał on w duszach wszystkich uczciwych ludzi... Był to jeden z tych głosów stypy moskiewskiej, jakie od roku bują po bezludném państwie, wywoływane stołecznemi hałasami!! Bógdajby nie stał się on hasłem innych wykrzyków, które tych, co się niemi cieszyli, ścigać kiedyś będą.

Kto zna stolicę Piotrową, jój ducha i obyczaje, jój zepsucie głębokie dla oka pokryte zręcznie powierzchnią europejskiej przyzwoitości, kto bywał dłużej w tém mieście, co wsiąkło w siebie wszystko złe cywilizacyi, nie utraciwszy żadnej barbarzyństwa cechy — ten tylko pojąć potrafi, jak istotnie czystej trudno tam odetchnąć — atmosfera fałszu zewsząd otacza i dusi człowieka.

Nie można głębiej sięgnąć po za skorupę tego pobielanego grobu bez największego wstrętu. A tak to wszystko pięknie i ułudnie wygląda... przepych, rzekłbyś, że istotnie jest ład i bogactwo, ale znaczniejsza część tych ludzi, żyjących w gorszącym zbytku, zjedzona jest długami, lichwą i broni się wierzycielom wpływami swemi u władzy. Wszystko téż jest na sprzedaj, byle pieniędzy dostać. — Elegancya najwytworniejsza powierzchownie przy najgrubszych obyczajach domowych

i wszelkie pozory cywilizacyi przy najdziwniejszej nieświadomości świata i ludzi, rygor pokrywający rozwiązłość, pedanterya urzędowa na oko utrudniająca przekupstwo, które jak jad w krew wciska się wszędzie; — od odźwiernego do ministra, kupić można wszystkich. To co się tu nazywa uczciwem, gdzieindziej odstręczałoby podłością swoją; uczciwym zowie się ten, co bierze pieniądze ale robi za nie to co przyrzekł, uczciwy jest kto ma jedną tylko nałożnicę a nie źle obchodzi się z żoną, uczciwy kto ludzi na targu nie sprzedawał gdy było można, kto płaci czasem długi i nie prześladowe swych wierzycieli. Przy tém wszystkiem choć grzechy bliźniego nie są dla nikogo tajemnicą, surowo pilnuje się pewnej przyzwoitości; każdy udaje, że ma sąsiada za porządnego człowieka, wymagając w zamian, aby go za takiegoż poczytywano. Nic słodsze go w obcowaniu nad tych ludzi stołecznych, ale ta grzeczność ich jest frontem pałacu obróconym do Europy, po za którym stoi pustka lub kupa gruzu.

Umiejąc chodzić i grać na strunach tutejszego zepsucia, prawie wszystko co kto chce zrobić może, aby tylko nie rachować na żadne uczucia, a płacić. płacić protekcyą czyjąś, pieniędzmi, a choćby obie-

cującym uśmiechem ładnej kobiety. — Z tych środków najwszechmogącym są pieniądze — życie kosztuje niezmiernie drogo, wszyscy więc biorą i wszyscy brać muszą, każdy żyje nad możność. Interesa, których się nie robi pieniędzmi, idą tępo, trudno, i ułatwiają się tylko przez kobiety, choć ostatecznie znowu tym pośredniczkom także opłacać się potrzeba.

Miłości bez serca są w dobrym tonie i zwyczaj, począwszy od najwyższych sfer aż do kamerdynierów wielkich domów, wszyscy mają kochanki, nie żeby je kochali, ale że ta rozpusta daje niby człowiekowi pewną arystokratyczną cechę. Niema przykładu rozkochania się istotnego w kobiecie, ale zmysłowych fantazyi i kaprysów umiarkowanie, i nałóg kosztownej rozwiązłości, z którą się chwala i popisują, w ostatku próżniacza rozpusta zgniłego narodu. Im kto starszy tém głośniej się popisuje z miłośkami... na ostatnich szczeblach są fantazyje tego rodzaju grecko-rzymskie, o których nawet pisać się nie godzi. — I to jest przyjęte... w obyczaju...

W téj stolicy zepsucia Marya w ciężkich latach próby, miała niegdyś chwile wielkiego blasku: dość długo była ulubienicą jednego z najpotężniejszych

panów tego świata. Szczęściem śmierć jego uwolniła ją z tych więzów nieznosnych, czyniąc niezależniejszą. — Z téj to epoki, w którój wielu miało się za szczęśliwych, gdy ich w swoim przyjęła salonie, pozostały jój stosunki; na nie ona teraz rachowała.

Sekretarzem owego potentata, którego sercem władała, był człowiek który wyszedł na ministra, młody, grzeczny, bardzo przyzwoity, pod układną i skromną powierzchownością, ukrywał niezmierną ambicją. — Liczyła na dawniej okazywane jój przez niego względy, ale dawniej role były odmienne, ona była prawie ministrem, on małym urzędnikiem w dorobku. Resztę Marya obiecywała sobie zrobić przez kobiety i nie tracąc czasu, zaraz nazajutrz rozpoczęła starania przedwstępne.

Ale tu teraz wszystko jój było obce, musiała się naprzód dowiedzieć przez kogo wiodła ścieżka do serca ministra. Minister musiał mieć przecie choć jedną dobrą przyjaciółkę, nie licząc dystrakcyi chwilowych wśród wielkiego świata.

Marya która pół-świat petersburski znała dobrze, zachowała w nim trochę stosunków; wśród tych kobiet upadłych nisko, były pocziwe i strapione serca... Jedna z nich bliżej jój była znajo-

mą, dawniej ukochana generałowi który był ulubieńcem Mikołaja, korespondowała nawet z Maryą; naprzód więc pobiegła do niej, — Amelia Piotrówna przyjęła ją z okrzykiem radości i szalonymi oznakami rozczenia. Była to kobieta już nie bardzo młoda, którą klimat petersburski, jak wszystkich co w nim żyją długo, zniszczył przed czasem. Dawne jej wdzięki zwiędły, ale starannie podtrzymywana ruina starczyła na wieczory, w których potrzebowała jeszcze być piękną i udawać wesołą. Generał kochanek opuścić ją musiał przeniesiony będąc na prowincję, gdzie dla przyzwoitości zabrać z sobą nie mógł tego kompromitującego sprzętu. Szczęściem Amelia Piotrówna miała córeczkę, którą się opiekował i dla której złożył dosyć znaczną sumę w banku, żyła więc z tego zapisu, a prócz tego dobrała sobie serdecznego przyjaciela, dyrektora jakiegoś wydziału w jakimś ministerjum, który się do kosztów utrzymania domu przyczyniał. Nie były to już owe świetne czasy, jakie Marya pamiętała, gdy przyjaciółka jej lato spędzała na rokosznej dacz, a wieczory zimowe we wspaniałym apartamencie na newskim prospekcie, gdy miała swój własny piękny ekwipaż i liczną służbę. Teraz mieszkała dosyć skromnie o jednym

chłopaku i jednej służącej, meble saloniku przypominały dawną świetność, ale już tylko zużyciem i wypłowieniem.

Popłakały się naprzód obie. Amelia Piotrówna wcale nie była złą kobietą, ale wychowała się i spędziła życie wśród tego świata, w którym wyobrażeń nawet o obowiązkach, o cnocie, o delikatności uczuć nabyć nie można. Z zupełnie spokojnym sumieniem szła sobie tą drogą, nad którą innej nie znała i nie przypuszczała... skarżąc się tylko na niewdzięczność ludzi, na nieszczęśliwe przeznaczenie kobiet, na swój los niefortunny.

— Otoż patrz tylko co to się ze mną stało, mówiła płynące łzy delikatnie ocierając aby razem z twarzy bielidła nie otrzeć — widzisz jak ja teraz mieszkam. Jenerał mnie prawie opuścił, rzadko kiedy przyjedzie i tłumaczy się mi że w interesach, a dla swojej chrzestnej córki ledwie daje półtora tysiąca rubli co rok. Ty wiesz co to półtora tysiąca w Petersburgu, kiedy kto miał wprzódysiebie! Mój Sasza... a znasz ty Saszę? nie? — szczeniotała ciągle popłakiwając — dobry człowiek, ale pensyą ma małą, a teraz takie głupie nastały czasy, że dochodów prawie niema żadnych... ledwie z biedą da tysiąc rubli na dom... Byłam sobie trochę uzbie-

rała, ale i to w części poszło jak stary wyjechał nie chcąc nawet wszystkich długów popłacić. — Więc wystaw sobie całego majątku jeżeli zbiorę trzy tysiące to najwięcej! Myślałam z początku że ten dndek blondyn, ładny a bogaty, z gwardyi, Stefan Iwanowicz, który mi się dawno przypochlebiał, weź nie mnie do siebie... i możeby był to zrobił, ale dla téj małej się zawahał. No cóż robić? Sasza dobre człeczysko, tylko że nędza i bieda! Musiałam się przenieść do mniejszego mieszkania... o koniach i karecie ani myśleć — ludzi poodprawiałam. Ty wiesz jak ludzie człowieka widzą w nieszczęściu. to go opuszczają wszyscy, połowa moich dawnych znajomych — nie poznaje na ulicy Amelii Piotrównéj.

I rozplakała się gorzko, mała córeczka, rozpieszczona dziecęg, niespokojnie przybiegła do matki.

— Nie frasujcie się Amelio kochana, odpowiedziała Marya, jeszcze twój los jest do zazdrości dla innych.

— Ale czy to ja się takiego niegdyś spodziewałam! zawołała gospodyni łamiąc ręce. Jenerał miał się już ze mną żenić, obiecywał, powinien był dla dziecka jeżeli nie dla mnie; teraz już i mowy o tém niema. Stary, siwy, schorowany, począł słyszeć sobie czernie włosy — wasy to i dawniej sma-

rował — bodaj żeby się z inną nie ożenił. Wystaw ty sobie! wdowa po jenerale, która ma pięć córek i nie wie co robić z niemi, łapie go, słyszę, na wszystkie sposoby; starsza mu dowodzi że młodych ludzi cierpieć nie może... nadskakują mu podłe... zostawują ich wieczorami sam na sam... pochlebają... karnią... już bym przysięgła że się w końcu ożeni. Ale odda mu ona za moje... tam już tylko tego czeka kapitan, który woli w cudzym lesie polować niż o swój się postarać! Ja wszystko wiem.

I płacząc ciągle, paplala wpadając w coraz nowe opowiadania.

— No, ale wy kochacie waszego Saszę! spytała Marya.

— Mój Sasza! bardzo, bardzo dobre człeczysko, ale on to się dobił do tego dyrektorstwa wyszedłszy z małego... na nim taki znać... ja ci powiem po cichu... on jest z księżych dzieci... popowicz biedaczysko... Kiedym go poznała nie wiedziałam wcale że był żonaty na prowincyi i także podobno z jakąś popadzianką... Szczęściem dzieci nie mają, a że to prosta kobieta i na twarzy ma bardzo szkaradny trąd, zostawił ją na wsi, płaci jój coś na utrzymanie. — No — ale téż ożenić się ze mną nie może...

Westchnęła.

— Moja droga. odparła Marya uśmiechając się boleśnie — ze mną daleko, daleko jest gorzej!

— A! co ty mówisz! Ty jeszcze tak świeżo i młodo wyglądasz, ty byś tu sobie dostała kogo byś chciała, choćby z carskiego dworu... masz tylu przyjaciół, ciebie tak lubią... Tobie tylko w ręce klasnąć... a zresztą tyś sama jedna!

— Amelio, rzekła po cichu Marya — ja kocham — a mój kochany w kajdanach... idzie na Sybir do kopalni!

Przyjaciółka splasnęła w dłonie.

— O! zlitujże się Chryste, to pewnie z tych buntowników Polaków! Jakże ty mogłaś pokochać się w takiej poczwarze... toż oni truli, sztyletowali, męczyli naszych...

Na twarz Maryi wystąpił rumieniec.

— Przecież to wiadomo, paplała dalej niepowstrzymana Amelia, że oni wszyscy spiknęli się przeciwko Ojcu naszemu Carowi i przeciwko świętej Matce Rosyi... z trucizną, z puginałami przysięgli się ze zbrodniarzami całego świata, zatruwając studnie, chleb... napadali nocami i wyrzynali bezbronnych, znęcali się nad kobietami... o! poczwary! Ich by wszystkich do nogi wygubić po-

trzeba... Sasza powiada że cały ten nieposłuszny naród wywieszają i na Sybir wywiozą, inaczéj w świętój Rosyi spokoju nie będzie.

Marya ruszyła ramionami.

— Ty wierzysz temu wszystkiemu? spytała.

— A jak nie wierzyć? Czytajcie dzienniki! posłuchajcie ludzi, u nas to jak święta Ewangelia!

— Moja droga, ja ztamtąd jadę, jam na to patrzała!

— I ty pokochałaś sztyletnika?

— Ameljo Piotrówno... nie będę ci wiele mówić, ale gdybyś ty jak ja widziała co się tam dzieje, jak ja byś nad niemi płakała...

— Ej! Ej! ten to Polaczek ciebie pobałamucił! ty się w nim niepotrzebnie zakochała! a jak z nas która pokocha — oślepnie.

— Ślepnię téż ludzie i od nienawiści, odpowiedziała Marya za rękę ją biorąc — Amelio Piotrówno, bądź co bądź, jam do ciebie przyszła po radę i pomoc w nieszczęściu, ty musisz dla staréj naszéj przyjaźni coś uczynić, ty nie odnówisz mi.

Amelja mocno się zmięszała.

— O! tylkoż nie Polaków ratować, bo to nie może być, to nie może być, tego nikt tu nie potrafi. — U nas inny wiatr wieje. — Mój Sasza taki

patryota aż strach, przed nim o tém i nie mówić. Oni w angielskim klubie wszyscy tego zdania... że Polaków potrzeba wygubić... póki ich stanie dopóty my spokojni nie będziem i wiecznie w kłopotach... Oni mówią że wszak Anglicy tak robili w tój Irlandyi i Indyach i inni téż... czemu my nie możemy dla spokoju poświęcić choćby parę milionów ludzi... Rosya ma 70 milionów.

— Moja droga, odparła Marya, ale cóż Rosyi uczynić może jeden nieszczęśliwy kaleka bez ręki?

— A! miły Boże! krzyknęła Amelia, bez ręki! bez ręki! Jakże ty możesz kochać takiego kalekę! Ale wstydzże się, wstydz! patrzajcie! I Polak i bez ręki... ot, pluń, a ja tobie znajdę takiego co mi podziękujesz i bogacza i młodego i...

Łzy stanęły w oczach Maryi na widok tego naiwnego zepsucia, które nawrócić było niepodobieństwem... ta istota innój nad zwierzęcą nie pojmowała miłości.

— Nie mówmy o tém, odrzekła, jeśli nic nie możecie uczynić dla mnie, ja się wam naprzykrzać nie będę, ale nauczycie mnie może jak trafić do Lwa Pawłowicza... przecież on był sekretarzem przy *moim*, gdyśmy jeszcze żyli z sobą... a dzisiaj jest ministrem i wszechwładnym. Był dla mnie

zawsze bardzo grzecznym, a w gruncie sędzę że to jest dość dobry człowiek...

— Kto? Lew Pawłowicz? — przerwała trzpiotowato Amelia... ja go nie znam, ale wiem o nim po trosze od Saszy... dla mnie to teraz za wysokie progi, a moje dla niego za niskie... Nie wiem nawet przez kogo by do niego trafić można; wystaw sobie, śmieszny człowiek... wszak żyje tylko z żoną i nie ma kochanki... skąpy, dziwak... Sasza się przysięga że nie bierze pieniędzy, że były takie przypadki że mu po 75,000 rubli wciskano prawie gwałtem, a odmawiał... ale to muszą być plotki. Cesarz Mikołaj dobrze znał matuszkę Rosyą kiedy mówił, że u nas tylko car i jego syn co nie biorą... Lew Pawłowicz musi mieć kogoś co za niego robi interesa... a chce mu się zejść wysoko... On dla was nic nie zrobi! chyba — uśmiechnęła się szydersko — macie u niego stary dług jaki.

Marya wstrząsnęła się z oburzeniem.

— Ale z kimże żyje? przez kogo mówić do niego za tym biedakiem!

— Ja wam szczerze powiadam, teraz za Polakiem ani gadać... zawołała Amelja, u nas moda... siec i strzelać Polaków, nawet my klaszczemy w dłonie gdy posłyszemy że ich mordują... Choćby kto

i chciał wam posłużyć, będzie się obawiał... Ja wam mówię raz jeszcze zapomnijcie wy o nim... czy to on jeden ginie... tak chciał Bóg i Car...

— Amelio Piotrówno! zawołała zniecierpliwiona Marya, czy kochaliście wy kiedy?

— Ja? ja? zadziwiona rzekła kobieta cofając się krokiem, boć to kochanie było rzemiosłem całego jój życia, a zapytanie wyglądało na szyderstwo. Co wy mówicie??

A po namyśle głębokim dodała ciszej poufnie:

— Rozumiem... przyznam się wam... tak... raz... kochałam bardzo... był to biedny urzędnik z kancelaryi... ale taki głupi, że kiedym ja żyła z jenerałem i spodziewałam się że on mnie weźmie, ten się chciał téż żenić ze mną! Naturalnie żem mu się w nos roześmiała! Tylko co mi wszystkiego nie popsuł... A! kochałam go bardzo...

— Więc rozumiesz, przerwała Marya, do czego kobieta jest zdolną kiedy kocha.

— A! to prawda! to prawda! westchnęła Amelja, człowiek zapomina o wszystkiém... ale cóż, trzeba mieć rozum... bo potem i miłość i chleba nie stanie, a jeść zawsze potrzeba.

Nie było co mówić dłużej z tą nieszczęśliwą istotą, która żadnego poświęcenia pojąć nie mogła.

Marya zagryzła usta i uściskawszy raz jeszcze swoje chrzestne dziecko, pożegnała dawną przyjaciółkę.

— Ale przynajmniej przyjdźcie kiedy do mnie na herbatę... gdy będzie wieczorem Sasza, zawołała... przekonasz się lepiej sama mówiąc z nim, co to u nas teraz Polacy... No! fraszka Cyganie i Żydzi! dodała ruszając ramionami. Tylko, szepnęła ciszej, proszę was, gdy przyjdziecie to ni Saszy nie bałamucie, i nie patrzcie na niego temi oczyma co to wy czasem macie!

Rozśmiała się, a Marya westchnęła.

— Te oczy, wypłakałam, rzekła po cichu — nikogo już zbałamucić nie potrafię, bądź spokojna... serce moje gdzieindziej...

— O! biednaż z ciebie kobieta, ściskając ją raz jeszcze odezwała się Amelia... ale cóż na to poradzić? na co ci było kochać się w Polaku! to tylko nieszczęście, wiatronosy i goli...

Lew Pawłowicz dziś minister a niegdyś dobry przyjaciel Maryi, której przynosił kwiaty i cukierki, gdy przez nią chciał co wyrobić u jej starego protektora, przyjmował czasem proszących w rannych godzinach... Marya spodziewała się że przesyłając mu kartę swoją przynajmniej posłuchanie otrzymać

potrafi... wiele liczyła na dawnych stosunków wspomnienie, na pewne obowiązki które one wkładają.

Kazała więc jechać nazajutrz do pałacu ministerium w którym władzca zajmował wspaniałe apartamenta. Ale tu w dzień posłuchania ledwie się było można docisnąć, ciżba w przedpokojach wszelkiego stanu ludzi nabijała się ogromna. Marya znając Petersburg, będąc nieco znajomą, wydobyszy parę rubli dla Szwajcara i kanierdynera, potrafiła bilet swój przed innemi przesłać ministrowi. Oddany w szczęśliwej godzinie poskutkował i służący przybiegl zaraz ją prosić nie do salonu, gdzie tłum wybranych oczekiwał na Lwa Pawłowicza, ale do osobnego gabinetu Jego Excelencji.

W progu powitał ją z niezmierną grzecznością, trochę osiemnasty wiek przypominającą, męczyzna bladą twarzą, rysów bez wyrazu, słuszny, wyprostowany, przystojny, w bardzo skromnym wice-mundurze bez żadnego znaku... ale mimo udanej uprzejmości, roztargniony i zimny. Poznać w nim było łatwo człowieka który się wyrzekł wszelkich namiętności dla ambicyi i grał o wysoką stawkę. Czoło świadczyło że mu nie zbywało na zdolnościach do wybiecia się nad tłum współzawodników,

był już zresztą jak ten co na maszt wlaższy. ma tylko ręką sięgnąć po zegarek i butelkę wina. — Ale ileż to razy osliźnie się szczęśliwy od samego wierchołka..

Formą jego dumy była niezmierna grzeczność. lodowata, odpychająca, nie chybił on nikomu, ale zakreślał nią koło, którego nikt przestąpić nie mógł. — Nie dawał najbliższym spoufalić się z sobą, ani zajrzeć w głąb swjej duszy, zasepiony, zamknięty nawet dla przyjaciół, był dla nich zagadką... potakiwał każdemu, nie sprzeczał się nigdy, ale niczyjéj rady nie żądał i nie przyjął.

Z uśmiechniętą twarzą (nie urzędnika ale gościa wieczornego) powitał przybywającą.

— A! a! cóż to wy u nas robicie, rzekł wesoło, Maryo Agathonówno? byłem pewny, zdaje mi się żem od kogoś słyszał, iż jesteście w Warszawie.

— W istocie, przebyłam tam czas dość długi, odpowiedziała zinusząc się do uśmiechu Marya i drżącą ręką ściskając podane sobie chłodne palce ministra.

— Byliście i w końcu musieliście ztamtąd uciec, nieprawdaż? podchwycił Lew... aby na te okropności nie patrzeć... Bo tam słyszę i kobiecie spo-

kojnie przez ulicę przejść nie dają... każdy Rosyanin wychodząc z domu, musi się przygotować jak na śmierć.

Marya uśmiechnęła się dziwnie, byстрыm rzutem oka zmierzwszy ją minister odgadł jęj myśl... Było to jego szczególnym talentem, że w ludziach czytał jak w otwartęj księdze... Jednęm tęm spojrzeniem zrozuinał kobietę, cel jęj podróży, powód przybycia do siebie. Jeszcze nie wynówiła słowa, już się miał na baczności.

— Lwie Pawłowiczu, odezwwała się po chwili biorąc go za rękę, jeśli macie cokolwiek... no... może nie przyjaźni ale choć pamięci dla dawnęj a dobręj przyjaciółki, proszę was naznaczyć mi jaką swobodniejszą godzinę... Mam do pomówienia z wami i prośbę do was wielką...

— A czyżbyście mi teraz zaraz powiedzieć nie mogli co was do mnie sprowadza?

Marya zakłopotala się...

— A! bo to trochę długie... a na was czekają... tłum taki, boję się... zabiorę wam zbyt wiele czasu...

— Ażeby nie odkładać, rzekł grzecznie minister, żeby was nie trudzić, w pół godziny odprawię wszystkich. przejdźcie do małego saloniku, znaj-

dziecie tani książki na stole... ja do was powrócę w prędkę... Lepiej żebyśmy się zaraz rozmówili, ja czasu teraz mam mało i nie chcę żebyście czekali...

To mówiąc wprowadził ją do salonu, skłonił się, a sam wyszedł przyjmować prośby i ustne podania.

Z tego wstępu nie najlepiej już sobie mogła wróżyć Marya, widocznie chciał się jój pozbyć od razu, serce jój bić zaczęło... o! zmieniły się czasy! Siadła w fotelu, chwyciła jakiś angielski album, który zaczęła przerzucać nie wiedząc nawet na co patrzyła i czekała niecierpliwie powrotu Lwa Pawłowicza, rozmyślając tylko jak obrócić rozmowę...

Przyjęcie było uprzejme, poufale, ale nie można się niém było łudzić, człowiek dawny zmienił się w nową istotę, z podwładnego na panującego.

Po półgodzinnym marzeniach, drzwi się otworzyły nagle, minister wszedł szybko. przysunął sobie fotel i usiadł naprzeciw niej.

- No, teraz jestem wolny, rzekł, mówcie, proszę, słucham was z uwagą, jestem na wasze rozkazy.

— Ale naprzód, spytała drżąca kobieta, powiedzcie mi dawny przyjacielu, jesteście wy dla

mnie przyjacielem jak dawniej?... uczynicież co dla biednej Maryi?

— A! co tylko jest w mojej mocy, zimno rzekł skłaniając się Lew.

— Więc po co mam z wami krążyć i omawiać, przerwała Marya, powiem od razu z czém przychodzę...

Położyła rękę na jego dłoni — spojrzała mu w oczy.

— Kocham człowieka który za... przewinienie polityczne... skazany został do ciężkich robót.

Twarz ministra zaszepiła się widocznie.

— Ale ten człowiek jest niewinny, ja znam jego sposób myślenia, poszedł popchnięty nie wierząc w rewolucyą, bo szli inni, bo fałszywy wstyd go zmuszał... jest kaleką, stracił rękę...

— A! a! rzekł zimno minister, pocierając czoło, nadzwyczaj mi przykro Maryo Agathonówno, ale cóż wy chcecie bym ja na to poradził? Sprawy polskie do mnie nie należą... zresztą czas jest dla Polski, z jej własnej winy, bardzo niepomyślny. Powiem wam szczerze Maryo Agathonówno, dziś prosicie o co chcecie i za kim chcecie, ale nie za Polską i nie za Polakiem... Usposobienie przeciwko nim na dworze, w najwyższych i najniższych sfe-

rach jest najzawzięciój nieprzyjazne... odezwać się nawet ze słowem łagodniejszém niepodobna... Jako człowiek, ubolewani wielce nad losem Polski, nad krajem, który tyle cierpi, *mais les necessités politiques...* a opinia publiczna...

Marya spojrzała mu śmiało w oczy.

— Zapomnij na chwilę, że jesteś ministrem, Lwie Pawłowiczu, zawołała, mówmy otwarcie jak starzy, dobrzy znajomi. Bądź dla mnie dobrym, bądź człowiekiem nie urzędnikiem... Ty wiesz najlepiej, że w Petersburgu wszystko zrobić można.

— Tak jest, odpowiedział minister... do pewnego stopnia... macie słuszość, tak dawniej bywało, tak może już nie jest dzisiaj. Wyjątek szczególniej stanowi Polska... w téj chwili sam cesarz nawet nie śmiałby się za nią odezwać... cóż dopiero ja, który jestem i tak posądzany o łagodność i zbytnią ludzkość? o sympatye dla zachodu! Najpopularniejszym u nas człowiekiem jest Murawiew, to dosyć; — on sobą uosabia epokę, stan opinii w naszym kraju, chwilę... moment historyczny... Cesarz sam musi się rachować, aby opinii nie narazić. — Symbolem uczuć naszych, słowem Rosyi przebudzonej do życia... Murawiew!! Cóż chcecie byśmy przeciwko temu poczęli! Nie będę sądził

czy to źle czy dobrze, ale tak jest... tak jest... na ulicy, w klubach, po szynkach, w binrach, w pałacu monarszym i w stajniach cesarskich znajdziecie wszędzie przeważny wpływ stronnictwa, które sobie tego człowieka za wyraz swój wybrało, za najwyższe godło... Żal mi Polski, ale dziś i myśleć nie można nawet aby się co dla niej zrobić dało...

— Jaż przecie nie za tym biednym krajem, ale za jednym przychodzę prosić człowiekiem.

— Tak, ale ten człowiek jest Polakiem, Maryo Agathonównu, nikt się dziś za Polakiem odezwać nie śmie, byłby poczytanym za nieprzyjaciela Rosyi... Zresztą my tu w Petersburgu nie władamy tém wcale co się dzieje w Polsce; sam cesarz dał słowo honoru, że się do niczego nieśzać nie będzie i ulega woli tych, którzy się podjęli ciężkiego posłannictwa uspokojenia tego kraju... Europa chciała nas zmusić do upokarzających ustępstw, dowodzimy jój, że mamy dosyć siły by pójść nietylko przeciwko niej, ale przeciw opinii całego świata... przeciwko... no!! jeśli chcecie, przeciwko prawom odwiecznym dotąd wszędzie szanowanym.

Lew Pawłowicz potarł czoło znowu i uśmiechnął się gorzko.

— Czujemy się tak silni, że się nie bojemy pójść nawet przeciwko Bogu i prawom jego.

— No, dodał, ale choć się nic zrobić nie może, powiedzcie mi jednak kto to jest i jak dalece winien.

Marya nieśmiałym głosem, smutnie rozpowiedziała wszystko w krótkości, minister słuchał z uwagą zacinając usta, kiwając niekiedy głową.

— Dosyć dziś być Polakiem, rzekł, cóż dopiero gdy do tego przybywa jeszcze przewinienie polityczne! Za cesarza Mikołaja mieliśmy nadzieję nawrócenia obłąkanych, dziś już myślimy tylko o wytepieniu... Niema sposobu! Jak się odezwać! co powiedzieć! Na wszystko ci odeprą... tą nie-szczęsną potrzebą polityczną... *force majeure!* koniecznością wyniszczenia żywiołu polskiego. Maryo Agathonówno! chcecie go ocalić, postarajcie się o to by przynajmniej przyjął *prawosławie!*

Kobieta wzdrygnęła się cała.

— A! gardziłabym nim, rzekła, gdyby dla ocalenia życia, ze strachu frymarczył wiarą... Nie wiem do jakiego stopnia gorliwym jest katolikiem... ale pojmujecie przecież, żeby to była podłość.

— Ale właśnie tylko upodleniem i upokorze-

niem mogą się ratować Polacy... przerwał Lew, — Rosya pragnie ich spodlić w oczach Europy, aby im odebrać ostatek téj sympatyi jaką jeszcze u niej mają... to właśnie cel...

Marya pobladła załamując ręce mimowolnie...

— Okropny czas! zawolała — okropna myśl! O Boże mój, Lwie Pawłowiczu! bogdajbyśmy byli nigdy nie kosztowali téj trucizny, która się zowie koniecznością polityczną.

— Tak jest! tak jest! czas okropny, rzekł minister kręcąc się na fotelu, ale narody zmuszone są niekiedy przebywać takie epoki. Cóż chcesz, droga pani... potrzeba to zrozumieć, trzeba się temu umieć poddać... trzeba być *wyższym* człowiekiem.

— Wyższym! zakrzyknęła mimowolnie kobieta... a! godziż się to tak nazwać! Mówmy szczerzej... jestli to z korzyścią dla samej Rosyi? nie sędzę żebyście wy w to wierzyli, idziecie z prądem rzeki, nie mogąc mu się oprzeć, ale i wy dostrzegać musicie, że temi okrzykami szału i zwycięstwa lecimy do przepaści! Żadne państwo nie zyskało nigdyniżając się do roli bezdusznego prześladowcy... Zapamiętali moskiewscy patryoci mają Rosyą za kraj wyjątkowy, który ma sobie stworzyć jakąś zupełnie nową przyszłość, nie mającą żadnej styczności

z cywilizacją zachodu. — Na tym błędzie spoczywa wszystko... w ich oczach to co Piotr uczynił dla Rosyi jest grzechem... chcieliby powrócić do Groźnego i podbijać jak on Nowogród... i Psków... to szaleńcy! Nie widzicież wy, iż gdy się wyczerpie prześladowanie Polski, pocznie się inne w łonie własnego społeczeństwa... że to idzie do rewolucyi, do przewrotu... jakiego świat nie ma pojęcia, na które w żadnym języku niema nazwiska.

Lew Pawłowicz spojrzał na nią bystro... z nadto była wymowną aby się po za nią nie domyślał więcej ludzi tak samo myślących...

— Między nami mówiąc, dodał cicho, wielu z nas tego co i wy się obawia, Maryo Agathonówna, ale woda groble przerwała, a zatrzymać ją teraz trudno... trudno... ona i nas niesie. — Polacy nas do tego zmusili, godność Rosyi nie dopuszczała czynić ustępstw, zwłaszcza pod naciskiem Europy, musieliśmy z tém *opółczeniem* (pospolitém ruszeniem) wystąpić przeciwko wszystkim. Broń nie jest dobra... ruchawka niebezpieczna... ale mieliśmy nóż na gardle...

— Po starój naszej przyjaźni, rzekł potem, nie dziwuję się, że mi to tak otwarcie mówicie... jednakże radziłbym wam, nie odzywajcie się nigdzie

podobnie... Nawet ci co może podzielać przekonanie wasze, nie będą śmieli stanąć w waszej obrobie... Nie wielu widzą jaśniej, a ci też milczą zagłuszeni.

— A! więc nic! nic dla mnie, ani nawet nadziei! zawołała. o! panie mój. przyjacielu, odejmujecie mi ostatnią iskierkę...

— Nie śmiem i nie mogę sumiennie dawać wam żadnej, rzekł poważniejąc minister, boleję nad wami, żał mi nawet Polski i Polaków, ależ sami postawili się w tém nieszczęsném położeniu... Rewolucya ich groziła przerzuceniem się do nas... musimy między nią a sobą postawić tę nieprzełamaną zaporę patriotyzmu, niszczącego wszystko... Kiedy zwierz dziki napadnie jadących... dla ocalenia kilku, spychają mu z wozu najsłabszego na pastwę; i myśmy tak uczynili.

— Tak jest, odparła kobieta, dla uniknienia jednej rewolucyi robicie drugą... o! cnotliwi homeopaci! rośmiała się szyderczo powstając z gniewem.

Lew Pawłowicz zmięszał się, zaczerwienił i zadumany począł chodzić po pokoju... zagryzając usta.

— Dajcie mi jego imię i nazwisko, rzekł uni-

kając dalszój rozmowy ogólnej — spróbuję, postaram się... Gdy raz wyślą go z Warszawy, któż wie? znajdziemy może jaki sposób ulżenia jego losowi; wiecie Maryo Agathonówna. że nie zbywa mi na dobrych chęciach.

— A! bądźcie człowiekiem nie ministrem, przerwała kobieta chwytając go za ręce, miejcie serce dla nieszczęśliwego... Rosya nic na tém nie straci, wy zyskacie... nie mówcie jak w dzień ukrzyżowania wołali żydzi — cóż, że jeden człowiek umrze za naród swój? Śmierć jednego człowieka ciąży wieki na sumieniu i losach milionów ludzi! Lwie Pawłowiczu... nie odmawiajcie...

Minister zmieszał się tym wyskokiem i zarumienił, ale zarazem ostygł znacznie.

— Zapominacie, rzekł grzecznie ale chłodno, że na nieszczęście tego brzemienia władzy, które los włożył mi na ramiona, ani na chwilę otrząsnąć nie mogę.

Skłonił się, rozmowa była widocznie skończoną, kobieta wyszła smutna zostawując dawnemu przyjacielowi swój adres, który on po jój wyjściu nie dbałe rzucił na stół.

— Nie dziwię się, rzekł w duchu, temu parciu Rosyi przeciwko polskim żywiołom, ktokolwiek ze-

tknął się z niemi nie wyszedł cało, są zaraźliwe. są nęcące, mają w sobie tajemniczą siłę, przeciw której cała gwałtowność, nasza barbarzyńska, nie może nic...

— Któż wie, dodał pośpennie, pracujemy może na nich i wszystko się to na nic nie przyda... Niekiedy umarli straszniejsi od żywych bywają... Mówiłem zawsze, że inną drogą iść z niemi było potrzeba... nie posłuchano mnie... Próba na wielką skalę... *qui virra verra!*

I widać było, że ostatecznie nie tyle o losy Rosyi mu szło, co o własną skórę... Patryotyzm polakożerczy był w modzie, minister w angielskim klubie odzywał się z sarkazmami, największe mającemi powodzenie; a po cichu ruszał ramionami na całą tę agitacyą...

Jak Augurowie rzymscy, cywilizowani Moskale, spotykając się uśmiechali niekiedy na cały ten hałas dziki, ale słówko nawet przez usta przejść im nie śmiało...



Gdy Amelia przybyła pieszo odwiedzić dawną przyjaciółkę, na samym wstępie rozplakała się naprzód nad swoją niedolą... przechadzka przypomniała jej że nie miała karety i kamerdynera, to wycisnęło jej łzy... Znalazła Maryą we łzach także nad odpowiedzialnością ministra, który zdawał się jej wszelką odejmować nadzieję... List był niezmiernie grzeczny, pełen ubolewań i współczucia, ale zimny i ostrzegający aby się więcej w tym interesie nie udawała do niego. Biednej kobiecie zawracało się w głowie z rozpacz. Z Warszawy razem odebrała zawiadomienie że Juliusz okuty w kajdany wyszedł powolną tą drogą w głąb Rosyi, do której za towarzyszków politycznym skazanym dobierają unyślnie złoczyńców, aby w oczach świata zrównać ich z wyrzutkami społeczeństwa.

Ten środek mechanicznego mieszania cnoty z występkiem, barbarzyńskie połączenie dwóch przeci-

wnych sobie żywiołów, nie po raz pierwszy używany jest w Rosyi; pracowano i pracują nad tém aby poniżyć i skalać poświęcenie dla kraju, aby ideę zbrodni politycznej postawić na równi z prawdziwymi zbrodniarzami, weszło to w system, ale jakiejże to dowodzi naiwności ze strony oprawców!! Jak w innych swych działaniach Moskale postępują sobie w tém wierząc tylko w cieleśną siłę, nią usiłują stłumić i pogniebić ducha; zresztą dla tłumu starczy wedle nich postawienie pod pręgierzem za hańbę... Ale i tłum rozróżniać umie!

Idzie im o to aby widok politycznych przestępców nie działał na kraj, aby łańcuch wiążący zbójcę z męczennikiem idei, obu razem zaciągnął w pogardę ogółu... Przerażają się, nie bez przyczyny, wpływem jaki powoli wywierać musi ta masa, wygnańców apostołów, choćby na najdziksze społeczeństwo. Dla tego też nie ma potwarzy którejby nie rzucano na skazanych, ażeby ich ohydzić. Wszędzie na świecie kara jest w jakimś do przewinienia stosunku, tu dosyć często podejrzenia aby zasłużyć na najśrodszą; a los raz skazanego człowieka wszyscy starają się jak najcięższym uczynić, wszyscy począwszy od oficera prowadzącego komendę,

aż do żołdata popędzającego kolbą tych co w drodze osłabną.

Przy takiem usposobieniu ludności, gdy rząd i prasa podżegają do okrucieństwa, można sobie wystawić jakim los więźnia być musi. Nigdy jeszcze nie był on dzisiejszemu podobnym.

Dawniej godziło się ludowi mieć litość nad winowajcami a uczucie chrześcijańskie narodu w głębi Rosyi było dziwnie piękne... i szlachetne. Dla miłości Boga żywiono, wspierano tych, których jednem imieniem *niešťczęśliwych* zwano... Ale rząd sam postarał się o wykorzenienie tego uczucia i obyczaju, o zdemoralizowanie narodu. piękną tradycją usiłując wytępić, nie dopuszczając aby się ona do politycznych przestępców zastosowywać niała. Tam gdzie dawniej przyjmowano chlebem i litością, dziś spotykają kamieniami i przekleństwami.

Nie znamy w historii przykładu aby rząd sam starał się podżegać nienawistne uczucia w ciemnym ludzie ledwie do człowieczeństwa dorastającym, aby dobrowolnie spychano tych których ludźni uczyniło chrześcijaństwo, w otchłań namiętności pogańskich. Tak się dziś przecie dzieje, a czytanie moskiewskich dzienników obudza zgrozę i litość nad umyślnem obłąkaniem, wzgardę dla ludzi co się

takiego podjęli rzemiosła, radzi że im się pozwolono na chwilę zabawić w politykę.

Maryi przyszedł na pamięć cały szereg rysów, o których niejednokrotnie czytała i słyszała w Warszawie... wystawiała sobie Juliusza rzuconego na pastwę oprawcom, przebywającego tysiące mil tej drogi krzyżowej urągowiska i pastwienia — upadającego pod brzemieniem prześladowania.

Amelia przeleżała się widząc ją wybladłą, zmienioną, zapłakaną i ulitowała nad biedną... zaczęła ją cieszyć po swojemu.

— Ale zapomnijże ty o tym swoim dumnym Polaczku, rzekła żywo, ty dla niego nic nie zrobisz, a tylko zdrowie stracisz... Żebyś wiedziała jak wyglądasz dzisiaj! Ja cię na teatr zaprowadzę... wiesz... już wspominałam o tobie księżciu Daliwadze... Jest to śliczny gruziniec, biały jak mleko, włos kruczy, oko ogniste, zęby jak perły. młody, nie bardzo okrzesany, ale taki pocziwy... a co najlepsza bogaty! bogaty! mówię ci kamienie drogie kwartami mierzy... Tybyś go nauczyła muzyki i po francuzku, bo on koniecznie chce kochanki z językami i z muzyką...

— A! Amelio Piotrówno, zlituj się, dajże mi pokój i z nim i ze wszystkimi innymi, porwała się

Marya, nie chcę znać żadnego... mnie w głowie, w sercu, na ustach jedno tylko, ten biedny wygnaniec wlokący się na Sybir... z sercem zakrwawioném, wąpiący o mnie... przeklinający mnie może.

— Jakaż z ciebie dziwna kobieta, zawołała Amelia, cóż ty na to poradzić możesz? trudno samój zginać i nic nie zrobić... Cóż ci odpowiedział Lew Pawłowicz?

— A! żadnej nie daje nadziei!

— Nie uwierzysz jak mi cię żal! odezwała się zamyślając przyjaciółka... Ale ty przecie miałaś... szepnęła ciszéj — stosunki z trzecim oddziałem... ot, tam ci może najłatwiejby poszło co zrobić...

Marya zarumieniła się.

— Tam oni teraz dla mnie nic nie robią, przebaknęła, i ja ich téż o nic prosić nie myślę...

— To już ciebie nie rozumiem, wzdychając odpowiedziała przyjaciółka...

Wtém zastukano do drzwi.

— Proszę wejść! odezwała się Marya podnosząc głowę.

Nieśmiało uchyliła się naprzód drzwi połowa i siwe krótko postrzyżone włosy widzieć się dały, potém twarz rubinowego koloru z małemi wklęsłemi oczyma, zaogniona przepalanką, na ostatek cała po-

stać dosyć niezgrabna, mężczyzny wprawdzie przebranego z europejska, ale stworzonego widocznie do ludowej moskiewskiej kapoty. Z dawnego zrzuconego stroju zostały na nim jeszcze buty do kolan i szarawary axamitne, ale kapelusz miał okrągły, chustkę na szyi i kamizelkę axamitną w kwiaty. Wyglądało to wszystko razem dosyć dziwacznie i niepozornie, ale twarz kraśna od ułiwiki i herbaty z rumem była pocziwa, uśmiechająca się, jakaś dobrodusznna i serdeczna. Od progu wyciągał ręce i począł nic nie mówiąc, ale śmiejąc się, stając, podchodząc, minami osobliwszemi najserdeczniej się z czegoś cieszyć...

— Marya Agathonówna! Marya Agathonówna! a! to wy, o Boże mój! zawołał w końcu ręce dźwigając do góry — o Boże ty mój! a nie poznajecie starego sługi! nie poznajecie! ha! ha! Prokopa Wasiliewicza waszego wiernego nie poznajecie...

I na środku izby przyklęknął.

— A! to ty mój stary...

— A no ja! ja! ja! zawołał porywając się, podbiegając żywo całując jęj ręce i płacząc razem stary.

— Któż to jest? szepnęła zdziwiona Amelia.

— A! to dawny mój znajomy. kupiec. . odparła

Marya zmięszana... Prokopie Wasiliewiczu, druhu pocziwy, siadajcie.

Stary obejrzawszy się wyszukał jako najdalsze krzeselko i usiadał na brzeżeczku z poszanowaniem, a potem począł się wpatrywać w Maryą i popłakiwać ocierając oczy i nos czerwony chustką kra-ciąstą, którą zarazem gładził włosy i porządkował brodę z wąsami.

A! wy nie wiecie Maryo Agathonówno, jak mnie dusznie miło was widzieć, człowiek ma serce, rzekł uderzając się w piersi jak obuchem. — O! Prokop Wasiliewicz nie zapomniał coście wy dla niego uczynili. Gdyby nie wy, dzieci i wnuki moje nie miałyby chleba kawałka... a ot teraz... Maryo Agathonówno... ja bogacz! ja kupiec wielki! Wy nie wiecie! Poszło ręką jakieście wy mnie podźwignęli... Pan Bóg błogosławił i nie dałbym ja mojego handlu za 500,000 rubli... A to ja wszystko wam winienem... wam... i pamiętam i nie zapomnę... A wy? byliżbyście pomyśleli odwiedzić moją dominę i dowiedzieć się co się z uami dzieje? byliżbyście choć spytali o starego? A godzi się to, matko rodzona, a godzi? — I żeby nie przypadek, ja bym nawet nie wiedział że wy tutaj i nie byłbym przyszedł z głową powinną... O!

Zerwał się stary i pocałował ją znowu po rękach całować, a Maryi łza także stoczyła się z powiek... mówiło do niej uczucie prawdziwe.

— Coś wy Maryo Agathonówno, jakoś biedno i mizernie mi wyglądacie! rzekł po chwili kupiec... co to wam takiego! mówcie no! czyście nie chorzy... znam takiego znachora...

Amelia nie chcąc przeszkadzać rozmowie wstała.

— Otoż, rzekła szybko, czy chcecie czy nie, ja was na teatr poprowadzę dziś, zajadę po was — Sasza zamówił karetę, tylko bądźcie gotowi.

I wybiegła szybko...

Stary kupiec który był powstał w czasie pożegnania, usiadł przy Maryi poufalej gdy zostali sami.

— Maryo Agathonówno, rzekł powoli wpatrując się jej w oczy, ja widzę po waszej twarzy, że wy cierpicie mocno... Wam się jakieś przydarzyło nieszczęście. — Zlitowaliście się wy kiedyś nad moimi łzami, podzieliliście się nieszczęściem mojem, zróbcież mi tę łaskę niegodnemu, zróbcie mi tę cześć żebym ja choć wiedział co was boli. Małym robakiem jestem ale wiernym wam i może od drugich wdzięczniejszym.

— Na cóż się wam przyda, Prokopie Wasiliewiczu, wiedzieć co mnie boli, gdy wy mi żadnej

nlgi przynieść nie możecie. Wierzę w pocziwe serce wasze, ale one tylko tyle że się ulitować nademną potrafi.

— No, więc powiedzcież no tylko, a rzućcie z serca ciężar, odezwał się stary.

— Przybyłam tu z Warszawy, odezwała się Marya, w jednej sprawie bardzo ciężkiej: przywiązałam się całą duszą do człowieka, do Polaka (dodała ciszej wiedząc jakie to robi wrażenie) a mój nieszczęśliwy, skazany został na katorhę.

Kupiec się chwycił oburącz za głowę.

— Nie mogę mu ulżyć losu, dodała Marya... ale pójdę za nim!

Prokop Wasiliewicz milczał, łzy kapały mu z oczów.

— A Boże ty mój! jak to wam było, rzekł, przywiązać się do człowieka niewiernego, do *nichresta*, do jakiegoś tam złoczyńcy.

— Mój stary, odezwała się kobieta, nie mówcie tego, wy ich nie znacie.

— Ale car przecie wydał ich wszystkich na zgubę, mówił kupiec, to muszą już być źli ludzie. Wy wiecie, że kto na katorhę skazany, z tym nawet ślubna żona iść nie ma obowiązku, ma prawo

go opuścić... nacóż wam dobrowolnie iść na to nie-szczęście?

— A opuściliżbyście wy dziecko wasze, gdyby, nchowaj Boże, podobny je los spotkał? zapytała Marya.

Stary głową tylko pokiwał.

— Chodziłam do Lwa Pawłowicza i do innych, mówiła dalej, nic nigdzie uczynić dla niego nie można... a! więc pójdę z nim... to jedno zrobić mi wolno i tego mi i sam car nie zabroni...

Prokop otarł łzy.

— Słuchajcie no, rzekł zamyślając się... do mojej córki... pamiętacie wy Daryą? Darya wyrosła na ogromną dziewczkę i hoża jak jabłko, a gra na fortepianie, ale jak gra, jak śpiewa... musicie ją posłyszeć! cudo! O! od tego to ja nie odstąpię... Do Daryi udaje się niejaki Susłow, dobry chłopiec, zdatny, porządny, stateczny, nie hulaka, nie szczygieł... Służy on w ministerstwie wewnętrzném... héj! może my przez niego po cichu co zrobimy! On dla Daryi gotów w ogień i w wodę, a Darya i my dla was, choć na sam brzeg piekła...

— Mój drogi Prokopie Wasiliewiczu, rzekła kobieta, ależ ja chodziłam do samego ministra... a patrz... wskazała list... odmówił mi.

— To nic, odpowiedział stary, to nic... Czy to wy zapomnieliście Petersburga? u nas przez czarne wschody wyżej dójść można niż po paradych, czego czasem nie robi minister, to potrafi prosty *stołnaczelnik*. Ja wam nic nie obiecuję, ale no... pomówiemy z Susłowem, Susłow bardzo sprytny chłopak i wie gdzie raki zimują, głowę ma... no! sami zobaczycie. Jeśli on tylko powie że można, ja wam ręczę, że zrobimy. Susłow weźmie na pazury jak mu się Darya uśmiechnie, a wy Daryi szepnijcie, żeby mu mrugnęła oczkami... Ja będę wiedział jak go zażyć...

— A! niech ci Bóg da wszystko dobre, Prokopie Wasiliewiczu, odezwała się Marya, za to wasze do mnie serce, nie mam wielkiej nadziei, ale ci wdzięczna... ty jeden wyciągasz mi rękę...

— O! no! no! dosyć tego, jutro wy u mnie na herbacie, ja zaproszę Susłowa, pogadamy... zobaczymy... Bóg łaskaw. Bądźcie lepszych myśli. Chcę was koniecznie mieć u siebie, posłyszycie jak Darya gra, dawał jój lekcyę bestya Niemiec, o! o! le-dwiem się ja go pozbył z domu, hołysz widać ruble moje przewąchał i począł więcej uczyć niż należało, ale my nie dopuściliśmy do nieszczęścia... matka go wyszpiegowala i pozbyliśmy się z domu,

a wzięli madame francuską, co daje koncerta... O! i Darya rozumna dziewczyna... co jój po Niemcu, to nie dla nas potrawa...

Tak paplał pocziwy kupiec i nanowo wyczałowawszy ręce Maryi, pożegnał ją kapeluszem prawie wlokąc po ziemi. Trzy czy cztery razy powtórzył jeszcze, że na nią oczekuje nazajutrz wieczorem z herbatą i wysunął się zostawując niepokieszoną wcale tym Susłowem, na którym on zdawał się jakieś budować nadzieje.

Wieczorem mimo smutku i wstrętu potrzeba było pojechać z Amelią do francuskiego teatru. Przyjaciółka poczuwając się do obowiązku rozerwania przybyłej, rada téż była, że swojego Saszę zmusi w ten sposób aby i jój dostarczył dawno nie kosztowanej rozrywki. Amelia przybyła wystrojona, kompromitująco wybielona i wyróżzana, w jaskrawych przyborach, wytwornie choć nie świeżo ubrana. Strój ten mocniej jeszcze raził oczy Maryi przywykłej do żałoby warszawskiej, ale serce zbolełe nie dozwalało zbyt na to zwracać uwagi.

Zaledwie usiadły w łoży, zjawił się w niej zapowiedziany wcześniej ale już przez Maryą zapomniany książ Daliwadze. Ubodło to nieszczęśliwą i z wymówką spojrzała na swą płochą przyjaciółkę

petersburską, która się tylko uśmiechnęła. Leczyła ją jak umiała i mogła. Daliwadze w istocie był pięknym, jak bywają górale kaukazkiego szczepu, twarz miał szlachetną, oczy wyraziste, czarne, był młody, wesół, śmiejący się, ale wychowanie przez pół petersburskie, które padło na dziką naturę swobodnego górala, szczególną zrobiło mieszaninę instynktów rycerskich z sceptycyzmem i zgnilizną poronioną cywilizacji. Na pierwszy rzut oka znać było zaraz, że mu się Marya podobala bardzo, ale ona od razu usiłowała mu dać poznać, że go wcale bałamucić nie myśli, bo serce ma czém inném zajęte. Była grzeczną, ale jak lód chłodną i odstręczającą.

Daliwadze mówił tylko po rosyjsku, przysiadł się do swój sąsiadki i gwałtem z nią zawiązać usiłował rozmowę. Widząc go tak naiwnie natarczym, Marya nie miała innego sposobu, tylko mu od razu szczerą i całą prawdę powiedzieć o sobie. Nie uszło by to w innym świecie, tu było koniecznością. Z twarzy zresztą wniosła, że zasługiwał na to aby z nim była szczerą

— Coście to wy tak smutni, piękna Maryo Agathonówna? spytał w czasie między aktu gruziniec.

— Mogłabym ja, Polka, odparła Marya, odpo-

wiedzieć wam pytaniem na pytanie, dla czegoście wy tak weseli?

— Jak to? wy? wy jesteście Polką? rzekł zdziwiony góral.

— Tak jest, rzekła, i nie taję się z tém i chlubię. Moja ojczyzna, kraj mój jest tak biedny, upokorzony, znękaný jak i wasz... i my i wy nie mamy się czego weselić! Powiem wam szczerze, w tój biednej Polsce zostawiłam narzeczonego mojego w kajdanach, skazanego do katorhi, kaleką... Mogę się ja uśmiechać!

Kniaź bojaźliwie obejrzał się do koła, w oczach jego połyskiwała łza.

— A! rozumiem was, rzekł, losy wasze są naszymi losami, ale my... myśmy się już wyrzekli nadziei... Bóg tak chciał, dodał z rezygnacją wschodniego fatalizmu, cóż przeciw takiej potędze może słaba garstka podbitego narodu?

Spuścił głowę...

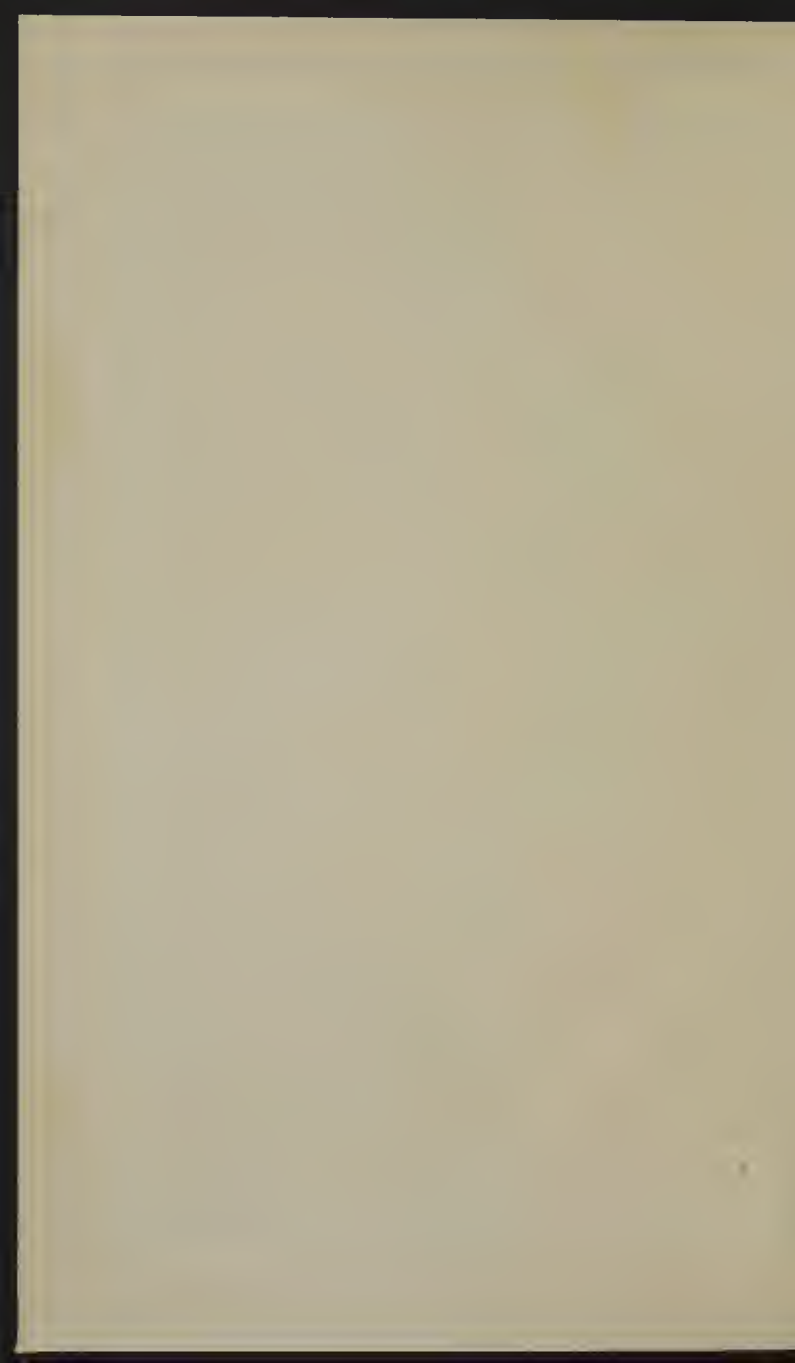
— O! myśmy stokroć nieszczęśliwsi od was, odpowiedziała Marya, wam jeszcze pozostały choć łaclmany świetnej przeszłości, które nosić wolno, macie strój waszych naddziadów, mówicie ich językiem, możecie na górach waszych dumać nad dawną wielkością i sławą; nam odbierają mowę, obyczaj, su-

knie... a tych co śmieją poskarzyć się i jęknąć, wiozą w lody Sybiru... niema dnia żeby z téj drogi nie doszedł nas krzyk boleśny konania... starca, niewiasty, dziecięcia...

I zaplakała... Daliwadze zamilkł, sklonił się z poszanowaniem i stanął za nią pokorny, ale na chwilę nie spuścił z niej oka, a gdy odjeżdżając siadaly do powozu, z uczuciem braterskiém rękę jęj uściskał.

— Maryo Agathonówna, rzekł pospiesznie, wy tu nie macie nikogo pewnie, posłużcie się mną, nie bójcie się dzikiego gruzińca, umie on poszanować boleść kobiety... będę wam tylko bratem i sługą... nie odmówcie.

Marya skłoniła tylko głowę dziękując, powóz ruszył; Daliwadze stał długo patrząc za odjeżdżającą.



Nazajutrz u Prokopa Wasiliewicza był wielki występ, gotowano się ze wspaniałą herbatą dla dobrodziejki, która niegdyś kilku słowami ocaliła całe mienie kupca zagrożone jednym z tych procesów niesprawiedliwych, napastliwych, jakie się tylko w Moskwie trafić mogą, gdzie sądy i sędziowie kupują się za pieniądze, sprawy sądzą przy drzwiach zamkniętych i cisza grobowa pokrywa spełnioną krzywdę.

Prokop Wasiliewicz, zbogacony wieśniak jarosławskiej gubernii, człek prosty, dorobiwszy się znacznego majątku szczęściem, oszczędnością i zbiegiem okoliczności niespodzianych, poczynął jak wszyscy dorobkowicze całego świata, trochę chorować na bojara, syna kształcił już po europejsku, córce dał jak najwykwintniejszych nauczycieli... Ta cy-

wilizacya gwałtownie narzucona pokoleniu, które w pieluchach do innego sposobu się losu. wyglądała tak jak tynk na świeżym murze... Mur osiadał, tynk pękał i dziury świeciły... ale i resztki gipsu przyozdabiały na prędce ulepione gmachy...

Prokop Wasiliewicz od niejakiego czasu zwłazsza przyjmował w domu wystawnie, ale obyczajnie zachował jeszcze przez pół stare ruskie; a w duszy był poczciwym chłopem. Czuł on, że w surducie powinna była chodzić przyszłość, syna też już przyoblekał w szatę cywilizowaną, ale sam z przyjemnością wdziewał stary sarafan, a żona jego nie młoda już, otyła, Eudoxya Iwanówna, chodziła jak bywało, głowę miała związaną chustką jedwabną, a krótki przyodziewek z futerkiem był jej ulubioną odzieżą... Coś nakształt tego, co w niektórych miejscowościach Moskale zowią *ohrej-duszką*, bo u nich dusza jeszcze cała w mięsie i ciele. Ale ohrejdušky Eudoxyi Iwanówny szyte były z kosztownych materyi, podbijane gronostajami, kolczyki w uszach matrony połyskiwały przepyszными soliterami, a na białej, pofałdowanej szyi

wisiały perły, którychby jój generałowa pozazdrościła.

Darya Prokopówna, ukochana córka, była wcale ładną, białą, pulchną dziewczeczką, słuszniejby należało powiedzieć dziewczyną, zbudowaną do życia obowiązków gruntownie, — szerokich ramion, wydatnych piersi, rąk i nóg do chodu i roboty stworzonych... Z ust jak koral rumianych uśmiechały się jój białe ząbki, śmiały się i siwe oczki maleńkie i wesołe. Miała około lat szesnastu ale wyglądała na dwadzieścia i chodziła już jak dorosła panna w szerokiej krynolinie, w najszerszej jaką tylko mogła wyszukać i w sukniach od najlepszej francuskiej modniarki... Mówiła też wcale nieszpetynie po francusku, a grała na fortepianie z siłą i brawurą, do której duża jój ręka i dłoń zamaszysta dzielnie posługiwały. Było to widocznie dziecię ludu, z którego jeszcze próżniaczego życia wieki nie wyssały zdrowia i wesela.

Dom Prokopa Wasiliewicza wyglądał jak jego familia. W salonie wisiał Św. Mikołuszka srebrną blachą okuty w kątku, z wiekuiście palącą się przed

nim lampą oliwną i piękny pejzaż wystawujący nadwolańską okolicę w oparły ranek letni... Wygrał go Prokop na jakiejś loteryi, a że miał przepyszne ramy, umieścił go w salonie... ramy go zachwyciły. W kącie drugim stał palissandrowy *flügel*, to jest fortepian, kosztujący tysiąc rubli, a obok na serwantce porcelanowy kot do masła, szklane ornamenta niewykwintnego smaku, bukiet kwiatów pod kloszem i dwa lichtarze z różowymi świecami... Przepych bogacza łączył się tu tak wszędzie z brakiem smaku i zaniedbaniem człowieka przywykłego do prostszych rzeczy, który nie umie rzemieślniczego misterstwa odróżnić od sztuki.

Po usłudze i przygotowaniach do onęj sławnej herbaty znać było, że rzadko przyjmowano ceremonialniejszych gości.

Po salonie chodził gospodarz, gładząc brodę, jejmość w jedwabnym kaftanie, Darya w sukni czarnej morowej z ogromną broszą, do rozmiarów jej piersi zastosowaną, i mały Susłow, niby elegant, niby adonis stęplowym papierem i binrową stęchli-

zną śmierzdzący o miłę dla lepszego nosa. Prokopom pachniało to jak patchuli.

Susłow był brunecik bardzo staranny około siebie, dosyć przystojny i delikatny; syn duchownego podobno już należał do téj klasy mniej pracowitej, która za piecem siedząc zdrobniała. Miał nieco podejrzanej dystynkcyi. i znać było że się gotował przebijać przez świat nie rozbijając ludzi łokciami ale wszrubowując się między nich, a choćby podłaząc niekiedy. Białemi zębami drobnemi i ostremi uśmiechał się do Daryi, która z nim obchodziła się dosyć łaskawie okazując wszakże że jój posag dawał prawo nieco podrożyć się z sobą.

Kupiec zaprosił przez Maryą na ten dzień i przyjaciółkę jój Amelią, sądząc, że swój gości zrobi tém przyjemność; Amelia dosyć zręcznie znowu wyprosiła pozwolenie przyprowadzenia z sobą kniazia Daliwadze... Książ w kupieckiem towarzystwie zawsze jest pożądanym, choćby był gruziniec. Prokop był z niego bardzo szczęśliwy.

Któż nie słyszał o tych starych jenerałach w Petersburgu których mieszczaństwo najmuje sobie na

pogrzeby i wesela? Być bardzo może iż zwyczaj ten dziś ustał, ale że istniał, za to możemy najuroczyściej zaręczyć. — Zwykle bywał to odstawny z mundurem i kilku krzyżami starowina, którego godzono za pięć, dziesięć a czasem i więcej rubli dla asystowania uroczystości. Najmowano mu karetę, sadzono na honorowém miejscu, ugaszczano, a przy drzwiach wtykano bomażkę... z podziękowaniem. Nic charakterystyczniejszego nad to! takich jenerałów tylko Moskwa mieć mogła. Spytajcie tych co dawniej bywali w Petersburgu, powiedzą wam i poświadczą że wesela, chrzciny, pogrzeby z najętymi jenerałami, były u mieszczaństwa rzeczą bardzo zwyczajną. Jenerał taki siadał, jadł, pił, mniej więcej dobrze spełniał swą rolę a byli naturalnie pokupniejsi i mniej poszukiwani. Podradczyk który dostarczał jenerała przynosił razem jego imie i imie ojca, aby wiadano jak go uczcić. Byli tacy popularni niektórzy, że im spokoju nie dawano, a że i datek i szampan weselny ponętne są, targali się ostatek, dodając świętości obrzędowi... niejeden zmarł ze znużenia!

Uczty weselne nie zawsze są strawne, a noce petersburskie chłodne.

Miarkujecie, że kiedy generałów się kupuje dla świetności, chętnie daremno każdy przyjmie księcia.

Na turkot powozu zajeżdżającego przed bramą, stary Prokop zbiegł ze wschodów i kłaniając się do ziemi poprowadził Maryą na górę. Matka z córką przywitały ją przed progiem.

Stara kupczycha za wyrządzoną im cześć dziękowała ze łzami, o mało że Maryi nie całowała po rękach, posadziła ją na pierwszym miejscu na kanapie, a sama nie śmiała już usiąść przy niej. — Przedstawiono natychmiast Susłowa, który się trochę z początku zmieszał, ale wkrótce odzyskał równowagę, bo już wiedział o co chodziło i jak dziś ważną grał rolę. Stary go zawczasu był przygotował. Wkrótce potem nadjechała też Amelia strojna w inny sposób ale niemięj wspaniale, co na nie-szczęście tylko jój podstarzenie nwydatniało bardziej jeszcze... Za nią spieszył kniaź Daliwadze.

Nim podano herbatę już fortepian był otwarty,

Prokop Wasiliewicz obstawał mocno przy tém aby córka zaraz grała i śpiewała, a Marya także się tego domagała wiedząc jaką staremu uczyni przyjemność. Otworzono flügel aż do wnętrzości aby co najwięcej narobić hałasu, i poczęła się fantazya Thalberga, wykonana jakby ją dziesięć młotów nie dziesięć palców wystukiwało. Omyłek było wiele, ale z tak dobrą popełnionych wiarą, że na nie zważać się nie godziło... Potem na żądanie powszechnie ostrym ale potężnym głosem zaśpiewała Darya *Ca-sta Diva* i *Grace Meyerbeer'a*, naostatek Schubert'a *Skargę dziewczyny*, a że tego wszystkiego jeszcze było mało, zakończyła kawałkiem *Liszt*a, w którym najbieglejsze ucho myśli dopytać nie mogło, tak doskonale pokryła ją świetna exekucya...

Wszyscy przyklasnęli nadzwyczajnemu talentowi wirtuozki, ojciec i matka płakali z rozrzewnienia, kochanek rosnał; rzucano nań wejrzenia dające mu do zrozumienia, jaki to skarb ma mu się dostać, jeżeli nań zasłuży... Po téj pierwszej części koncertu, za którego ukończenie widząc zapal słuchaczów nie bardzo można było ręczyć, nastąpiła her-

bata. Samowar wniosła strojna w kokosznik służąca, szklanki i filiżanki chłopiec sklepowy w ubiorze narodowym, kraśnej koszuli i axamitnych spodeńkach, ale z chustką na szyi co zdradzało popęd do apozstazyi. Prokop skinął na Susłowa i przyprowadził go do swéj dobrodziejki.

— Pawle Porfirowiczu, rzekł podając mu sam krzesło... ja téj pani winienem wszystko, nie miałbym dziś szeląga przy duszy gdyby nie jéj łaska, co uczynić możecie dla niéj, zróbcie, a zobowiążecie mnie... I nie pożałujecie tego, nie pożałujecie, przysięgam wam na Boga żywego, o cokolwiek wy mnie potém poprosicie, nie odmówię wam.

To rzekłszy i ścisnąwszy za rękę biuralistę odszedł. Susłow odezwał się parę słów dopytując o sprawę, Marya zaraz mu ją krótko i chłodno, bez nadziei aby się to na co przydało, opowiedziała. Susłow zamyślił się mocno.

— Czy to jest człowiek bardzo znany i głośny? zapytał po chwili.

— W kraju swoim dosyć, ale cichy i skromny,

nigdy sławy nie szukał z zasługi; nie mówią o nim dziś, jest tyle innych boleści...

— To dobrze, rzekł Susłow, a gdzież on jest teraz?

— Donoszono mi, że już go z partją wyprowadzono z Warszawy.

— I to dobrze, dodał trąc czuba urzędnik... pozwolicie mi, żebym zaraz dla pamięci zrobił sobie *zapiskę*. A nie moglibyście wy wystąpić jako siostra, krewna lub tym podobnie?

— A gdyby mnie o dowody pokrewieństwa spytano?

— To się nigdy nie dzieje, odparł Susłow, chybaby była denuncyacya, rzecz formy, potrzeba żeby ktoś podał *zapiskę*, prośbę, skargę; zdaje mi się, nie ręczę, że coś się da zrobić. Spróbujemy zatrzymać go gdzie w drodze w lazarecie tymczasem, wy podacie notę, ja pochodzę... zmienią mu karę katorhi na *posielenie* (mieszkanie), jakbyście sobie życzyli? gdzie?

Marya zawahała się.

— A nie mógłżeby powrócić? spytała.

— Po co? to by było gorzej dla niego, w Polsce by go chwycili raz drugi i mybyśmy biedę mieć mogli... później... wracają ludzie łatwo. Tu u nas w Rosyi będzie spokojny, Woroneż, Kursk, Wiatka, Wołogda, macie do wyboru, a co mu tam za krzywda, wyśmienity kraj!

— Wybierajcie już sami, wy lepiej to znacie gdzie wygnaniec przesiedzieć może ciężkie dni niewoli...

Susłow skłonił głowę, Marya spojrzała mu w oczy niedowierzająco.

— Jak to? jak to? więc wy macie nadzieję? wy macie nadzieję? rzekła nabierając nieco ducha, choć z razu nie mogła pojąć aby taka maleńka figurka dokazać potrafiła, czego jój minister odmówił...

— Ale ja byłam u ministra i on mi odmówił?

Susłow dziwnie się szyderczo uśmiechnął.

— Zapomniałem was przestrzedz, dodał, ażebyście więcej nie udawali się ani do niego, ani do żadnej z wielkich figur... możecie popsuć interes; mam nadzieję, że się rzeczy zrobią po cichu...

i końce w wodę... Nie będę wam tał, że teraz łatwiej uwolnić dziesięciu zbójców niż jednego Polaka... ale u nas, kto wie jak, robią się czasem rzeczy niepodobne na pozór do zrobienia. Będę bardzo szczęśliwy, rzekł z uśmiechem, jeżeli usłużyć potrafię przyjaciółce Prokopa Wasiliewicza... wy także, spodziewam się, dodał ciszej... wy, których on tak szanuje, przemówicie słówko za mną!

— A! całe życie moje będę wam wdzięczną...

Lzy stanęły jój w oczach.

Kniaź Daliwadze, który nie był wtajemniczony w sekret téj rozmowy, widocznie z małą zazdrostką zbliżył się do nich i przerwał ciche narady. Amelia téż szczebiotaniem i zaczepkami nieustannemi usiłowała ją odciągnąć ku sobie; podawano herbatę, — rozmowa stała się powszechną, Susłow ustąpił na stronę.

Tymczasem Prokop Wasiliewicz był szczęśliwy jako człowiek który stare spłaca długi... wesoło zacierał czuprynę i gładził brodę. Herbata była tylko wstępem do biesiady, poprzedziła ona owoce, konfitury, tort, przekąski słone i słodkie w wiel-

kiej obfitości i doborze; zaraz po nich nastąpił pierwszy wystrzał nienuiknionego szampana, i zdrowie Maryi Agathonówniej które wszyscy spełnili kilkakrotnie. Gospodarz całował ją po rękach i płakał z radości. Zaledwie miano czas odetchnąć po tém, gdy zaproszono do wieczerzy u najlepszego zamówionój kncharza i wspaniale przystrojonój. Mężczyźni przepili przed nią po kilka kielichów wódki które ożywiły ich do nowych libacyi szampana. Lało się ulubione moskalom wino strumieniami, zmuszano pić, i kniaź Susłow, sam gospodarz, nawet Amelia dobrze sobie podchmielili. Ożywiło się towarzystwo do tego stopnia że Susłow ze swą przyszłą mogli bezkarnie szeptać i ściskać się za ręce, a nikt nie dostrzegł tych serdeczności dosyć jawnych; nawet troskliwa matka, której także kieliszek szampana głowę nieco zawrócił. Kniaź Daliwadze nieustannie przysiadł się do pięknej Maryi wdychając i pokręcając czarnego wąsa, a Amelia poczyniała ich wzajem sobą prześladować aby pierwsze zbliżenie się ułatwić, ale to nic nie pomogło, stał w myśli

biednej kobiecie nieszczęśliwy kaleka pędzony na Sybir i łzy się do oczów cisnęły.

Późno w noc wychyłono toast ostatni i Marya sprowadzona na dół wschodów przez gospodarza, wsiadła do powozu zamyślona, smutna kontrastem tej wesołości ze swą boleścią, nie wiele obiecując sobie ze starań Susłowa.

Niegdyś ojciec historyków Herodot opowiadając o krajach północy w których tajemnicze głębie zajrzeć nie mógł, napisał że tam za wiecznie padającymi śniegi świata nie widać, że jak puchy białe unoszą się tam wiekuiście w powietrzu tumany i zamiecie, a wszelkie ustaje życie... Ten mrok i ci-sza Herodotowa dotąd okrywają rozległe moskiewskiego państwa przestrzenie, i nic nie widać za białych ciemności zasłoną... Któż zajrzał i opisał ten kraj zaryglowany, zamknięty, zaklęty, uśpiony, despotyzmem w żelazne ujęty kluby, to ogromne więzienie ludów, z których gdy się przerażony wymknie niewolnik, drżą mu usta i nie śmie rozpowiadać co widział, aby głos jego nie doszedł uszów oprawców, aby go niewidzialne ręce nie pochwyciły znowu i do tego grobowca żywych nie za-

parły na wieki. — Zinnemu temu piekłu braknie Danta, coby je odmalował...

Nad tysiącami mil pustyni przez którą rzadko, bojaźliwie przesuwa się człowiek, panuje cisza grobowa, niema tu wesołej wrzawy życia i ruchu swobody, trwożnie przebiega przestrzenie załękły niewolnik, tylko łańcuchy brzmią głośno i jęk rozlega się dla przykładu i rozkaz grzmi podawany z ust do ust. Milczeć i słuchać!

Dziwna i straszna kraina, ciągną się stepy bezludne, wyschłe i zamarzłe, gdzieś kupka ludzi w mizernych domach nad którymi sterczy jako wyraz ostateczny siły... turma kazienna, cerkiew i kaznaczejstwo. Nie znajdziesz ani szkoły, ani fabryki, ani giełdy, ale więzienia i skarbiec wszędzie — cała rządu działalność w tych dwojgu, więzienie dla tych coby ludźmi być chcieli, kassa dla tych co się za złe mają czém opłacić i żyć bezkarnie. Cerkiew stoi dla pozorów aby nie powiedziano że to jest społeczeństwo bez Boga ale w niej Bogiem jest car: car oznacza co Panu Bogu od ludzi należy i o ile przykazania Bożego słuchać potrzeba.

Z dwojga jeżeli przykazanie carskie przeciwi się Bożemu, musisz usłuchać tego co nakazuje car, a nie tego co kazał przed wieki Bóg. W cerkwi tak dobrze panuje rząd jak w więzieniu i skarbcu, on zamyka, otwiera nabożeństwa, nazywa, uświęca, rozgrzesza i potępia. Nic nie ma tu po nad cara — car Bogiem — Pogaństwo jak za cesarów w Rzymie.

Człowiek, ludzka wola, uczucie, prawa moralne świata niczem są tutaj, wszystko służy jednemu i téj garści co go otacza. To co inaczej być chce, co się odzywa głosem sumienia w imię prawa ludzkości, idzie do kopalń w łańcuchy...

I cicho na pustynnych przestworzach, cisza i śmierć nazywa się błogą szczęśliwością, a ktoby śmiał zapłakać ten winien zbrodni stanu i obraży majestatu, bo zapragnął więcej niż się godzi i chciał mieć własne uczucie i łzy, a tu godzi się tylko płakać nad carską niedolą i weselem carskiem się radować.

Idziesz przez ten kraj i krew się ścina w żyłach na widoki które cię otaczają, nigdzie i nigdzie ludzkość więcej, niegodniej poniżoną nie była, istota stworzona na obraz Boży stała się wizerun-

kiem bydlęcia... łyzy wysychają w powiekach, serce bić ustaje, szklanne niebo patrzy na to i cierpi, Bóg dopuszcza — chce się w rozpacz Opatrzności zaprzeczyć i w Boga nie wierzyć...

Wśród głuchego milczenia śmierci jeden krzyk pijanęj tłuszczy czasem się ozwie z głębi tych kotlin zaklętych... pijani pieją zagłuszając w sobie by niecierpieć. Człowiekiem tu być nie można, nadto boli... więc zalać trzeba duszę a rozbestwić w sobie zwierzę... pijany nie czuje razów i śmieje się z upokorzenia.

Przebiegasz stepy szukając życia i nie ma go nigdzie, wszędzie człowiek idzie przełękły, ze spuszczoneń w ziemię okiem, przekradając się przez świat, całe jego życie kradzione, biedne, tęskne... To też trzeźwa ich pieśń brzmi jak grobowy płacz, a to szczere słowo jest szeptem trwożliwym co się sam siebie lęka... Wszyscy wszystkim nieprzyjaciołmi, brat, żona, ojciec, dzieci, są w obowiązku szpiegowania się. Kto cię nie wyda karany, kto zdradził swoich nagrodzony, społeczność cała trzyma

się nie węzły między sobą spojona, ale kłanrą łańcucha co z góry ją ujął w kleszcze.

Chrześcijaństwo pozorne przerosło tu w jakąś potworną religią rządową, w której Pana Boga nie ma, bo go car mundurem i szlifami zasłania. Pan Bóg nie ma prawa do tego carskiego ludu przemówić wprost, tylko przez usta swego pełnomocnika, a cobykolwiek rzekł głos z niebios, musi być potwierdzone w Petersburgu.

Pustką, ciszą i grobem jest to cielsko olbrzymie państwa na którym jak wrzody krwawe i ropiaste rosną stolice i miasta: zgnilizna jest tu żywotem, a ruch robactwa które ona rodzi jedynym objawem jakiegoś istnienia. Jest to wszakże potęga, jak potęgą jest góra gnoju którym przyrzucano żywcem pogrzebione istoty...



Znane już są nietylko nam nieszczęśliwym cośmy z rodzin naszych dali wszyscy na ofiarę Minotaurowi moskiewskiemu dziesięcinę krwi i boleści, ale całej Europie te pochody więźniów politycznych przez stepy moskiewskie, przypominające wieki barbarzyństwa, gdy prawo nie karało występnych, ale się mściło nad niemi. Malowano je i nie odmalowano ich, bo rozpieszczony świat nie lubi krwawych powieści i woli słuchać historyi o wszetecznicach które go bawią. Ale przyjdzie czas gdy bizun Moskala i z zachodni Europy popędzi ofiary na lody Sybiru, żgając je ironją i szyderstwem po drodze, dobrzeby się zawczasu nanczyć, co może przecierpieć będzie potrzeba jutro.

Samą podróż do miej-ca przeznaczenia jest już męczarnią nieopisaną, często jednym z najstraszniej-

szych epizodów w historii wygnańca. Ciągnie się ona niekiedy całe lata; zmieniają w niej kraje, klimaty, dozór, komendy, towarzysze, ale rzadki znajdzie litość, wyrozumiałość i jakąś ulgę dla nieszczęśliwych.

Ci którym odjęto prawa stanu, w obliczu pojęć moskiewskich ludźmi już nie są, wolno się z nimi obchodzić jak się komu podoba; wprawdzie i ci co pozostali szlachcicami, mieszczanami nie lepiej w ogóle są poszanowani, ale przecież mogą się, choć nieskutecznie skarżyć i upominać o krzywdę swoją.

Dawniej lud w głębi Moskwy niezarażony politycznemi namiętnościami był litościwy w ogóle dla wszystkich przestępców, dziś — dzięki staraniom opiekuńczego rządu, znikła ta cecha chlubna, odwiecznej tradycji ludzkiej, zniósł ją chroblivy, rozwścieczony patryotyzm sfabrykowany w kuźni Kątkowa... Wystawmyż sobie męczarnie tych pochodów żałosnych, z nielitościwem żołdactwem wśród kraju podżeganego nieustannie do nienawiści.

Włosy powstają na głowic, a jęków tysiąca lu-

dzi niebo nie słuca, ale je liczy! O! przyjdą dni pokuty, albo nie ma Boga i sprawiedliwości... Kto podzegał do okrucieństw, kto je wywoływał padnie ich ofiarą, sam lub pokolenie jego...

W skwarne dni lata drogą tumanami kurzu ziejącą, w jesieni błotami grzązkiemi, zimą przez głębokie zasy śniegowe ciągnie się łańcuch nieszczęśliwych wygnańców, z powygalanemi głowami, ze skutemi rękoma, powolnie, smutnie, żałobno... Niekiedy z głuchym jękiem przystanie słabszy, to go popchnie żołnierski karabin, zaboje chory a śmiech mu na skowyczenie odpowie, padnie omdlały a podniosą go razy i dalej, dalej a dalej.

Czasem zechcą usta zeschnięte odwilżyć się pieśnią i zamknie je pięść żołdata, ozwie się głośniejsza rozmowa, oficer dzikim ją rozkazem rozerwie... dalej w grobowém milczeniu, dalej a dalej.

Jeżeli żołnierz nie jest njęty datkiem, próżno byś go prosił o kroplę wody u studni, — jeżeli ludność rozkiełznana i rozburzona, zbliżyć się do chaty niepodobna...

Czemuż nie dobijają od razu?

Ten pochód wszakże zowie się jeszcze ulaskawieniem, jest dobrodziejstwem, za które wielbią miłosierne serce tego, co chwilę szubienicy zamienia na lata powolnej męczarni...

Kogo nie dobije ta straszliwa podróż, tego skamieni, uzdrowi, zahartuje i uczyni zeń człowieka silnego, zamkniętego w sobie, twardego jak żelazo. Nie porwie się on niebacznie ale nie zapomni nigdy tego co przecierpiał.

Takiemi to srogimi razy od 1764 do 1864 roku z płóchego narodu co skakał i balował gdy pierwszy raz ojczyznę ćwiertowano, Moskwa wyrobiła plemię męczennicze, w którym dwunastoletnie chłopcy są bohaterami, a niewiasty chodzą w aureolach Błogosławionych Pańskich za życia. — Upadlibyśmy i zgnili gdyby nie to męczeństwo nienastanne, dające nam siły nowe; dziękujmy za nie Bogu, bo w niém urosliśmy i rośniemy i olbrzymiejemy codzień, a rozsiani po szerokich przestrzeniach apostołujemy idei Pańskiej i szerzymy ją w stepach kędy nie było ludzi... tylko carskie bydłota.

W pośrodku jednego z tych traktów. któremi

włoką się sznury wygnańców, nie opodal od małego powiatowego miasteczka, świecącego ostrokołem swęj turny i białemi ściany swęj cerkwi — konwojujący żołnierze znużeni pochodem po rozgrzłej ziemi, chociaż im wolno było iść twardszemi bokami, gdy skazani musieli się ciągnąć środkiem i błotem — wstrzymali się przed małą ziemianką raczej niż chata dla wypoczynku.

Na pustynnym obszarze pokrytym zeschłemi trawy i ogryzionemi krzaczkami, wyrósł ów tak zwany Krasny Kabaczok jak paskudny grzyb przy drodze, na pół siedząc w ziemi, nieco tylko dachem i częścią krzywych ścian wystając nad gliniasty pagórek. Koło niego ani drzewiny ani znaku ludzkiej zapobiegliwości i starania o umajenie życia. Z jednej strony wysoka kupa gnojów i śmieci odwiecznych. z drugiej studenka z kałużą. Rodzaj chléwa przypierał do karczemki, upleciony z chrustu, polepiony gliną która od słoty podpadała. W chacie téj oprócz wódki, zaśniedziałego samowaru, razowego chleba i surowej kapusty nic dostać nie było można. Nie młoda kobieta, kilkoletnie dziecko wy-

bladłe i starzec złamany zamieszkiwali lepiankę stepową.

Kilkunastu skazanych w szarój odzieży i różnych ubiorach z tlomaczkami na plecach, gdyż każdy co miał lepszego niósł na sobie obawiając się oddać na wlokącą z tyłu furę, smutnie popadało na ziemię gdy żołnierze złożywszy broń w kozły poszli wódki i wody napić się do karczemki. I wiodący żołdaci i skazani byli nad wyraz smutni i przybici, niektórym sił już do pochodu nie stawało; zaledwie upadli na ziemię, głowy ich pochyliły się na piersi, sen począł kleić powieki... Dokoła krajobraz rotaczał się nagi, pustylnny, dziki, rzekłbyś kraj nie zamieszkaný jeszcze, stojący Indom wędrownym otworem jak przed wiekami. Nizkie chude zarośla, nieuprawne pola poryte potoki wiosennemi, trochę zasiewów niedbałych, płowe wydmy i nagie obszary zeszlęj trawy... Oko błdziło nie mając się na czém zatrzymać, czém zając, czuć było niewolę nad tą krainą którą swoboda mogła uczynić żyzną, ożywioną, szczęśliwą. — Człowiek zdawał się tu żyć jak w pontyńskich błotach z musu, z konie-

czności, z przestraceniem i wstrętem. Jednego od drugiego dzieliły przestrzenie ogromne a odosobnienie i zdziwienie smutkiem i tęsknotą malowało się na twarzach bladych i zwiędłych. — Przechodzący sunęli się milczący, spiesząc jakby przestraszeni pustynią i ciszą.

Wygnańcy przywykli do innych widoków, do kraju zaludnionego i wierzącego w przyszłość, ze smutkiem oglądali się dokoła, wszyscy usiedli na nieco suchszém wybrzeżu gościnca.

Było ich kilkunastu; na przodzie szedł poważny i spokojny starzec słusznego wzrostu, który mimo swojego wieku zdawał się najlepiej wytrzymywać tę podróż, może ją nie pierwszy raz już odbywał. Nie dziwota u nas znaleźć takich co trzykroć szli na Syberyą i trzykroć z niéj powracali. — Na czole jego wisiła chmurą myśl posępna ale nie rozpacz, — w oczach połyskiwało niedogaśne życie.

Przy nim szedł chłopak młody, blady, znękaný i na duchu widocznie upadły — gniew, oburzenie, zjadłość jeszcze nie wydychana w długim pocho-dzie. wzmożona długą męczarnią. nadawały obli-

czu jego wyraz nieczmiernéj boleści, tém sroższej, że nieukołysanej zdaniem się na Opatrzność, nie-uświęconéj rezygnacją chrześcijańską.

Szyderski śmiech krzywił mu czasami usta, mścił się na nieprzyjacielu sarkazmem, ale i sobie niém duszę rozdzierał.

Obok siedział trzeci mężczyzna bez ręki, blady, zmęczony, ale tak prawie uspokojony jak starzec, tęsknice wygnania nadawały twarzy jego wyraz poetyczny... był piękny ale zastygły... Poznacie w nim ducha Juliusza.

Oprócz nich wesoły, małego wzrostu księżyna, którego stanu pod suknią domyśleć się już nie byłoby można, uśmiechał się prawie wesoło zażywając zieloną tabakę z brzozowój tabakierki i nieustannie obracając ją w ręku... Szesnaścieletni chłopak obok niego palił szkaradny jakiś tytuń z obrzydliwój fajeczki, zajęty tą zabawą więcej może, niż swém nie-zczęściem...

Reszta skazanych mniej wyróżniająca się, pokotem spoczywała na ziemi, twarze niektórych były prawie trupio-blade i trupio-nieżywe... tylko zna-

rzle i zeschłe lizy wyrły na nich dwie brózdę czerwone, które zostały jak łożę potoku. choć źródło co go żywiło zamarło.

Nieco opodał jeden młodzieniec skorzystał z chwili, dobył odartą książkę i czytał — trajedią Słowackiego.

Po chwili milczenia pierwszy ksiądz z tabakierką przerwał ciszę, podając z uśmiechem sąsiadowi kurzącemu lulkę swoje brzozowe pudełeczko.

— Naści, Henryczku kochanie. zażyj choć raz, toż przecie mniej śmierdzi i mniej sinrodzi od twego tytoniska, a zawsze dystrakcyja w tym samym rodzaju dotycząca powonienia. Życzę ci nawet pozbyć się tego nalogu prowadzącego do palenia liści kartoflowych za dobrą monetę, zrzynków starego sukna i różnych różności sprzedawanych pod pozorem tytoniu... Uważaj tylko że z przyczyny twój lulki dla całej kompanii naszej zamykają się drzwi wszystkich starowierców...

— A lepsza jegomościna tabaka? odparł młody chłopak pytając po woli. taki to paskudny i niełitościwy nałóg jak i mój. — Ja palę liście karto-

flower, jegomość zażywasz popiół i szkło tłuczone, kwita byka za indyka. Co to wam szkodzi, że mi tytuń smrodzi?

— I do rymu! patrzajcie go! rzekł ksiądz śmiejąc się szczerze...

— Toć do rymu... ale nielitościwy jesteś do brodzieju... przecież ten dymek to jakaś ochłoda w biedzie... kurzy się sobie pod nos i za dymem świata nie widać... A przy tém jest jeszcze ta korzyść, że to odbiera apetyt którego zaspokoić nie można.

— Delikacik... ha! chce ci się ciepłych paszteków z kocięgo mięsa!... ha! a razowego chleba spleśniałego nie łaska??

— Gdybyż to świeży, pachnący chlebek razowy... a maselko do niego?

— O! o! i maselko już! i sardelki może! o! o! a po co maselko? spytał ksiądz, a po co delicje?

I zaczęli się śmiać biedni... łązy im stanęły w oczach i Warszawa i życie dawne i dni szczęśliwsze.

— Jużbyin kwitował z masła. rzekł student.

gdyby mi choć bót tak nogi szkaradnie nie obrażał. — Nie wiedzieć na co mi Pan Bóg dał tak małą nogę, a szewcy moskiewscy zdaje się że obówie robią na wielbłądy... Noga w bócie chodzi i lata za każdym poruszeniem i do krwi mi je rozdzierają ściany tego ruchomego więzienia.

— Widzisz WPan, przerwał mu ksiądz, otóż to tobie być szlachcicem: gdybyś był prostym plebejuszem jak ja, nie miałbyś takich maleńkich nówek i byłoby ci tak wygodnie w dużym bócie moskiewskim, jak mnie prostemu chłopowi.

— Jegomość wiesz, odparł głos jeden, że szlachtę rząd narodowy skasował.

— Żebyż był i małe nogi szlacheckie za jednym zamachem także przerobił jakim dekretem! rozśmiał się księżyna.

— Patrzno jegomość, przerwał student, a ten literat czyta!

— Tak samo kochanku, jak ty fajkę palisz...

Nie! ja jestem samoistniejszy jegomościuniu, ja dopełniam się dymem, gdy on musi aż dopełniać się duchem... zawołał student.

— A nasi aniołowie stróże tymczasem dopęłniają się wódką! rzekł ksiądz...

W tém zbliżył się do nich starzec, spokojny i pogodnego oblicza.

— Czemu to nie usiądziecie. rzekł księżyna, dobrze wypocząć choć na chwilę, zaraz nas pewnie znowu popędzą. niechby się nogi nieco rozkurczyły.

— Nie jestem tak bardzo znużony, odpowiedział stary. powoli wdrożyłem się do chodu, zdaje mi się teraz że gdy stanienmy na miejscu, tęskno mi już będzie za tą podróżą wiecznego tułacza. Nałóg druga natura. ciało nawyka do wszystkiego, umysł téż ze wszystkiego by powinien umieć korzystać.

— Macie zupełną słuszość, dodał siedzący na trawie bez ręki, jednym z pierwszych przepisów praktyki życia jest umiejętne zastosowywanie się do wszelkiego jarzma jakie na nas wkłada konieczność — ale są granice téj potulności człowieczej, ciało powinno się zastosowywać, duch trwać niezłamanym...

-- Jak na chwilowy odpoczynek przy Krasnym Kabaczkun, odparł stary, zanadto ważny i rozciągły

podobno rozpoczęliśmy przedmiot. znajdźmy nieco do rzeczywistości... Jak ci jest Julinszu?

— Znośnie, odpowiedział kaleka, a wam kochany Jeremi?

— Mnie jest prawie wybornie, to wygnanie, podróz pieszka odmłodziły mnie w istocie.

— Czemuż ja tego o sobie powiedzieć nie mogę! odezwał się niecierpliwie młody chłopak.

— Dla tego panie Władysławie, rzekł Jeremi obracając się ku niemu, że sam tego nie chcesz... Burzysz się jak istota śmiertelna i niecierpliwa, a — *patiens quia aeternus* wzór nasz, powinien nas uczyć cierpliwości. Ty byś chciał ażeby sprawiedliwość przychodziła na zawołanie wedle twoich zachcianek, twojej formułki, doraźnie, a Pan Bóg mędrszy jest od nas, prowadzi ją trybem niezmiennym wedle swojego prawa. Jego woli a raczej temu prawu jego poddać się jest koniecznością.

— Stare baję! przerwał Władysław, widzę, czuję a nie rozumiem toku rzeczy ludzkich i chwilowego nawet zwycięstwa zła, klęę więc świat i ludzi...

— Pozwolisz jednak, rzekł Jeremi. iż bezpie-

czniej i rozuwniej jest uledez prawu niezłomnemu które światem rządzi, niżeli je bezsilnie przeklinać... lub chcieć daremnie przerabiać.

— Jakże ta tak święta, tak wielka, tak czysta sprawa jak nasza mogła upaść, to do ateuszostwa prowadzi! krzyknął rozdrażniony młodzieniec.

— Nie, rzekł Jeremi, to prowadzi do uznania naszej głupoty, do uznania niewłaściwości środków nżytych w dobrym celu, ale po dziecinnemu... Zresztą mylisz się pan w założeniu, cóż dowodzi że sprawa upadła? sprawa żyje a może zwycięża gdy ją mają za pogrzebioną... żeśmy upadli to nie dowodzi, że za nią cierpimy, nie przekonywa iż zwyciężono... Drogi któremi Opatrzność prowadzi ludzi do swych celów są niezbadane...

A ta głupia i podła Europa! przerwał Władysław, to świętokradzkie opuszczenie nas! to zaparcie się wspólnego interesu przez egoizm...

— Wszystko to było znać konieczném, a niezawodnie jest potrzebném dla samej sprawy, która przejść musi i przez ognie czczych entuzjasmów i przez lody obojętności i znużenia i przez krew

i walkę, aby jasną, wielką, niezaprzeczoną stanęła przed światem...

Władysław ruszył ramionami.

— Pojmuję tylko to w ten sposób, że zmuszą nas do przewrócenia świata do góry nogami, do rewolucyi ogólnej, do...

— Czasy rewolucyi orężnych i gwałtownych. Kochany panie Władysławie, rzekł spokojny Jeremi, nieodwołalnie przeszły. Rewolucye wypróbowały swą nieużyteczność, ludzkość innemi drogami pójść musi do postępu. Miały one swój urok w początku, potem doświadczenie okazało, że się nie zdały na nic, a wielce szkodliwy wpływ wywierają na ekonomią całej społeczności... Przyszłość pójdzie powolniej ale bezpiecznie, bez tych konwulsyi.

— Nie rozumiem tedy za co pana Moskale prowadzą z nami, zawołał Władysław, kiedy pan jesteś takim reakcjonistą...

Dla tego że Moskale są największymi w świecie rewolucjonistami, nie szanującymi żadnego prawa... ślepy kto tego nie widzi. — Nie lubią oni wszakże rewolucyi, których sami nie robią i dla

tęgo ciągną WPana, a nie cierpią tych co się odwołują do nieśmiertelnych praw któremi pomiatają, dla tego prowadzą mnie... Dla nich ty panie Władysławie z całą zacnością swoją byłbyś daleko łatwiejszym do nawrócenia odemnie, krańcowe doktryny stykają się z sobą zawsze. Proudhon z dobrą wiarą broni Moskali, ja nie wierzę w rewolucyą, w radykalizm, w gniesienie ludzkości na formę wyznaczoną, i dla tego zapewne idę na Sybir. Pan gdybyś się urodził Moskałem, robiłbyś to co oni robią... ja... wzdychałbym i ubolewał.

Władysław głęboko się zadumał.

— Nigdyśmy się zrozumieć nie mogli, rzekł, to darmo, a jednak idziemy razem...

W pochód! w pochód! zaczęli wołać wychodzący z Kabaku tłumnie żołnierze, w pochód!

Ale w téjże chwili oficer ukazał się na progu.

— Zaczekać! krzyknął — jeszcze nie pora, dosyć czasu...

Soldaci postawili broń i weszli znowu do sieni, a więźniowie przerwaną na chwilę ciągnęli rozmowę, jak gdyby siedzieli w najwygodniejszym salonie.

Wtém tuman pyłu ukazał się zdala na pustyni gościńcu, a oczy wszystkich zwróciły się na ten jedyny przedmiot zajęcia, który był jeszcze zagadką. Z po za chmury pyłu widać tylko było głowy trzech koni, jednego w hołoblach i w duże, dwóch skaczących po bokach. Zbliżając się zaszarzał tarantask kryty dosyć duży, na którego koźle brodaty jamszczyk siedział konie poganiając ochoczo. Głowa jakaś wysunęła się z kibitki i głos z wewnątrz rozkazał zatrzymać się przed Kabakiem.

Więźniowie przyglądali się powozowi w milczeniu, gdy z niego wyskoczyła kobieta, zatrzymała się chwilę oglądając niespokojnie i podbiegłszy do siedzącego na brzegu drogi Juliusza, ze złożonemi rękami padła przed nim na kolana... krzyk się dał słyszeć, wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę ciekawie... łkanie i jęk przerywały ciszę.

— Panie mój! panie mój! to ja! to ja! wołała kobieta...

I mówiąc te słowa chwyciła, całowała nogi jego.

Juliusz blady był jak posąg, zdretniały, na twarzy walczyły widocznie najsprzeczniesze hamowane

uczucia, na ostatek niewiara, chłód, zwątpienie rozprysły się nagle i schylił się ku kobiecie wołając:

— A! ta chwila nagradza wszystko... daruj.. przebacz... jestem szczęśliwy! tyś niewinna!

— A! mógłżeś mnie, panie mój, posądzić.. mógłżeś...

I głosu jój zabrakło, zakrywszy twarz rękami płakała; ale dłużej mówić żołnierze nie dali, przybycie powozu wywabiło ich z karczemki: grubiańsko, groźno poczęli krzyczeć i łajać kobietę, że się śmiała bez pozwolenia do więźnia przybliżyć.

Rozpoczęło się to od prostych żołnierzy, i mniej było dziwném z ich strony, ale wybiegł za nimi natychmiast oficer jeszcze gorliwszy nad nich, jeszcze bardziej rozjuszony, i widząc że Marya nie ustępowała, pochwycił ją dziko odtrącając za rękę.

— Poszła won! zawołał kopiać nogami...

Kobieta cofnęła się przerażona jego obejściem, szczęściem ten język moskiewski, którym oficer przemówił do niej, umiejac doskonale, odtrąciła go jednym wymówionym wyrazem, dowodzącym że żyła w Rosyi i znała Rosyą...

Spojrzała nań z góry i groźno.

— Jestem kobietą! zawołała, a wy oficerem!

— To mi wszystko jedno kto wy! zapalając się odparł praporszczyk — jestem żołnierzem, dla mnie są tylko rozkazy wyższej władzy...

— Azatém i ten rozkaz zapewne do pana się stosuje... przerwała Marya wyjmując żywo papier i rozkładając go przed oficerem — więzień ten jest ułaskawionym i już do pana nie należy.

— Przepraszam! z naigrawaniem i śmiechem rzekł praporszczyk oddając papier na który tylko okiem rzucił, ten rozkaz stosuje się do wyższych władz nie do mnie... Więzień pójdzie pieszo w kajdanach jak szedł, póki go odemnie nie odbiorą i nie pokwitują... a wy... precz! dodał hałaśliwie, precz! lub żołdatom każę was odpędzić!

To mówiąc odwrócił się zajadły i począł wołać na głos:

— W pochód! w pochód!

Marya stała nieruchoma, mały satrapa, który był obrażony lekceważeniem swój potęgi, tryumfował mogąc się pomścić.

A! panie, odezwała się kobieta, jestże to godném oficera i Rosyanina?

— Pani mnie, spodziewam się, uczyć nie będziesz, co i jak mam czynić! krzyknął zajadle praporszczyk — do szeregu! w pochód — a wy! precz ztąd! precz!

— Pozwól mi pan choć iść z nim piechotą! przemówiła ciszej.

— Nie pozwolę, ofuknął oficerzyna, precz! ani słowa! precz zaraz!

Więźniowie i żołnierze nawet niektórzy okazali oburzenie, ale oficer doskonale reprezentował Rosyą i znalazł się jak ona gdy opinja Europy odzywała się za Polską, zajadlój jeszcze trwał w swém barbarzyństwie.

Juliusz słowa nie mówiąc podniósł kajdany i stanął w szeregu żegnając Maryą skinieniem i prosząc ją by ustąpiła, ksiądz zażył po dwakroć tabaki, student schował Słowackiego, młodzik fajkę. Jeremi ze spuszczoną osiwiiałą głową, posłuszny, wystąpił naprzód, Władysław tylko błądy jak trup patrzył na oficera drżący i gdyby nie skute ręce

byłby się może rzucił na niegodziwca, który w téj chwili popchnąwszy kobietę, ustawiał żołnierzy i naigrawając się nieludzko dawał rozkazy do wymarszu.

— Uczą nas mospanieŃku cierpliwości, rzekł ksiądz po cichu — ale ostro! ostro! jeżeli pod takimi nauczycielami téj cnoty nie nabędziemy, to już chyba nigdy!

Juliusz był blady, nie odwrócił jednak nawet głowy, aby się nie burzyć patrząc na tę scenę nieludzką.

— Słyszysz, zawołał oficer do jamszczyka który powoził w tarantasie Maryi — i pogroził mu pięścią, powinienes wiedzieć psi-synu że ci nie wolno jechać ani przed ani za kolumną, albo wprzód i paszół, albo opodał... a nie to cię sołdatom ściągnąć każe i dać naukę...

Płacząca, skamieniała prawie pozostała Marya na gościńcu, ale gniew dodał jój siły, rozkazała wyprzedzić więźniów zaraz, żegnając Juliusza chustką i ręką. sama postanawiając pospieszyć przodem do komendanta miasteczka aby poskarżyć się

na oficera, a nadewszystko aby Juliusza uwolnić. Partya wlokąca się powoli dopiero na noc miała stanąć w powiatowém mieście.

Przeczuł to wszystko dowodzący partyą oficer, a że wiedział dobrze, iż wszelka krzywda wyrządzona Polakom ujdzie bezkarnie, i pragnął jeszcze znęcać się nad podwładnymi, szczególniej zaś nad tym którego nazajtrrz miano mu odebrać, obmyślił dla niego i dla Maryi jeszcze jedną niespodziankę.

Prawą ręką praporszczyka był podoficer Krawcow, odwołał go zaraz na stronę.

— Słuchaj, rzekł, dostaniesz rubla na wódkę, tylko mi się pośpiesz dobrze, furmankę z bagażami weźmiesz i przodem popędzisz doowska. Masz ty tam kogo znajomego?

— No! wasze błahorodje wie, że ja tu mam wszędzie pełno znajomych, ja tutejszy...

— Tém lepiej, ruszaj zaraz, i wcześniej puście tam głos po miasteczku, że idzie za wami partya Polaków, samych najniegodziwszych rozbójników, nieprzyjaciół cara i Rosyi... niechaj wyjdą przeciwko nam... ale nie z chlebem i solą! rozumiesz!

To mówiąc rozśmiał się zwierzęco.

— Ty wiesz, dodał, jak to nas przyjmowali już nieraz! żeby Polaczki nie myśleli że się nad ich losem litują i że my ich tu bardzo pieścić będziemy! a spraw się tylko dobrze... i żeby nikt nie wiedział czyja robota... niech się trochę potrwożą i pokrzyczą... nie damy im głów pozdejmować z karków...

Krawcow mrugnął brwiami, potrząsł głową, ruszył, siadł na furę i pojechał przodem; partya tymczasem wlekła się pieszo powoli.

Marya i ją i posłańca wyprzedziła pocztowemi końmi do miasteczka, kazawszy wprost zajechać do komendanta.

Na nieszczęście podpółkownik Siemigowski, rodem Polak, mimo że się tego wypierał, dowodził w téj pustce odległej, człek to był małego ducha, obawiający się nadzwyczaj kompromitacyi i utraty miejsca i chleba, — gorszy więc jeszcze od najzjadlejszego Moskala.

Przyjął Maryą dopominającą się sprawiedliwości więcej niż zimno, zakłopotany mocno, spojrzął

na papier i obiecał więźnia uwolnić gdy partya nadejdzie, ale dodał zaraz że co do oficera, ten wcale do niego nie należy, i na niego skarżyć się trzeba gdzieindziej, drogami innemi, przeto żadnego zadowalającego obywateli obietnicą nie może.

Nie szło też tak bardzo biednej kobiecie o tę lichą zemstę nad okrutnikiem, wyrzekła się jęj z ochotą, pilno tylko było odzyskać Juliusza, otrzymawszy więc obietnicę, pobięła oczekiwać nań nad drogą.

Zmierzchało a więźniowie jeszcze się nie ukazali, natomiast ujrzała Marya z podziwieniem pospieszającą tłumnie ku rogiatkom ludność wyraźnie podrażnioną i zburzoną, z okrzykami groźnemi przeciw Polsce i Polakom...

Nie mogła zrazu pojąć jakaby temu była przyczyna, gdy w tém ukazali się żołdaci wiodący wygnańców, hałastra zadrżała, zaryczała, rzuciła się i zewsząd ozwały okrzyki.

— Rozbójniki, polskie rozbójniki... niechresty! złodzieje... Dzieci, starzy, kobiety nawet kilku dyaków i duchownych poczęli chwycić kamienie i bło-

to, przeklinając, plwając, rzucając się z pięściami i kijmi na nieszczęśliwych, jak gdyby rozszarpać ich chcieli. To rozjuszenie tłumu było tak bydlęce i dzikie, że Marya na widok jego i grożącego Juliuszowi niebezpieczeństwa uląkłszy się o życie biednego, pobiegła na ratunek bezprzytomna, nie myśląc że pierwsza mogła paść ofiarą zjadłej tłuszczy. Ktoś ją przecie litościwy powstrzymał, a żołnierze nie dopuścili gwałtu nad powierzonymi im skazańcami ściskawszy się dokoła; rozstępowali się tylko śmiejąc, aby całe błoto, kamienie, śmiecie i pomije spadły na tych, dla których były przeznaczone.

Gdy się to rozpoczynało, Jeremi poważnie obrócił się do swoich wołając:

— Panowie, nie potrzebuję wam przypominać, że męstwem jest najwyższem, zachować zimną krew i cierpliwość, zimna krew i wzgarda, jedni tu mogą zwyciężyć, gniew byłby spodleniem...

Ale głos jego natychmiast zagłuszyła wrzawa a żołnierz z boku doń przyskoczył uderzając kolbą i zmuszając do milczenia.

Nie wiadomo czy skutkiem tych kilku słów czy

podniesienia ducha, wszyscy jeńcy zachowali się z męczeńską powagą i godnością. szli nieporuszeni, milczący, obojętni, widocznie nietknięci tą nikczemnością zgrai, na kogo padło błoto ocierał je powoli, kogo zraniono do krwi, ocierał krew nie szukając winowajcy...

Postawa ich mężna i ta obojętność która nie zdradzała najmniejszego strachu, w końcu opamiętały, zawstydziły z tłumu niektórych a najbardziej otrzeźwionego nieco oficera, w którym ozwało się jakieś uczciwsze uczucie. Uśmiech w którym z początku powitał tę demonstrację zmienił się w dziwne skrzywienie, nagle rozkazał żołnierzom ścisnąć szereg i przyspieszyć kroku do ostrogu. Tłuszcza gonila wszakże za uchodzącymi wrzeszcząc i niekiedy rzucając na wyгнаńców...

— Panowie a bracia, zawołał ksiądz, ponieważ nas tu nie urzędownie przyjmują i zanosi się na ukamienowanie, a gdybyśmy im zaśpiewali spokojnie... Boże coś Polskę? he?

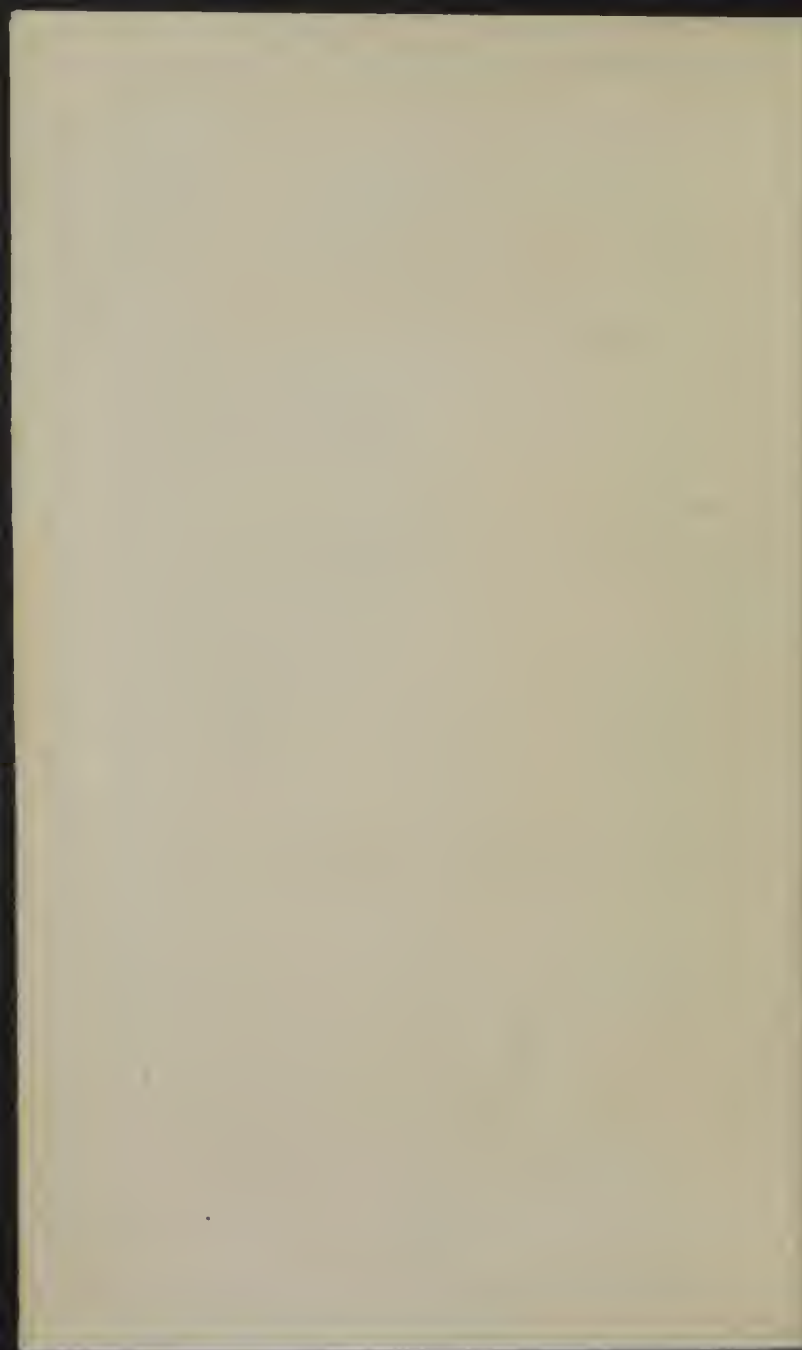
Pieśni były jak najsurowiej zakazane, ale gdy w téj chwili zamieszania i popłochu, ksiądz pier-

wszy basem rozpoczął, a chór cały odpowiedział mu męzkimi głosy... uczyniło to takie wrażenie na tłumie, na żołnierzach, na przytomnych, że nikt nawet nie śmiał się przeciwieć męczeńskiemu hymnowi...

Towarzyszył on już nie jednemu krwawemu w dziejach lat ostatnich wypadkowi: śpiewano go przy wystrzałach kwietniowych na placu przed zamkiem i w kościele Św. Jana gdy żołdactwo wparło się gwałtem aż do ołtarza poświęconego Bogu.

Teraz aż do drzwi turmy podnosząc się na duchu, doszli nucąc pieśń 1863. roku więźniowie, a osłupiała tłuszcza pozostała na placu jakby wstydząc się swego rozbestwienia...

Maryą na poły omdlałą zaniesiono do gospody, w której nierychło odzyskała przytomność.



Gdy tu po długiem obezwładnieniu odzyskała zmysły, potrzebowała wiele spokoju i ciszy aby powrócić do pierwszego stanu i pochwycić wątek rozerwanych myśli, przypomnieć wypadki ostatnie i dopytać co się z Juliuszem stało. Nikt jój o nim powiedzieć nie umiał, szukała go napróżno oczynia do koła, nareszcie porwała się aby biedz za nim i odzyskać... gdy w tém uchyliły się drzwi i jedna w świecie postać ludzka która na niój najprzykrzejsze mogła uczynić wrażenie, praporszczyk od straży, który z nią i Juliuszem obszedł się tak dziko i barbarzyńsko, ukazał się w progu.

Ale tą razą był to wcale inny człowiek, prawie zawstydzony i upokorzony, Marya nie dostrzegłszy tego wyrazu na jego twarzy, krzyknęła z przestraschu. Na widok obawy jaką wzbudził, oficer się zarumienił, zdawał się wahać co czynić, gdy Marya

dała mu znak że mówić z nim nie chce i widzieć nie może.

Pomimo to oficer stał uparcie w progu.

— Wybacz pani, rzekł, winien jestem, ale muszę téż kilka słów powiedzieć i wy musicie mnie posłuchać...

— Przez litość, uspokójcie się, przerwał młody człowiek, nie myślę czynić wam przykrości żadnej.

— Potém co się stało...

— Tak, potém co się stało, chcę żebyście mnie za zwierzę nie mieli, rzekł gorąco, winien jestem, no! szaleństwo! Ja to sam umyślnie przez gniew i złość narobiłem i téj ostatniej biedy, ale człowiek człowiekiem i na to żeby głupstwo czynił i żeby poznał że nie dobrze zrobił. Nie powiem wam mojego nazwiska, to rzecz obojętna, ale wypowiadał wam jak we mnie zrodziła się ta niechęć przeciwko wszystkiemu co polskie... Słuchajcie. Kiedy rewolucya wasza wybuchła i mój pułk został przeznaczonym do Polski na uśmierzanie buntu, szliśmy tam wcale inaczej usposobieni niżeli dziś jesteśmy. z politowaniem dla was, ze współczuciem. Nie myśleliśmy cara zdradzić dla głupiej Polski, aleśmy was żalowali i nie tak ciężko dałaby się czuć ręka nasza, gdybyście wy sami nie rozjątrzyli nas i nie rozbudzili

nienawiści... Zaczęliście od oplwania całego narodu, od obelgmiotanych przeciwko nam, powtarzano je, tłumaczono, obijały się nam o uszy co chwila, w ostatku złość w nas zrodziliście i oto macie jej owoce...

— Ale godziło się mścić za to na kobiecie, na kalece nieszczęśliwym? szepnęła cicho kobieta...

— Nie! nie godziło się, dodał oficer, było niegodnym com ja zrobił i drudzy, ale i w nas krew kipi i myśmy ludzie nie bydłeta; i my gniewememy się unieśli... powiedzcież to braciom waszym że nienawiść narodu ruskiego oni też sami rozżarzyli bo jej nie było, że ona jest ich własnym dziełem... ale na nią jest lekarstwo... Ja wczoraj zawstydzony zostałem. Oto com wam miał powiedzieć, dodał, a teraz wychodzę, bywajcie zdrowi i szczęśliwsi piękna pani, pośpieszę aby waszego... uwolnili. To wyrzekłszy uklonił się, zamknął drzwi za sobą i wyszedł.

Dla uwolnienia Juliusza i zmiany jego teraźniejszego stanu skazanego do katorhi na przeznaczanego na proste wygnanie w głąb Rosyi, potrzeba było dopełnienia licznych formalności które się jeszcze przez cały ten dzień przeciągnęły. Marya także odzyskawszy cokolwiek sił poszła się domagać

uwolnienia, ale komendant. jakieśmy mówili. był Polakiem, lękał się cienia posądzenia o współczucie dla jednego ze swych ziomków i z tego powodu musiano jak najskrupulatniej dopełnić wszystkich form wymaganych. Nazajutrz dopiero około jedenastej Juliusz pożegnał swych towarzyszków, zawahawszy się na chwilę, czy godzi mu się z wyjątkowej łaski korzystać. Ale na pierwszą rzuconą wątpliwość wszyscy jednogłośnie zakrzyknęli nie dopuszczając nawet myśli téj nieużytecznej ofiary.

— Jakkolwiek byle uczciwie uda się któremu z nas ulżyć swojemu losowi, zawołał Jeremi, należy się ratować. — Ocalając jednostki ratujemy kraj, dla którego stać się mogą użytecznymi w nieprzewidziany sposób. W każdym z nas żyje jakiś atom tradycyi, jakaś cząsteczka narodowego bytu... Cóż nam lub sprawie przyjdzie z tego, że więcej jednym będzie męczennikiem i ofiarą? Trzeba umieć cierpieć gdy koniecznością jest cierpienie, ale się samobójstwa nie dopuszczać. bo ono zawsze występkiem.

Juliusz spuścił głowę, smutno mu było samemu jednemu, wyłączonego jakby męczeństwa nie był godzien, opuszczać towarzyszków niedoli. — Wszyscy byli smutni i po cichu plakali gdy się żegnać

przyszło, jeden ksiądz choć mu się łza kręciła w oku, śmiał się zapewne aby zbytniego rozczerwienia nie dopuścić.

Uściskał i pobłogosławił Juliusza, a po cichu rzekł mu na ucho.

— Mój dobrodzieju... z przeproszeniem... któż cię to wybawił? czy to jaka krewna? czy... wszak jegomość żonaty nie jesteś?

— Nie pytaj się mój ojciec...

— A! to źle! to źle! może, uchowaj Boże... zamężna!

— Nie.

— A no! to jeszcze nic... spodziewam się mój panie, że teraz się z nią ożenisz...

— Niestety! nie wiem czy to będzie podobném.

— Cóż, czy wiara stoi na przeszkodzie?

— Ale nie?

— Więc cóż? mówcie szczerze...

— A! jój przeszłość! westchnął Juliusz...

Ksiądz pokiwał głową.

— Mój dobrodzieju, byle była skrucha za grzechy, żal szczery i serdeczny, a któż z nas całkiem czysty przed Bogiem! Mówię ci to kochanku im prędzej unikniesz zgorszenia tém lepiej.

— Macie zupełną słuszość, rzekł Juliusz... radzicie pocziwie...

— Niechże Bóg błogosławi, dodał po cichu księżyna ściskając go za rękę wesoło... bądź co bądź ona także WMość kocha... bo się umiała poświęcić, a miłość oczyszcza i obmywa.

Wszyscy cisnęli się aby choć słowo przemówić do tego na którego wśród ogólnej niedoli wionęło trochę szczęścia, wszystkim im zdało się jakby także jakąś kropelkę jego dla siebie otrzymali; lżej poszli na dalsze wygnanie... inniej jednym na łańcuchu!

Oficer który wczoraj sobie tak niegodziwie postąpił, dziś był surowym, ale chłodnym, roztargnionym nieco, ale naumyślnie aby wielu złamanych przepisów nie dopatrzyć. — Wczorajsza zimna krew i powaga z jaką więźniowie przyjęli w milczeniu wyrządzone im obelgi, widocznie nań wpłynęła, nie zmienił względem nich ścisłej karności, ale zaprzestał namiętnego okrucieństwa, poszanował boleść wytrwaną mężnie i godnie.

Juliusz pod strażą jednego tylko policyanta przeszedł do gospody, w której progu czekała nań, słowa wyrzec nie mogąc ze wzruszenia, jego wybawicielka.

Spojrzenie na biednego wygnańca odkrywało tak jawne ślady tego co przecierpiał, iż z niéj za każdym rzutem oka nowe wydobywało jęki. Juliusz w istocie był straszliwie zmienionym, kilkomiesięczne więzienie, wewnętrzne walki, katownie moralne, choroba, kalectwo, cytadela, podróż piesza, zestarzyły go o lat kilkanaście, znękały i przyniotły, ale nie złamały ducha. Znać w nim było uspokojenie wewnętrzne i rezygnacją niewyczerpaną, prawie graniczącą z odrętwieniem.

Z początku powitanie było łzami i milczeniem, nierychło obojgu rozwiązały się usta, a jéj nieśmiało z wahaniem przyszło się spowiadać ze wszystkiego. Musiała wszakże tłumaczyć się aby uniknąć nowych posądzeń o środki jakimi cudowną prawie ulgę dlań wyjednała.

Poczęła tę spowiedź swoją ze szczerością zupełną, tak aby w umyśle jego najmniejszej nie zostawić wątpliwości. odmalowała mu uczucia, myśli, kroki poczynione, ludzi którzy jéj dopomagali i choć obawiała się chwalić ze swém poświęceniem, wypowiedziała wszystko aby jasno czytał w jéj duszy.

Przyklękła przed nim w ostatku.

— Panie mój. rzekła pełna wzruszenia, tyś

taki wielki a jam tak w oczach własnych nikczemna, tak ciebie niegodna, że nie chcę abyś nawet pomyślał iż ci się narzucam z moją ofiarą i miłością natrętą. Przybyłam aż tu aby ci przynieść jeśli nie swobodę to ulgę w niewoli. alem nie chciała i nie chcę być kulą przykutą do nóg twoich. Tyś swobodniejszy... wypędzisz mnie gdy zechcesz, odegnaj... pójdę, nie nie chcę tylko odejść czystą, usprawiedliwioną w twych oczach... postanowienie moje jest niezmienném, odprowadzę cię do miejsca twojego wygnania, a potem... do matki powrócę. Wdzieję ubogie suknie mojego stanu i będę pracować, a pracując myśleć o tobie i błogosławić ciebie!... Nie jestem godną ciebie — alem chciała téj jedynéj w życiu pociechy, aby odejść zostawując po sobie wspomnienie czyste... abyś mógł myśląc o Maryi nie wstydzić się że ją kochałeś. — Twoja miłość uczyniła mnie istotą nową. odrodziła i podniosła: powinieneś mieć tę pociechę że nie chwilową przemianę ale trwałe sprawiłeś przeistoczenie... Tam została stara matka, brat, rodzina uboga, krewni, powrócę do nich, podzielę ich los... będę myśleć o tobie i żyć zaczerpniętém z tych kilku chwil złotych życiem...

Juliusz nie mógł ust otworzyć. całował ją po rękach i lzy kręciły mu się pod powieką.

— Nie, odezwał się wreszcie, oprócz ciebie nie mam na świecie nikogo, pozostaniesz zemną i podzielim życia resztę z sobą... nie jako kochanka, zostaniesz zemną jako żona. Ja także wiem co ci winienem, nie spełniam obowiązku zimnego, nie płacę długu, skrzywdziłbym tém nas oboje, uczynię to tylko czego się serce moje domaga..

— Nie! nie! odparła Marya, do Wołogdy jedziemy razem Juliuszu drogi, tam, gdy cię umieszczę, gdy się zapewnię że ci będzie dobrze... znośnie przynajmniej, przynajmniej spokojnie, zapłacę i powrócę — nie krzywdź mnie zapłatą... dałbyś mi więcej niżelim zasłużyła, a ja chcę ażebyś mi został dłużnym... w twém przekonaniu, gdy, niestety! w mojem, ja ci wszystko jestem winna! Inne twoje nie przylgnie do skalanego czoła, do istoty, którąbyś miał prawo choć chwilowo, wspomniawszy na jej przeszłość, pogardzić... Ale dość tego na dziś, mówmy o czém inném... tyle do mówienia mamy!

Rozmowa choć zwrócona ku innym przedmiotom, powracała mimo woli do wyznań, wynurzeń i domysłów przyszłości. Cały téż dzień zszedł na

niój. a że kilka dni pozwolono odpocząć wygnańcowi nim się w dalszą uda drogę, poświęcili je wspólnym ubolewaniom nad straszną teraźniejszością.

Wszelkie przeczucia i domysły przechodziło to na co patrzali.

Mógłże kto przypuścić kiedy, abyśmy my dla Rosyi i dla świata, nie już Polakami, ale ludźmi nawet być przestali. abyśmy zostali wyjęci z ogólnych praw ludzkości, zapewniających własność, mowę, wiarę. obyczaj? aby wygnańcy z własnej ojczyzny nie znaleźli przytułku i gościnności nigdzie na świecie, nawet tam gdzie ich nie odmawiają wszystkim wydziedziczonym i osieroconym?

Okrucieństwo podżeganego przez dziennikarzy narodu prostego i niewykształconego, mniej dziwić może jeszcze, niżeli systematyczne posługiwanie się niem rządu, którego cynizm przeraża... Jak sądzić wiek i kraj w których się rzeczy takie bezkarnie dziać mogą?

Juliusz zapominał czasem upojony szczęściem krótkiem o niewyczerpanej boleści narodu, której część na niego spadała, ale wracało jój wspomnienie rychło, mimo starań Maryi usiłującej go rozzerwać i pocieszyć — oboje płakali razem... chcąc

i nie umiejąc przez gęste chimury dojrzeć światła nadziei. — Nazajutrz dostrzegł raz pierwszy biedny wygnaniec na twarzy swej towarzyszki śladów długiego trudu, niepokoju, tęsknot i łez... Zmienionym on wydał się Maryi, ale i Marya straszliwie przeboleła niepokoje, których piętno wyryło się na jej czole, w jej oczach, spieczonych wargach i rozplomienioném wejrzeniu. Najmniejsze wzruszenie nabawiało ją przykrym kaszlem, a kaszel wywoływał krew na wargi, z którą się ukrywała przed Juliuszem. Była jednak wesołą i udawała zdrową... Odkrycie to przeraziło Juliusza i przyspieszyło podróż do Wołogdy, gdyż nie pokazując po sobie trwogi, pragnął co rychlej dowieść ją do miejsca, gdzieby spoczynek i lekarz mogli jej siły stracone przywrócić. — Wyjechali więc prędzej niż sądzili z razu, i mimo powolnej a dosyć stósunkowo wygodnej podróży do miejsca, Marya przybyła tu osłabiona, upadająca. Nie chcąc pokazać po sobie że cierpi, kryjąc się z chorobą, umyślnie często dla przekonania o zdrowiu zbytecznie się narażając, szkodziła sobie jeszcze. Zdawało się, że wcale nie dba o jutro i żyje tylko dniem dzisiejszym, ostatki sił dobywała aby nie zdradzić wycieńczenia i cierpienia... Trzeba było

troskliwości Julinsza aby odkryć tę boleść tak zapobiegliwie tajoną i nie okazując trwogi, starać się coś na to poradzić.

Juliuszowi wprawdzie Wołogda naznaczoną została za miejsce pobytu, na czas nieokreślony, ale jak wszystkich tak jego poddano rozporządzeniu władz miejscowych, które wyrokowały o pozostaniu w mieście lub zamieszkaniu w gubernii.

Zależało to od kaprysu, fantazyi, łaski gubernatora i jego kancellaryi.

Juliusz zarówno i Marya pragnęli pozostać w samém mieście, gdzie już była kupka Polaków, lekarz i łatwiejsze życia wygody; Marya miała nawet listy polecające i zaraz nazajutrz wymknęła się z niemi, prawie pewna, że łaskę o którą im tyle szło, wyrobić potrafi.

Urzędnik wysoki, któremu została polecona, z razu nawet jęj przyjąć nie chciał, posłała list i ten jęj drzwi otworzył nareszcie; ale spojrzawszy na chmurną twarz wszechwładcy, czuła jak ją chłód i zwątpienie objęły. Człowiek to był widocznie zrosły od dzieciństwa w papierach urzędowych, zaschły w nich i bez kropli uczucia, oblicze żółte, zmęczone i niedozwalające się spodziewać nawet udanej względności.

Zastała przewoschodytelstwo nad stołem i listem petersburskim, skłonił jęj zaledwie głową, siedzieć nawet nie prosząc.

— Mikołaj Andrejewicz pisze mi, rzekł, polecając was mojęj opiece... Czy jesteście tu zesłani? nie miałem jeszcze raportu... nic nie wiem o was.

Począł szukać w papierach...

— Ja przybyłam tu dobrowolnie, odpowiedziała Marya, towarzysząc zesłanemu na mieszkanie krewnemu, za którymi was mam prosić.

— Jak się zowie? jak się zowie? zapytał żywo urzędnik.

Marya z przestraczem powiedziała imię, twarz wszechwładzcy zachmurzyła się nieco.

— Wiem, wiem, rzekł, jest już tu o nim wiadomość... ale dla czego sam dotąd nie przyszedł się przedstawić?

— Tylko cośmy przyjechali, leży chory!

— Chory? spytał urzędnik... wszyscy chorzy gdy im potrzeba się stawić przed władzą... Czegoż chcecie? jakięj opieki? Rząd opiekuje się dosyć temi ludźmi, więcej niż warci... A tyle z niemi kłopotu...

— Prosiłabym z powodu jego choroby, abyś pan był łaskaw zostawić nas tu w inieście...

— To być nie może, przerwał prędko urzędnik, jemu naznaczono już mieszkanie w miasteczkuorach..., tu jest aż nadto wygnańców... mówię wam, bardzo mi żal, ale to być nie może...

— Ale panie...

— Ale moja pani, mówiłem raz że to być nie może; ja spełniam co mi polecają, łask robić nie mogę... i nie chcę... Jestem człowiekiem, mam ludzkie uczucie, wszakże pieścić tych co powinni cierpieć, nie widzę potrzeby... Będzie wam tak dobrze worach jak i tu, jest doktor, chleba dostać można... wody dosyć... z głodu nie umrzecie.

— Ale on jest chory...

— A cóż mi do tego? nie mam obowiązku w to wglądać... chory, to wyzdrowieje...

Maryi łzy puściły się z oczów, sił zabrakło, wszechwładzca spojrział na nią i ruszył ramionami.

— Wy, jeśli się wam podoba, możecie zostać w Wołogdzie, ale on pojedzie...

— Mam nadzieję...

— Nie miejcie nadziei, nie robię wam żadnej... Jest ich tu już aż nadto... będą się schodzić i spiskować, dosyć kłopotu i z tymi.

Maryja zamilkła; urzędnik zanurzył się w papierach i pożegnał ją skinieniem głowy.

Nie odchodziła wszakże, — blady starzec podniósł po chwili głowę i widząc ją stojącą uparcie, spytał:

— Czy żądacie więcej?

— Nic więcej, tylko téj jednéj łaski, abyśmy przynajmniej, dopóki on sił nie nabierze, mogli tu pozostać. Postarałabym się może o dozwole nie z Petersburga...

Urzędnik się uśmiechał szydersko, machając ręką.

— Chociażbyście mieli to pozwolenie, ja nie pozwolę, rzekł. Jest ich tu dosyć, jest aż nadto. Dla czegoż znowu mamy się rozpadać nad losem tych którzy przewinili najsrożej buntem przeciwko prawej władzy? dla czego mielibyśmy my pieścić ich i troskliwie oszczędzać, gdy zasłużyli na daleko cięższe ukaranie?... Proszę was, dajcie mi z tém pokój.

— Ależ i winowajcy są ludźmi... odezwała się Marya — a uczucie miłosierdzia chrześcijańskiego...

— Nic mnie nie nauczycie, odparł szorstko urzędnik, wierzcie mi to czas stracony, daję wam parę dni na spoczynek... ale rozporządzenia nie odwołam...

Marya postąpiła chwilę w milczeniu, ale widząc że próżnoby chciała tę istotę bezduszną poruszyć, wyszła zapłakawszy. Juliusz był tak oburzony, że nawet tych dwóch dni spoczynku nie przyjął, bądź co bądź postanowił ruszyć na miejsce przeznaczenia.

Małe powiatowe miasteczka w głębi Rosyi, położone opodal od wielkich traktów i pozbawione życia i spółki ze światem, są zwykle pustką, o jakiej europejski mieszkaniec pojęcia mieć nie może. W wielu z nich możnaby się sądzić w XVI. lub XVII. wieku, tak wszystko zostało nieporuszoném, i żaden promyk cywilizacyi nie doleciał tam jeszcze. Odszczepione od ogólnego żywota, zasklepione w sobie te miesciny, wegetują zdane na łaskę i niełaskę urzędników, zarządzających w nich prawie despotycznie i nie dopuszczających nad sobą żadnej kontroli, którą odległość od większych ognisk i mała ważność tych kątów zapadłych utrudnia.

Życie snuje się tu po staremu, to jest w patryarchalnym despotyzmie i samowoli, garstka ludzi wypotrzebowywana przez kilku stęka, boleje, męczy się, ale chodzi posłusznie w kajdanach, których

zrzucić nie może, każde usiłowania stargania ich jeszcze je ciaśniej zakuwa.

Do takich odosobnionych kątów należało miasteczko... do którego Juliusz i Marya przybyli na wygnanie. Przed nimi już trzech Polaków zesłano w to miejsce wprzód, ale nie wielką być oni mogli dla nich pociechą. Jeden był umierającym starcem, który z łoża już nie wstawał, drugi na pół obłąkanym po stratach co go dotknęły, trzeci zobojetniałym na wszystko i odludkiem. Obłąkany był ze trzech najzwawszym i najszcześliwszym, ale rzadko miał godziny przytomności, plątało mu się dziwnie w głowie i boleśnie nań było patrzeć, choć on sam prawie ciągle się uśmiechał, a jak wszyscy oszaleni, prawił, gadał lub mruczał nieustannie. — Niekiedy jednak wracała pamięć, z nią łączyła się a po nich szła i wesołość przerażająca...

Na towarzystwo miejscowe niewiele rachować było można. Mieścina licha była i mała, oprócz urzędników i kilku zamożniejszych kupców, nie mieszkał w niej nikt prawie, tylko ubogie rodziny ludność składające, a obyczajami należące do innego wieku i świata nie naszego. Trudno przyszło nawet znaleźć jakie takie mieszkanie, bo wszyscy

wzdragali się na imie Polaków na równi ich mając z nieczystymi zwierzęty i pogany.

Kupiec Jakowlew, który bywał w Moskwie i Niższym Nowogrodzie, a przeto ocierał się już o różnych ludzi, zgodził się jakoś dać im mieszkanie w oficynie swego domu. Był to młody, żywy, roztropny człowiek ale tak Moskał całą duszą, obyczajem i głową jak wszyscy. Uchodził on w miasteczku za bogacza i miał prawie wyłączny monopol wykwińtniejszego nieco towaru, który sam tylko dla błahorodnego towarzystwa sprowadzał.

Hierarchja urzędnicza składała się jak wszędzie ze sprawnika, horodniczego, kaznaczeja, sędziego i pomniejszej gawiedzi kancelaryjnej. Sprawnik, odstawnny kapitan od piechoty, z żołnierskich dzieci, obarczony był liczną familią i wiódł życie wygodne, szanując miejsce które mu je dawało. Dom jego był w mieście najprzedniejszym, a Agafia Iwanówna, żona jego, najpoważniejszą matroną w powiecie. Sześć córek i czterech synów rozproszonych szczęściem po świecie składali rodzinę, do której należał także ubogi, na łasce żyjący, odarty, rozpity, niegdyś odsądzony od miejsca i praw stanu, brat samej pani Nikita Gregorowicz Pułow. Sprawnik nie wiele się miewał do rządu powiatu, któ-

rym w istocie władała jego żona, sekretarz którego ona protegowała i pełnomocnik jój Pułow.

Ponieważ brat sprawnika, także dziecko żołnierskie, dosłużył się był w Petersburgu wyższej rangi i przez niego miał jakąś protekcją stary Zyżyn, miał więc i pewną siłę, która go podtrzymywała, mimo niezadowolnienia powszechnego, gdyż urzędu swego używał więcej na rzecz swoją niż cara jegomości. W ogóle w Rosyi pojęcia obowiązków publicznych są dziwnie wykrzywione, widzą w nich sposób do życia tylko, do zbogacenia się, a nie posługę społeczeństwu. Zyżyn téż wcale nie myślał o tém jak zarządza powiatem, ale tylko co mu to przynieść może, a mimo zdzierstwa nielitościwego żona jeszcze wymawiała mu nieustannie, że sobie w niczém rady dać nie umie i że gdyby nie ona, nie mieliby chleba kawałka. Passyą Zyżyna była gra... otoczony podwładnymi grał obyczajem satrapów, każąc sobie płacić gdy wygrywał, nie uiszczając się nigdy z przegranych. Czyniło to grę i bezpieczną i dosyć zyskową, a uniknąć jój z nim nie było podobna, bo mścił się niełaską na npartyh.

Horodniczy Sawelin, nieżonaty, kobieciarz, hulaka, otyły burłak, był Don Żuanem miasteczka

i przyjacielem domu Zyżyna, w którego żeńskiej polowie oddawna chciano mu narzucić żonę. Tymczasem jednak mimo ponfalitych stosunków o małżeństwie nie było mowy, choć dwie panny Zyżynówny zdawały się równie pewne, że go śmiertelnie rozkochały. Jedna z nich nawet często do niego chadzała w odwiedziny, pod rozmaitemi pozory... Kaznaczej ślepy na jedno oko ale bardzo bystry człowiek, który powiadał że umie po francusku i niekiedy wyrwał się z parę wyrazami niezrozumiałemi, uchodzącemi za francuszczyznę, stanowił tu trzecią matadorę. Miano go za dowcipnego i głębokiego polityka. trzymał Moskiewskie Wiadomości i Inwalida. Sędzia, Niemiec pochodzeniem ale wychowaniem i naturą Moskal, był dosyć ograniczoną istotą, której głuchota nie dozwalała nazbyt wielkiej grać roli w towarzystwie; on, jego żona i jedyna córka byli nadzwyczaj skąpi, a że sprawnik i horodniczy żyć lubili, nieustannie się z ich oszczędności naśmiewano. Kaznaczej dowcipował z Niemca co wlażło. Córka wszakże miała wielu wielbicieli, nie z powodu wdzięków, ale dla reputacyi ojcowskiej szkatułki. Agafia Iwanówna obawiała się bardzo, aby płochy horodniczy nie dał się jój nsidlić i średniej jój córki, której prawie

przrzekł ożenienie, nie porzucił dla bladėj i chudėj niemki.

Tam gdzie wyższą warstwę towarzystwa składały podobne opisanym istoty, łatwo sobie wyobrazić jakie było tło na którém ona spoczywała. Ludność miejska była tym ideałem massy stworzonėj dla despotycznych rządów, w którój jest właśnie tyle cech ludzkich, aby usprawiedliwiały zapisanie do skazek (spisu ludności). Od wieków ani na jeden włos nic się tu nie zmieniło, nic nie wyrosło, ludzie rodzili się, żyli i marli w prawosławnėj wierze swych ojców i prawosławnėj ciemnocie a posłuszeństwie i przekonaniu, że inaczej jak jest być nie może. Reszta Bożego świata wydawała im się poczwarną, zaprzedaną szatanowi i przeznaczoną na wiekiustą zagubę.

Oprócz dwóch gazet moskiewskich, utrzymywanych przez kaznaczeja, więcej tu żadne pisma nie dochodziły, Gubernialne Wiadomości wydawane czasem w Wołogdzie utrzymywał sąd, a nieurzędowa ich część służyła kancelistom do zawijania tytuniu i oprawy świec. Parę odartych książczyń krążyło wprawdzie po miasteczku od lat kilku, ale nie wiele osób czuło potrzebę zaglądania do nich. Kobietom czas schodził na krzątaniu się około domu, ga-

wędkach o kawalerach i jedzeniu orzechów lub ziarenek kawonów, konfitur suchych i jagód. Oprócz tych co byli do ciężkiej pracy zmuszeni, nikt nie robił, próżnowanie królowało wszędzie, wydając się najwyższém dobrem. Rodziło ono rozmarzenie dziwne, zepsucie dziwaczne bo prawie beznamietne i jakaś tęsknicę nieuleczoną.

Przybycie Juliusza i Maryi na chwilę naturalnie zajęło całe miasteczko, ale gdy sprawnik przekonał się że oboje byli chorzy, gdy horydniczy zobaczył że Marya nie kwalifikowała się do jego doraźnych romansów, kaznaczej doszedł że się tam z francuszczyzną popisywać nie będzie mógł, dano im pokój. Zostali więc osamotnieni, a z trzech ziomeków których tu zastali, jeden do nich przyjść nie mógł, drugi nie chciał, zjawił się tylko nazajutrz obłąkany.

Był to mężczyzna mogący mieć lat czterdzieści, człowiek niegdyś majątny, rodem z Warszawy, właściciel znacznej fabryki, którego zrabowano przy jakiejś pomście za popełnione w ulicy zabójstwo; żona mu młoda zmarła z przestachu po tym gwałcie, a jedyne dziecko zginęło z razów zadanych przez Moskali... Stary ojciec wkrótce téż życia dokonał... Blum (tak się nazywał) dostawszy lekkiego pomię-

szania po tych bolesnych ciosach, upominał się o sprawiedliwość u rządu za rabunek i zabójstwo w jego domu spełnione, to spowodowało że go w głąb Rosyi zesłano. Nagła zmiana losu, zubożenie, sieroctwo i to uczucie ucisku oburzające uczciwego człowieka, zachwiały rozumem Bluma do reszty... Wywożono go już z Warszawy śpiwającego i płaczącego na przemiany, ale stan ten nie zmienił jego losu, rząd uznał że należało sprzątnąć z przed oczów ofiarę, aby nie świadczyła o jego gwałtach i ucisku. Wysłano Bluma do Wologdy. a tu z każdym dniem obłąkanie się jego zwiększało. Nie było ono niebezpieczném, w chwilach pewnych oprzytomniawszy milczący był, smutny i splakany, zwyczajnie zaś wielomowny, ożywiony, wesół, naprzykrzony, bo potrzebował koniecznie towarzystwa ludzi. Samotność otaczała go widmami niepokojącemi.

Nazajutrz po przybyciu Juliusza i Maryi i zamieszkanin ich w domu kupca Jakowlewa, po wszystkich urzędowych odwiedzinach, ku wieczorowi Blum się zjawił wystrojony o ile mógł, w rodzaju czamarki, którą sam z surduta przerobił, w czapce czworograniastój i z lornetką bez szkiełka w oku. Słodki uśmiech krążył po bladych jego ustach.

Zaprezentowawszy się przyzwolicie usiadł na podaném krześle... Juliusz już z opowiadań sprawnika wiedział o nim i domyślił się z kim miał do czynienia; Marya przyjęła go ze współczuciem i obawą.

— Pozwolą się państwo spytać, rzekł po chwili, z którego przybywacie świata?

— Jak to pan rozumie? szepnął Juliusz.

— To jest czy z nieba, czy z piekła, czy z ziemi?

— Jedziemy z Polski...

— No. to wszystko jedno co z piekła, bo tam teraz szatani panują, rzekł Blum: ale po drodze nie widzieliście się z kim ze znajomych?

— Z nikim, rzekł Juliusz.

— Tu dużo osób bywa wieczorami, dodał obłąkany, przychodzą i z nieba... moja żona z synkiem... ojciec, niektórzy z powieszonych także, bywają i diabli, nareszcie tutejsze towarzystwo miejscowe... a państwo, rzekł ciszej po chwili, jeśli wolno spytać, żywi czy umarli?

— Jeszcześmy żywi, rzekł wzdychając Juliusz.

— Ja także zdaje się że jestem żywy, dodał Blum, ale radbym co najprędzej tę głupią komedią skończyć, bo umarli są swobodniejsi... naprzód że wolno im bez pasportów jeździć, kontrybucyi nie płacą i już ich ani wieszają, ani rozstrzeliwają.

Mówił to wszystko z największą seryą i na pozór przytomny.

— Cóż w Warszawie, spytał po chwili, czy Turków nie ma jeszcze?

— Nie słyszeliśmy...

— Bo mają przyjść niezawodnie, ale tylko ci którzy od stu lat pomarli, ma być z nich wysztytowana armia doskonała, i ta przyjdzie pewno w pomoc. Ale że się to te nieboszczyki rozpierzchły, wiadoma rzecz, człowiek jak się wyrwie z ciała leci licho wie dokąd, więc choć archaniołom kazano na nich na cztery rogi świata zatrzeć, jeszcze się te ciury widać nie zwlokły. Krążą także pogłoski że Alexander W. Macedoński, którego cesarz austriacki mianował feldmarszałkiem swoim, ma tą armią dowodzić, książę Józef i Kościuszko sprawiają przy nim szarżę adjutantów... panna Plater i Tomaszewska dodane mu są dla towarzystwa i konwersacyi... Nic państwo o tém nie słyszeli?

— Nic a nic... rzekł Juliusz z westchnieniem.

— Mnie o tém pod sekretem mówił nieboszczyk ojciec, ale proszę państwa nie rozgadujcie, sprawnik jest szpieg, horodniczy szpieg, nawet panna Natalia córka sprawnika należy do tajnej policyi i chodzi wieczorami zdawać raporta horodniczemu...

Na tém chwilowo przerwała się rozmowa... Blum uśmiechał się przyjemnie i poprawiał czamarkę.

— Proszę państwa, a gdyście wyjeżdżali z Warszawy, czy wiele stało szubienic po kościołach?

— Jak to po kościołach? spytała Marya.

— A bo podobno Moskale mają teraz zwyczaj wieszać w katolickich kościołach, naprzeciw wielkich ołtarzy, w czasie summy w niedzielę...

— O tém nie słyszeliśmy.

— Może téż to i bajka, tyle krąży plotek, rzekł Blum, to pewna jednak, dodał, że w saskim ogrodzie codziennie żołdaci strzelają do celu... a celem są dzieci, które na to wypędzają z domów umyślnie. Nabili ich już dużo i solone posyłają do Petersburga na stół N. Pana... potrawa delikatna... Zjedli tak mojego Stasiuszka biednego, ale to nic, widziałem go wczoraj ze skrzydełkami różowemi, lata jak motylek...

Obłąkany mówił szybko, z uśmiechem, a Maryi łązy ciekły z oczów... wesołość jego straszniej była przejmującą od największej rozpacz. Juliusz na próżno usiłował sprowadzić go do przytomności, kierując rozmowę na przedmioty mniej drażliwe życia powszedniego, Blum wylatywał zaraz na te

przestworza, w których wyobraźnia jego swobodnieć bujać mogła.

Nareszcie po nużącój godzinnój blisko rozmowie, którą on sam podsyczał i utrzymywał zawsze w jednym tonie, wyszedł ofiarując nowo przybyłym swoje usługi i obiecując im sprowadzić znajomych z któregooby sobie życzyli świata...

To była jedyna smutna próbka kraju jaką tu znaleźli; mylimy się, drugą był zapomniany przez nas lekarz powiatowy, młody człowiek któremu nie dowiedziono żadnej winy politycznej, ale że kończył nauki w czasie rozruchów uniwersyteckich w Moskwie a należał do stypendystów skarbowych, posłano go w ten kąt zapadły na powiatowego doktora, oddając pod sekretny dozór policyjny.

Sacharow był owocem dojrzałym cywilizacyi moskiewskiej, pełnym najdziwniejszych sprzeczności. Umysł to był niepospolity, ale zwicnięty edukacją jaką tylko Moskwa daje dzieciom swoim: republikanin i despota, demagog i czerwony, a mimo to wierzący w posłannictwo jedyne Rosyi i odrodzenie rodzaju ludzkiego za pośrednictwem dziczy azjatyckiej. Napił się on zawczasu i Hercena i Pogodina i najosobliwszych płodów samorodnych literatury autodydaktów słowianofilów. i Proudhona, i fi-

lozofii pozytywnej francuzkiej i mrzonek niemieckich. czytał Straussa i Renana — ale z tego wszystkiego niestrawioną nielogiczną utworzył sobie jakąś całość i system podobny do tego. którym właśnie się rząd posługiwał. Sacharow naturalnie Polaków nie cierpiał, mając ich za najzgnilszych posłanników i reprezentantów zgniłej cywilizacji zachodu. Nie żył on w miasteczku z nikim; spełniał obowiązek ściśle, zamykał się z książkami, a bawił dyssekcją trupów, których mu lazaret i turma obficie dostarczały. Zapraszany przez sprawnika i jego rodzinę, która na każdego młodego człowieka polowała, przychodził rzadko, mówił mało i pannom zaczepiającym go na różne sposoby, przystępu do siebie nie dawał. Kaznaczej który z nim jako z człowiekiem uczonym chciał wejść w stosunki, mówił o nim potem że mu niewiele brakło do waryacyi. W ogóle szorstki, dziki choć uczciwy, nikogo sobie zjednać nie potrafił w miasteczku: ale go oszczędzano bo wszyscy go jako lekarza potrzebowali.

Juliusz któremu stan zdrowia Maryi co dzień się zdawał groźniejszym, w kilka dni poszedł go odwiedzić i prosić aby był łaskaw nie dając poznać celu w jakim przybywa, zaszedł kiedy do nich i chciał Maryą wybadać.

Sacharow przyjął go milcząco i dziko; wysłuchał i nic nie odpowiedział, skinął tylko głową. Zastał go wygnaniec nad książką i preparatem jakimś anatomii patologicznej i porzucił nie poruszonego z miejsca. Rozmowa była krótka, jeśli to rozmową nazwać można, mruknął coś i niby się skłonił. Zdawał się jednak rozumieć o co chodziło.

Nazajutrz o południu zjawił się u Juliusza, był nieco jaśniejszej twarzy i dobrze się znalazł, bo upozorował swe odwiedziny tak, że Marya ich celu domyśleć się nie mogła. Juliusz radził się go o siebie, a doktor mało zwracając na pozór uwagi na Maryą, począł z nią mówić grzecznie i wybadał bardzo zręcznie. Sam on nie wiedział dla czego jakieś tajemne współczucie pociągało go do tych Polaków, może iż się nie skarżyli, nie boleli i godnie znosili nieszczęście.

Mylimy się zresztą może zowiąc to współczuciem, Sacharow który nie cierpiał zachodu Europy, a tém samém i Polaków, dobrze już było że im nie okazał wstrętu, że dla nich stał się łagodniejszym niż zwykle. Z ciekawością poglądał on na tę parę szukając w niej wad które a priori spodziewał się znaleźć: próżności, lekkomyślności, rozpieszczenia, miękkości i exaltacyi zarazem.

Marya i Juliusz wydali mu się wyjątkiem, ale ich badać postanowił. — Grają przedemną komedya stoicyzmu, pomyślał w duchu.

Próba którą na Juliuszu uczynić postanowił była nieludzką, ale zdała mu się usprawiedliwioną, bo nie potrzebował klamać aby ją dopełnić. Marya odeszła na chwilę, Juliusz pospieszył z zapytaniem.

— Jakże ją znajdujesz doktorze?

— Nie będę wam krył, bardzo źle, odparł Sacharow — nasz klimat dla tego rodzaju chorób piersiowych bywa zabójczy, droga pogorszyła stan... Mogę się mylić i daj Boże bym się mylił, ale zdaje mi się że sztuka lekarska nie ma środków któremi by ją ocalić mogła... Podróż na Maderę, do Nicei...

Juljusz stał blady i nie rzekł słowa, doktor wpatrywał się w niego bacznie, długo i postrzegł tylko drzenie mięśni w jego twarzy.

Słowa nie rzekłszy więc rozstali się.

— Jestem okrutny, mówił sobie w duchu Sacharow wracając do domu, cóżby mi kosztowało odpowiedzieć ni to ni owo, a zostawić mu nadzieję? Człowiek ten nie jęknął, cywilizacya więc nie wszystkich zmiękcza i obiera z siły, nie wszyscy, jak ci trzej, dostają waryacyi, melancholii lub nieuleczonéj choroby!!...

Zamyślony poszedł do domu.

Gdy Marya powróciła do pokoju, zastała Juliusza z dwoma łzami na policzkach, ale je otarł prędko, w rozmowie nie dał jej poczuć że nosił śmierci groźbę na sercu... Ale wieczorem począł powoli namawiać Maryą na podróż do cieplejszego kraju dla zdrowia...

— Jesteś znużona, chora, potrzebujesz wypoczynku, mówił, mnie tu choć tęskno nie byłoby tak źle czekając na twój powrót, przywiozłabyś mi z sobą świeże tchnienie wiosny, zdrowie, wesołość i przyszłość.

— Cóż za urojenie znowu? odparła kobieta, możesz ty nawet o tém pomyśleć? chciałabyś się mnie pozbyć? sądzisz żeby mi na zdrowie poszło jechać bez ciebie, samój, zostawiwszy cię tu na męczarnie samotności, samego, bez opieki? Co za myśl! co za myśl! Czyż sądzisz że jestem tak chorą? A gdybym nią w istocie była, czyż myślisz że mi to życie tak drogie, bym je samolubném odosobnieniem przedłużać pragnęła?... Wiesz mój drogi, śmierć dla ludzi którym życie choć dziś szczęśliwe, jest zgryzotą przez swą przeszłość — nie tak straszna jak się zdaje. Dla mnie mogłoby być większe szczęście jak umrzeć teraz przy tobie, nie idąc

już dalej, bo cóż znajdę więcej? co lepszego? może mnie tylko spotkać smutek, straty, boleści... Więc... dajmy temu pokój i cieszymy się tém co Bóg dał...

W istocie los dwojga wygnańców nie był tak strasznym jak innych, bardziej osamotnionych lub skazanych na nieustanne stykanie się z dziczą moskiewską. Życie wprawdzie nie było łatwém, ale stało się znośném, oboje na nie pracować musieli, a trud zajmował godziny któreby pożarła tęsknota. Jakowlew nieco cywilizowańszy Moskał odstąpił był im wprawdzie mieszkania, ale nie znaleźli sługi co-by się podjąć chciała w gospodarstwie im pomódz, wszyscy chronili się zetknięcia jak z zapowietrzonymi.

Marya więc sama wesoło i ochoczo musiała się podjąć kuchni i tysiąca drobnostek w utrzymaniu domu niezbędnych, czyniła to z zapałem, z niezmierną gorliwością, ale widocznie upadała na siłach. Kaleka bez ręki pomagał jój, siedział przy niej, ale pozostała mu dłoń jedyna nie na wiele czyniła przydatnym. W pole płaszcz nosił drewna, niekiedy na targ chodził, ale w wielu robotach kalectwo zupełnie go obezwładniało. Ona krzątała się, a na twarz jój występowały rumieńce, potem przychodził kaszel suchy, potem osłabienie, i gdy

dzień mozolny zbliżał się do końca, gorączka ją paliła, siły opuszczały. Ale duch wiele może nawet w chorobie, a potęga jego często najsłabsze ciało czyni potężnem, często samą boleść zatamowuje lub odracza... Marya pragnęła nie dać poznać po sobie że cierpiała, że upadała, i udawało jęj się to cudownie, dopiero gdy przeszła kres mocy ludzkiej, zapłakana, zrozpaczona, nocą padała na łóżko czując się codzień gorzej i ciężej chorą.

Sacharow niekiedy przychodził, popatrzał i podziwiał ich.

Za jego usilnem staraniem znaleziono przecie jakąś sługę, która się podjęła u „niechrześcian“ za dobrą zapłatę zamieszkać. Tym sposobem Marya odzyskała trochę swobody, ale niestety! zapóźnie... Zdrowie jęj już było ostatnim błyskiem lampy bliskiej zgaśnięcia. Z każdym dniem stawiała się słabszą, gorączka paląca zwiększała się, rosła, kaszel męczył straszliwy, krew rzucała się ustami... i jednego wieczora całując w rękę Juliusza, na którego szyję zarzuciła ręce płacząc... skonała...

Nikogo nie było w domu gdy się to stało, Juliusz sam martwe ciało zaniósł na łóżko, zamknął jęj oczy, złożył ręce i ostatni pocałunek na bladém

czole, a potem ukląkł i modlił się duchem u zwłok biednej istoty.

Tak go w ciemności zastał przybyły Sacharow... domyślił się on łatwo wypadku który był aż nadto przewidziany, a widząc Juliusza tak na pozór spokojnym, tak w boleści trzeźwym, zdumiał się sile jego duszy... Mimowolnie tknięty litością przesiedział przy nim całą noc prawie, podziwiając moc z jaką walczył z sobą, twarz jego wydawała rozpacz która szarpała łono, ale przez usta jeden wyraz szła się nie dobył. — Poleciwszy starania o pogrzebie przyjątej kobiecie, chciał go Sacharow odciągnąć z sobą, aby mu bólu oszczędzić; Juliusz się oparł stanowczo.

— Nie godzi mi się odstąpić jej zwłok, rzekł do doktora — ona mi poświęciła życie, jam winien poszanowanie temu martwemu ciału którego serce biło dla mnie... Chcę na nie patrzeć, aby jej obraz wyrzył mi się w pamięci, abym zapamiętał tę gorzką chwilę rozstania, która mnie czyni sierotą...

Nad rankiem całe już miasteczko wiedziało o zgonie Maryi, a najpierwszy przybył Blum do Juliusza. Był strojny jak na najweselszą uroczystość.

— Winszuję panu, zawołał ściskając Juliusza... pani ozdrowiała i teraz z tamtego świata odwiedzać

nas będzie... poznają się tam z moją żoną... Umarzeć to nie, kochany panie... przesąd, stary przesąd... ludzie nie wiedzą że to jest przejście do nowego życia...

Na ten raz szaleństwo jego wyglądało bardzo rozumnie. — Julinsza nawet nie raziło; Blum był weselszy niż kiedykolwiek...

Za pogrzebem zjawił się i ów wygnaniec odludek, który z nikim nie żył i nigdzie się nie pokazywał.

Bez księdza, bo katolickiego nie było bliżej nad kilkaset werst, a prawosławny za pogrzebem Polaka iść nie mógł, odprowadzono ciało na smętne mogiłki położone na łysém wzgórzu za miasteczkiem.

Tu w kątku osobnym, w którym już para drewnianych krzyżów świadczyła, że komuś Bóg zesłał koniec męczarni w téj pustyni — wykopano mogiłę i złożono w nią biedne ciało niewiasty, nad którem pokłękł Julinsz i długo, długo się modlił. — W téj modlitwie przebiegł całe jéj i swoje życie, ale mu ona zrobiła ulgę i natchnęła silném postanowieniem. Wstał jakby z tego grobu wionęła nań myśl zmarłej, wyznaczająca mu dalszą drogę...

Blum ukłoniwszy się żółtėj mogile z uśmiechem, wesoło pobiegł do domu...

W miasteczku śmierć wygnanki a szczególnie opowiadanie o ostatnich jej chwilach przez Sacharowa zrobiły głębokie wrażenie. Najprostszy i najmniej wykształceni ludzie są dostępni obrazom prawdziwego i szlachetnego cierpienia, które ich rozbija, dziwi, obdza w końcu poszanowanie. Sacharow nie mógł słów znaleźć na odmalowanie potęgi ducha z jaką ona przyjęła śmierć na wygnaniu dobrowolnym, on swą stratę niepowetowaną i sieroctwo. Wprawdzie ta para ludzi wedle jego pojęć była wyjątkiem w świecie cywilizowanym, jak on go sobie wyobrażał, niemniej jednak świadczyła, że zgniły zachód miał choć części zdrowe w sobie. Sacharow przywiązał się z psychologicznych przyczyn do Juliusza, ciekaw będąc stanu jego serca i wrażeń jakie na nim wywrze ten wypadek.

Znajdował go w domu nad książką, często na mogiłkach siedzącego spokojnie, przytomnym i panem siebie.

Z razu mówili z sobą mało, za daleko stali pojęciami aby się zrozumieć mogli, w końcu po kilku tygodniach Sacharow głębiej téż w tę duszę pragnąc zajrzeć, na dłuższe go wyciągał roznowy. Dotykali najrozmaitszych przedmiotów, rozumieli się, ale oba widzieli że ich całe dzielą światy. Sacharow był Moskałem i nieprzyjacielem cywilizacji téj, którą Moskwa opóźniwszy się przejąc, przeskoczyćby chciała. O całe wieki zacofany naród sądził, iż wyminąć może czego przyswoić sobie nie potrafił, a chcąc zyskać musiałby nanowo pójść do szkoły i poczynąć od abecadła. Z zarozumiałością wszystkich autodydaków, Moskał liczył na samorodne siły swego narodu, gdy Juliusz zeń się uśmiechał. On chciał stworzyć nowy świat, aby nie być zmuszonym starego zostać poddanym i dłużnikiem, Juliusz przekonywał, że to są mrzonki próżne — dowodzące tylko nieznajomości natury ludzkiej i praw kształtowania się społeczeństw... Z tych kwestyi ogólnych, które wszystkimi boki przylegały do kwestyi polskiej, często zadrasnęli o nią, ale Juliusz rozszerzania się nad nią unikał, co Sacharowa drażniło nie mało. Jakkolwiek różniąc się w wielu rzeczach, oba oni stali się sobie potrzebni, lecz nigdy może nie zbliżyliby się do siebie, gdyby nie

szczególny wypadek który im trzeciego dał towarzysza.

W parę miesięcy po śmierci Maryi, jednego poranka kibitka pocztowa zrzuciła wpośród rynku starego, siwego ale krzepkiego jeszcze jegomości, którego zdano na łaskę Bożą, aby sobie mieszkania wyszukał. Był to staraniem jakichś przyjaciół ułaskawiony na wygnanie Jeremi... Dziwny traf losu tu go zapędził.

Starzec mimo kłopotliwego położenia swego, bo pora była niemiła, dzień dżdżysty i wietrzny, zdawał się w najlepszym humorze, i uśmiechał widząc przed sobą zamykające wszystkie drzwi i rozstępujących mieszkańców, którzy w nim zaraz poznali nienawistnego Polaka. Horodniczy ze zwykłym sobie grubiaństwem dał mu do wyboru nocować w turmie, na odwachu, lub gdzie mu się będzie podobało, nie czując obowiązany wcale szukać dlań kwatery. Tłumoczki leżały na mokrej ziemi, stary zacierał ręce, gdy nadbiegł Blum, który przywitał Jeremiego jak znajomego.

Szanownego rodaka! z któregoż świata W Pan Dobrodzięż przybywasz?

Stary popatrzał nań, poznał go, przypomniał sobie i przeczuł w nim warjata.

— O tém potém, rzekł, nie możecie mi nastęczyć gdzie przytuliska?

Ale dla czegoż nie. odparł Blum, prosiłbym do siebie, tylko że miewam czasem liczne zgromadzenia nieboszczyków toby panu spokoju nie dawały — ale jestem pewien że pana przyjmie za my nasz pan Juliusz... którego kochanka niedawno przeniosła się na cmentarz....

Jeremi pochwycił tę myśl żywo, poszli razem i stanęli potém razem, gdyż oboje dla siebie przypadali ze wszech miar... Jeremi był zesłańcem Bożym dla biednego Juliusza, który się trzymał o własną siłę, ale podpory téj wielce potrzebował. Staryzec był jak w drodze mówił odmlodzony i pokrzepiony; stan towarzysza wymagający moralnej pomocy i posiłku jeszcze go obudził do czynu, stał się więc wodzem dla téj duszy która walczyła o wyrobienie sobie celu w życiu i środków osiągnięcia go.

Człowiek ten rozumem swym, sercem, charakterem był nieoszacowanym dla zbolełego skarbem, wiek, praca, doświadczenie zahartowały go na żelazo. Widział jasno, mówił otwarcie i nie bał się nigdy kosztem słabości ludzkich. ulegając im dla własnego spokoju.

Sacharow przybywając do Julinsza z nałogu, znalazł tu Jeremiego, ta nowa postać, drugi owoc cywilizacyi potępionój, od razu wzbudził w nim niezmiernie zdumienie i głębokie poszanowanie. Nikt nad starego Jeremiego bardziej na apostoła prawdy nowój epoki stworzonym nie był, czynem i słowem popierał on jasno pojęte zasady, od których go nie odprowadzić nie mogło. Jeremi nadto się czuł silnym by jak Julinsz sporu, rozprawy i delikatnych kwestyi unikał. owszem szukał on ich, pojmując, że zadaniem rozproszonych było rozsiewać prawdę, głosić ją i szczepić.

W tydzień potém Sacharow, którego ciekawość coraz bardziej ludzie ci drażnili, zaprosił ich do siebie na herbatę.

Rozmowa która tylekroć kołowała po nad sprawą polską, nad walką żywiołów polskiego i moskiewskiego, nie śniejąc ich dotknąć, wpadła na ostatek na ten przedmiot. Sacharow pierwszy gwałtem ją popelnął na tę drogę. — Ze zdumieniem postrzegł że Jeremi nie odtrącił wcale wyzwania.

— Mówmy o tém. rzekł, owszem, pan jesteście człowiekiem rozsądnym i wykształconym tak, że się zrozumieć potrafimy łatwo... Nie na co innego nas Pan Bóg po zimnych waszych stepach rozpro-

szył jak abyśmy kto jak może, słowem, czynem. cierpieniem, jękiem apostołowali...

— To jest wasze przekonanie? spytał zdumiony Sacharow, jak to? po wyludnieniu kraju, po otrzymaném przez nas stanowczém zwycięztwie, po tylu doznanych klęskach, po widocznym upadku, wy marzycie jeszcze o powodzeniu waszego apostołstwa?

— Nie marzym, szanowny doktorze, ale jesteśmy go pewni, odparł Jeremi, walka dopiero się rozpoczyna taką, jaką ją Opatrzność mieć chciała, nasza nieopatrna młodzież poszła z wami na kłaki, ale to był wstęp do rzeczy, który spowodował wygnanie i właściwsze spełnienie naszej misyi. Oto co było heroicznego zginęło na polu sławy, co było lichego i małodusznego to poszło na edukacją głodu, upodlenia i nędzy za granicą, a co było siewaczy i mężów przyszłości wyście sami rozśleli po Rosyi dla nawracania jój. Przypomina to zawsze tylekroć cytowaną bajkę o diable, który ziarno posiane przez człowieka kopytem zagrzebł w ziemię, sądząc że je stratuje... tymczasem przyspieszył tylko zejście i wzrost jego...

Sacharow milczał tak był zdziwiony...

— Ale my was stratuujemy i zgniemy! rzekł.

— Nie, odparł spokojnie Jeremi, my jak wy

jesteśmy mimo woli narzędziami posłusznemi prawa Bożego, które panuje światu; — prawo to chce mieć, że prawda zwycięża... i to co w nas było i jest prawdą zwycięży.

— Ale jakież dowód, że w was była i jest prawda?

— Czytajcie historią i uczcie się a poznacie, że narody jak wasz przy całej energii żywotnej jaką mają, odrzucające spadek doświadczenia ludzkości, oddzielające się od jej losów i pragnące stworzyć sobie odrębne, nie są nigdy na drodze postępu dopóki nie wnijdą do społeczeństwa co odziedziczyło tradycję, co wychowało się u macierzyńskiej piersi cywilizacji ogólnej. — Polska zginie czy żyć będzie, wywrze wpływ niezmierny na was i zmusi do porzucenia mrzonek, a spojenia się ze światem cywilizowanym. Oto jest missya nasza.

Kwestya, mówił spokojnie dalej Jeremi, cała się daje jasno postawić w ten sposób.

Moskwa zadławiła Polskę, popełniła występki obraży praw ludzkości, ale go w sobie uniewinnia potrzebami politycznymi i niemogąc zwyciężyć Polski usiłuje ją zniszczyć, wyexterninować. Zdaje się jej, że ku temu najniegodziwszych używając środków jest wytłumaczoną.

Dalój, marzyciele wasi niedowarzeni wyrozumowali nie mogąc Europy doścignąć, że cywilizacya europejska na nie się nie zdała, nazwali ją zgniłą, chcą stworzyć państwo moskiewsko-słowiańskie. utopją socyalną i polityczną, społeczność wywiniętą z pieluch jakichś tradycyi moskiewskich, którym za zaród służy gmina pierwotna... Ta gmina, te demokratyczne instytucye niby wyłącznie wasze. są to stare rzeczy i stare łupiny, przez które wszystkie narody przechodziły idąc dalej.

Co więc, w chwili gdy cały Boży świat dąży do rozbicia się! a wielkie państwa staną się wkrótce niemożliwymi i muszą się rozczłonkować, rozłożyć ustępując nowój formie bytu politycznego do której dążą narody — wy marzycie o monstrualnej massie jednolitej Rosyi. — Okupujecie ją czém? gwałtami, wypędzacie Tatarów, wyganiacie Czerkiesów, terroryzujecie Polskę, naśmiewacie się z Chochłów i ich marzeń małorosyjskich... a koniec końcem nic nie pomoże, wasza potwora moskiewska której cielsko zaległo od Wisły do Amuru, od Baltyku do Araratu i Kaspji, rozpadnie się, rozłoży i w proch rozsypie. Idzicie wprost przeciwko ideom wieku w interesie państwowym, któremu poświęciliście dziś nawet pragnienie swobód jakie

w was dawniej mieszkało... chcecie panować światu, zamierzacie podbijać całe obszary słowiańszczyzny, a nie widzicie że już dziś to wasze państwo traci równowagę i dłużej jednością być nie potrafi.

Mieliście wielką przyszłość przed sobą...

Stanać moglibyście na czele uczciwej federacji państw i narodowości słowiańskich, szanując wszystkie i wysoko podnosząc zasadę nietykalności narodowych, woleliście dla despotycznego ideału monstra azyatyckiego, zaprzedać całą waszą przyszłość.

Macież siły na stworzenie państwa moskiewskiego?

Bagnety i armaty, darujcie, nie są potęgą organizacyjną, kruszą one opór ale nie budują nic.

- Gdzież jest idea wasza? Panowanie nad światem?... to stara utopja skazana od dawna na pośmiewisko. — Jaką przynosicie zasadę? jaką myśl nową? jaki postęp dla ludzkości? jaką prawdę wyszyjecie na chorągwi waszój?

Bóg i car! to za mało, bo i tych dwoje u was do jednego cara się redukuje, a pozwolicie że od czasu Cezarów, carów, i t. p. dużo ludzkość urosła i w stare pieluchy uwinąć się nie da... Z czém więc idziecie i co przynosicie?... Azyatyckie pra-

gnienie podbojów, z którymi potem inaczej jak *ex-terminacją* rady dać sobie nie możecie...

Sacharow stał i słuchał, ale kraśniał cały, powoli każda myśl raniąca go, wpijała mu się w łono, wybuchnął nareszcie.

— Surowe to są słowa, zawołał, spodziewam się, że mi równie otwartych za złe nie weźmiecie.

— Nie jesteście narodem apostołów, bo nawet nieszczęścia wasze nie zdołały was z wad narodowych oczyścić. — Wszystkie stare grzechy, które odpokutowaliście może rozszarpaniem i niewolą pozostały jak spadkowa choroba po dziś dzień we krwi dzieci. — Nieopatrzni, płosi, zarozumnieli, lekceważący wszystko, gorący na chwilę a słabnący, gdy dłuższej i powolnej potrzeba pracy, gdzie macie siły do posłannictwa cywilizacyi której nie możecie się nazwać ostatecznym wyrazem. — Ze zgniłego owego zachodu, wy jesteście może najprzegniłszą częścią.

— Wszystko to jest po części prawdą, odparł Jeremi uśmiechając się, ale mimo wad naszych wszystkich, mamy to, czego wy mimo cnot i energii waszej nie macie, mamy poczucie dobra, cześć dla niego, poszanowanie człowieka i jego swobody...
— ideę *prawa*.

— Dla czegoż z tém poczuciem swobody człowieka nie daliście jój wieśniakowi waszemu. od 1791. roku o niej pawiąc?

— Wina nasza, macie słusność rzekł Jeremi, dla tego dzisiejsza pokuta domierzona barbarzyńskimi rękami waszemi słuszenie się nam należała... Na to zgoda... Ale zubożała szlachta nasza którą jako plugawstwo na miazgę chce zetrzeć wasz socyalista Milutyn, odrodzi się ubóstwem, pracą, tyranią waszą. Zginie jój dużo, lecz to co wyjdzie z próbiecznych ogni, będzie jak stal niepokonane i hartowne... Opatrzność kochany panie, dokonuje cudów o jakich się nie śniło nawet najsprytniejszymi racjonalistom, oto z ludzi na własnej ziemi rozpieszczonych, nieużytecznych, rozpróżnowanych, na obcej, wśród wygnania stwarza męczenników, apostołów, pracowników i wyznawców prawdy. Widziałem ludzi co szli ze mną skuci na jednym łańcuchu, którzy wyszli z domu upadli na duchu a czerpali go w nieszczęściu, a spotężnieli nędzą...

Myślicież iż sto tysięcy ludzi z których każdy w swój piersi niesie jakąś cząsteczkę narodowej prawdy zdobytej wiekami, nie czyni skutku, nie wywrze wpływu na wasze kraje? Mylicie się... Chcecie nas karać, podnieśliście nas, uświęcili, zrobi-

liście bohaterów. Uznanie Polski i jej praw nie byłoby wam takiej wyrządziło szkody jak to jej gniewienie i exterminacja. Przyszłość pokaże jak grubości się omylili, jak płodną dla nas była każda szubienica, każda kłeska, każda kula wasza, każde barbarzyństwo waszych oprawców...

Sacharow wrzał, usta mu drgały, w głowie płały się myśli, nie mógł się rychło zebrać na odpowiedź.

— Mówicie żeśniy zgnili, być może, dodał uśmiechając się Jeremi. są w naturze istoty, których zgnilizna daje woń i siłę leczebną, wy to wiecie jako lekarz, czemuż nie mają być narody, których rozkład poszedłby na korzyść ludzkości? — Wiercie mi, dziejów nie robi ani p. Katkow, ani wasze Milutyny, są one wynikiem odwiecznych praw, które się spełniają na odwrót planom zuchwałym, po myśli Boga wiodącej ludzkość do postępu.

Nigdy cofaniem się do prawd przeżytych jak wasza teoria moskiewska, nie posuwa się naprzód, nigdy to co przeszło nie może być drugi raz na warsztacie, ludzkość idzie, wyrabia pojęcia, oznacza cele i do nich nieprzełamanie dąży. Prawo postępu jest rzeczą której żaden despotyzm carski powstrzymać nie potrafi, stawiać on będzie zapory, aby

wezbrały wody, aby zwiększyła się siła i rozbiła to co stoi na przeszkodzie...

Losy Polski są w rękach Boga. wy się bluzgacie krwią męczeńską, nie wiedząc sami co czynicie, lecz gdyby przyszło paść narodowi ofiarą, wiercie mi będzie ona płodną... a ruiny nasze więcej mają przyszłości niż wasze budowy...

Nemezis historyczna niech reszty dośpiewa.....

Warszawa, dnia 10. Października 1864.



Biblioteka Raczyńskich

JIK 666



JIK0666